

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 10/445**

**1984**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

P. ZNAWCA: **ZNAKI ZAPYTANIA**

M. SKOWROŃSKI: **PRL W POCZEKALNI MFW**

L. UNGER: **WIDZIANE Z BRUKSELI**

**I Z WIELU INNYCH MIEJSC**

M. BROŃSKI: **NABOKOWA LEKCJA LITERATURY**

K. MAREK: **SPRAWA POLSKA**

**W MIĘDZYNARODOWEJ ORGANIZACJI PRACY**

## SPIS RZECZY

P. Zławca:	<i>Znaki zapytania</i> .....	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	15

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Michał Skowroński:	<i>PRL w poczekalni MFW</i> .....	29
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z wielu innych miejsc</i> .....	38
Zbigniew Byrski:	<i>Wybory amerykańskie</i> .....	50
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	60

### SPRAWY I TROSKI

Sprawozdawca:	<i>Pomyłki Prymasa i sprzężenie zwrotne</i> .....	67
Janusz Rakowski:	<i>W obliczu bankructwa PRL</i> .....	70

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	72
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	78
Dominik Morawski:	<i>Litwa: veto Moskwy</i> .....	81

### KRONIKA KULTURALNA

M. Broński:	<i>Nabokowa lekcja literatury</i> .....	83
-------------	---	----

### KSIĄŻKI

Czesław Miłosz:	<i>Nad Wigami</i> .....	97
A.K.:	<i>Nowe książki</i> .....	105
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	108



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: amerykańska, francuska, kanadyjska i szwedzka</i> .....	109
---	--	-----

### DOKUMENTY

Krystyna Marek:	<i>Sprawa polska w Międzynarodowej Organizacji Pracy</i> .....	119
-----------------	--	-----



Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i> .....	152
--------------	----------------------------	-----



St. Korboński, J. Marcinkiewicz, W. Zajęczkowski, Magister z Warszawy, „Solidarność” w Los Angeles, Zb. Byrski, O. J. Klejnot:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	154
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1984

INSTYTUT  LITERACKI

## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Kamila i Jan Halpernowie, Kolonia (RFN) — zamiast kwiatów na grób Przyjaciela, Stefana Strelcyna — DM 150,00	F. 460,00
B. T. Łaszewski, New York, N.Y., po raz 17-ty — \$ 80,00	F. 762,00
A. A. Świdorski, Ottawa (Kanada), po raz 4-ty — \$ c. 25,00	F. 180,00
Jerzy Zubrzycki, Canberra (Australia) — honorarium otrzymane za artykuł o KOR-ze w dzienniku <i>The Age</i> (Melbourne) — \$ A. 100,00	F. 741,00
Anonimowo z Paryża, po raz 10-ty	F. 200,00
Beziemiennie z Londynu, po raz 15-ty — £ 20,00	F. 224,00

DZIEKUJEMY!

## WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Federacja Polek w Kanadzie, Ogniwo Nr 7 w Winnipegu na „Solidarność” w Kraju — \$ c. 1.000,00	F. 7.200,00
Dr Tomasz Jansson, Redondo Beach, CA (USA) — na „Solidarność” podziemną — \$ 50,00	F. 470,00
Na apel „Konfederacji 76” na „Solidarność” podziemną złożyli: I. i B. Lipińscy — \$ 20,00; J. Żołądkowski, A. Żołądkowski, W. Ostrowski, E. Ostrowska oraz byli internowani: A. Butkiewicz, W. Szypszak, Z. Padzik po \$ 10,00; A. Gorajska, Z. Wallek, P. Janik, W.G., A. Gąsienica, B. Fusiek, A. Biedak, M. Stankiewicz i beziemiennie oraz byli internowani: T. Daniszewski, J. Kocjan, R. Górski i T. Wojdakowski po \$ 5,00 — razem: \$ 155,00	F. 1.472,00

## WPLĄTY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Indiana, USA — \$ 80,00	F. 760,00
O. Łaszkiwicz, Hyde Park (Australia)	F. 95,80
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 200,00 (za sierpień i wrzesień)	F. 1.900,00
Wojciech Szezygielski, Zurych — Fr. szwajc. 30,00	F. 112,00

## WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samopomocy Społecznej, po raz 32-gi — \$ 50,00	F. 475,00
O. Łaszkiwicz, Hyde Park (Australia) — na Fundusz Samobrony Społecznej	F. 95,00
Teresa Romer, St. Eustache, Que. (Kanada) — na Fundusz Niezależnych Wydawnictw — \$ c. 34,75	F. 350,20
W Redakcji „Listów” na pomoc rodzinom uwięzionych złożyli A. Nowicki i J. Harasiuk po \$ 10,00, razem: \$ 20,00	F. 190,00

Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich w Nowym Jorku na „Niepodległość” w Kraju (nadesłał Robert Kostrzewa) — \$ 200,00 i \$ 300,00 — razem: \$ 500,00	F. 4.740,00
--	-------------

## Znaki zapytania

Ważne jest wiedzieć, co się wie na pewno. Ale może jeszcze ważniejsze jest wiedzieć, czego się nie wie. Można i trzeba snuć domysły. Należy wszakże pamiętać, że to są tylko domysły. Nawet w sporach rodzinnych domysł uznany za pewność przynosi szkodę. Cóż dopiero w skali polityki światowej. A zatem zajmę się tym, czego nie wiemy.

a) Opinie sowieckich dysydentów o społeczeństwie, w jakim dorośli i żyli, są radykalnie przeciwstawne. Na „optymistycznym” biegunie mamy W. Bukowskiego, który twierdził, że od narodzin ruchów dysydenckich zaszły w tym społeczeństwie pozytywne zmiany. Zamiast znęcać się nad politycznymi więźniami, kryminaliści zaczęli się nimi opiekować. Ruch dysydencki za chruszczowowskiej odwilży i jeszcze jakiś czas potem rzeczywiście się nasilał. Breżniewowi jednak udało się go przy pomocy Andropowa bardzo skutecznie rozbić. Mimo to nie słyszałem, by Bukowski, już w USA, zmienił swoje uprzednie opinie. Czy je zmienił, czy nie, głosił w książkach gotowość szerokich mas w Sowietach do wspierania opozycji. Natomiast Zinowiew poszedł w portretowaniu sowieckiego człowieka *homososa* w odwrotnym kierunku. Na emigracji stawał się coraz bardziej apodyktyczny: jego *homososi* to masy tak urobione przez reżym, że go akceptują i chętnie podtrzymują. Te swoje ustalenia podaje za prawdę obiektywną. Mówi, że w ZSSR istnieją rzeczywiste „rządy mas”, a partia nieraz nawet powściąga kolektyw w okrucieństwie, okazywanym każdemu, kto „się wychyli”. Ze naukowego środowiska, w jakim pracował, było wręcz skłonne powiesić go za paszkwile na system. Ten wątek nasila się w powieściach Zinowiewa i nie może być uznany za fikcję literacką,

skoro Zinowiew potwarza to samo w wywiadach. Na koniec dopracował się przewrotnej myśli, jakoby dostał się na Zachód, bo tego chciało KGB i tym samym on i jego książki stanowią dla Zachodu sowiecką truciznę...

Te dwa obrazy *homo sovieticus* nawzajem się wykluczają. Można by je pogodzić domysłem, że w miarę społecznej, utworzonej przez ponad 60 lat istnienia ZSSR, żadne trwalsze objawy opinii społecznej w ogóle nie mogą powstać. To ponad ćwierćmiliardowe, wielonarodowe społeczeństwo nie zna Zachodu z jego pluralistyczną demokracją tak samo, jak Zachód nie zna owego społeczeństwa. Obywatele ZSSR nawet jeśli myślą w ścianach mieszkania, nie mogą odwołać się do żadnej własnej demokratycznej tradycji, bo nigdy w swoich dziejach takiej tradycji nie mieli. Można by snuć dalej podobne domniemania. Na przykład że tym społeczeństwem nie rządzą żadne „obiektywne prawa naukowe” (Zinowiew bardzo lubi mówić o „naukowych prawach” socjologicznych), lecz że zachodzi zwykła, odwrotna proporcjonalność między nasileniem represji i występowaniem wolnościowych tendencji. Zresztą pojęcie represji nie jest jednoznaczne. Nie musi oznaczać masowego terroru, masowych zsyłek i ciągłych pokazowych procesów. Nie idzie o to, by każdy wiedział, że uszy i oczy KGB są wszechobecne. Wystarczy, żeby mu się zdawało, że tak jest. Bukowski był, śmiem sądzić, zbyt optymistą, a Zinowiew jest zbyt wyrafinowanym czarnowidzem, legitymującym się „naukowością” swoich diaznoz. Gdyby zino-wiewowski *homos* stanowił nieodwracalną formę „człowieka sowieckiego”, to kolosalne wydatki na zagłuszanie zagranicznych rozeźlni byłyby niepotrzebne. Niepotrzebne byłoby też ciągle zalewanie mózgów wciąż tym samym, beznadziejnie głupim i nudnym łgarstwem. Nie wiadomo więc, czy i co tamto społeczeństwo sobie myśli i w jakiej mierze ufa swojej władzy. Natomiast wiadomo, jak bardzo ta władza nie ufa swemu społeczeństwu. Takie są fakty. Można wokół nich snuć dalsze spekulacje, ale umysłowy stan sowieckich mas pozostaje niewiadomą i nie uważam, by prawda leżała pośrodku — między „buntowniczą gotowością” Bukowskiego i „demoniczną wszechagenturalnością” Zinowiewa. Ten ostatni powtarzał: w ideologię partii nie trzeba wierzyć — trzeba ją akceptować i ogół to robi. Powiedzmy. Nie wiadomo dalej, ile stabilizacji partyjnej tkwi w zino-wiewskim „akceptowaniu ideologii”. Techniki przekazu informacji, takie jak orbitalno-satelitarne, budzą na Kremlu agresywną wściekłość, a zatem obawy. To już nie przypuszczenie, lecz fakt. Znam ludzi mówiących, że niezagłuszalne emisje telewizyjne nad terytorium sowieckim — np. amerykańskich filmów i reportaży, ukazujących życie na Zachodzie — prędko doprowadziłyby do

upadku kremłowskiej władzy. To jednak wielka naiwność. Sowieckie społeczeństwo jest silnie zhierarchizowane kastowo. Władza z ogromnym trudem stara się dojść do orwellowskiego ideału: prawdą jest to, co władza głosi d z i s i a j. Zasięg samizdatów zawsze był dość skromny, lecz w milionach mieszkań sowieckich muszą się znajdować tomy „Historii Partii Komunistycznej ZSSR”, bo milionowe nakłady miało chruszczowowskie wydanie tej historii, piętnujące Stalina za czystki i za pełen klęsk początek wojny z III Rzeszą. Może wycofano tę książkę z publicznych bibliotek, ale nie konfiskowano jej po prywatnych mieszkaniach. To tylko drobny przykład, jak trudno osiągnąć stan przedstawiony przez Orwella. Ten, kto twierdzi, że posiada pełną prawdę świadomości politycznej w całym ZSSR, twierdzi więcej, niż wolno twierdzić. Nie jest to kwestia mało znacząca.

W odważnym wywiadzie udzielonym *Spiegłowi* J. J. Lipski nazwał oskarżanie RFN o „rewanżystowską agresywność” barometrem samopoczucia władzy peerelowskiej. Władza odwołuje się do narodowej pamięci o okupacji, gdy czuje się zupełnie wyobcowana. „Zakusy niemieckie” mają być straszakiem zespalałym rządzonych z rządzącymi. Zgoda, ale ten barometr działa i poza granicami Polski. Już dawno zauważono, jak koniecznym elementem totalitarnej władzy jest potężny wróg. Dokładne porównanie sowiectyzmu z hitleryzmem zasługuje na studia. Hitler udiablił „międzynarodowe żydostwo” najpierw z osobistych maniakkich pobudek, ale potem okazało się, jak mu to się przydało w wojennych podbojach. Plutokracja okazała się tak samo żydowska jak komunizm. Antysemityzm nie grał naczelnej roli w prawicowo-konserwatywnych środowiskach Republiki Weimarskiej. Sporo Niemców uważało żydofobie Hitlera za dziwaczną marotę. Iluż Niemców uznało po przegranej tę właśnie część doktryny nazizmu za najszkodliwszą dla Niemiec w ich wojnie. W związku z tym pisało się tam o „atomowej bombie żydowskich emigrantów” (z Niemiec do USA). I to było uproszczenie, ale nie zmyślenie — wiadomy list do Roosevelta podpisał w końcu Einstein.

Bez żydofobie Hitlerowi niełatwo byłoby sprowadzić wszystkich przeciwników do wspólnego mianownika — czyli utworzyć obraz wroga. Usilnie wdrażane kłamstwo pomaga jednoczyć masy, a powtarzane uparczywie odczuwacza wroga — aż po ludobójczy finał. (Dlatego ten, kto był w III Rzeszy jej „dysydem”, okazywał się tak zwanym „białym Żydem”, jeśli brakło mu jednej kropli „niearyjskiej” krwi w żyłach). Wróg winien być pojęciem wyraźnym, prostym i zbornym. Jeden z podrzędniejszych ideologów Hitlera, J. Streicher, uważał za Żydów większość sędziów międzynarodowego Trybunału podczas norymber-

skiego procesu i w rozmowach z amerykańskim psychologiem Gilbertem upierał się, że prokurator Jackson naprawdę nazywa się Jakobson, bo i on jest Żydem. (Jak widać, Streicher nie tylko akceptował ideologię Hitlera, lecz w nią wierzył). Marksizm jako ideologia do uprawomocnienia totalitaryzmu jest lepszym narzędziem od narodowego socjalizmu. Wygląda bardziej naukowo, pretenduje do uniwersalizmu, wyjaśnia dzieje powszechne i obiecuje wszystkim (z wyjątkiem wyzyskiwaczy) raj na ziemi. W marksizmie wróg co prawda jest klasowy, od czegoś jednak elastyczność pojęć. Żydzi to wróg nie przez „niearyjskość”, ale przez „syjonizm”. (Co prawda „bij Żyda” lepiej brzmi, niż „bij syjonistę”, ale to są koszty własne terminologii). Zresztą wrogów może być kilku. Toteż „rewanżyzm” RFN bywa Kremlowi tak samo potrzebny jak CIA. Dla Chin znów wrogami są Sowiety i USA, lecz Sowiety zajmują pierwsze miejsce. Postronny obserwator widzi nonsensowną śmieszność oskarżenia dzisiejszej RFN o agresywne tendencje. Przecież w tym państwie stały się popularne nawet hasła jednostronnego rozbrojenia. Zresztą może w Sowietach ktoś da tym oskarżeniom wiarę — w Polsce nikt, bo tam dla czytelników prasy rządowej prawdę zawierają wyłącznie ogłoszenia drobne. „Normalizacja” doprowadziła polską prasę do upadku, jakiego nie znała od lat Bieruta i Stalina. Ale to już dywagacja. Nazwawszy pierwszą niewiadomą, nazwiemy drugą.

b) Rozmiary zależności państw satelickich od Moskwy są zasadniczo nieznane. Zaczniemy od własnego pieca: czy groźba interwencji sowieckiej była za Solidarności realna? Pytanie to zadałem wielu rodakom i cudzoziemcom. Większość uważała, że Rosjanie na pewno by nie wkroczyli, a zatem albo wywierali na Jaruzelskiego naciski, albo on sam zgłosił się do nich z pomysłem „wojny”. Moje wyobrażenia nie są ani gorsze, ani lepsze od cudzych. Sądzę, że i na Kremlu przez dłuższy czas zdania mogły być podzielone. Polityczno-gospodarczy koszt interwencji w Polsce byłby dla ZSSR bardzo wielki. (Kreml nie docenił kosztów interwencji afgańskiej, licząc i na rychłe zgniecenie oporu i na krótką pamięć świata — a właściwie Zachodu, bo, mój Boże, Chińczycy są wyjątkiem: niczego Moskwie nie zapominają). Gdyby pominąć względy polityczne i ekonomiczne, militarnie było Moskwę stać na inwazję, co jest o tyle banałem, że nie byłaby to przecież walka dwu zbrojnych stron. Wojsko polskie zamknie to by w koszarach, a Rosjanie stanowiliby tylko zaplecze dla ZOMO. Ludzkich ofiar byłoby bez porównania więcej. Wewnętrzne, polskie skutki takiego kroku były i z perspektywy Krem-la nie do obliczenia. Ten problem należy roztrząsać z zimną głó-

wą. Ideologia sowiecka to nie tylko dekoracja czy parawan. Nadaje ona różnym ustrojom różną rangę. Socjalizm ma w niej najwyższą („prawdziwy”, czyli sowiecki), więc tego znaku firmowego nie można odrzucić, aby wracać do czegoś w rodzaju socjaldemokracji na przykład. Totalitaryzm kremlowski zachowuje pewne pozory parlamentaryzmu — że niby rządzą ciała swobodnie wybieralne, że partia ani rząd nie mogą łamać pięknie brzmiącej konstytucji itd. I tutaj pouczający jest przykład III Rzeszy, bo miała rząd złożony z ministrów. Załgania było jednak o tyle mniej, że nad wszystkim unosił się *Führerprinzip*, wcielony w samego Hitlera. Jego „gabinet ministrów” — jak o tym wspominał Speer — nigdy nie miał odwagi zebrać się na obrady, chociażby niewinnie, przy kuflach piwa. Oba te reżymy wyprodukowały więcej trupów i masowych mogił, niż wszystkie inne za ludzkich dziejów. Dla podbitych narodów jednak hitleryzm był mniej załgany, choć bardziej morderczy od sowietyzmu. Zapewniał, że będzie karał wszelki opór śmiercią i jawnie dotrzymywał słowa, więc przynajmniej nie kłamał, że przynosi wolność czy inne satysfakcje. Wjeżdżał czołgami na ulice, lecz nie utrzymywał, że czyni to dla „ocalenia” narodów. Jednym słowem przynosił pokonanym więcej mordu niż kłamstwa.

Dobrze, ale czy jest pewne, że Rosjanie za nic by nie wkroczyli, gdyby ich nie wyręczyli polscy generałowie? W grudniu nie musieli wkrać. Przy pozorach ostatecznej niemocy warszawski rząd działał nader sprawnie, w swoim i Kremla interesie. Umiał do końca kryć i swe plany, i swą siłę uderzeniową. Akcje odwrotowe wykonywał tam, gdzie największy koszt ponosiło społeczeństwo (np. rosnącą inflację). Ale nie tu miejsce, by analizować taktykę rządu, ukrytą w pozornym bezhołowniu. Lecz samo istnienie owej taktyki dowodzi, że władza zamierzała powrócić na tracone pozycje. Sęk tkwił w tym, JAK to zrobić. W grudniu sytuacja wcale nie była dla rządu krytyczna. Z jego punktu widzenia mogła się stać taką za pół roku lub za rok. A ponieważ każdą wielką akcją militarną trzeba długo przygotowywać, wszystko zostało tak właśnie przygotowane. Nie likwiduje to jednak pytania o szansę zewnętrznej interwencji. Rosjanie, sądząc, wkroczyliby, gdyby uznali to za konieczne podwójnie: politycznie i strategicznie. Nie wiem, gdzie ów podwójny próg się znajdował i wątpię, aby w Moskwie wyznaczono go z precyzją. Wejście starano by się „wygładzić”, kamuflować, tak by „fatalny mus” sowiecki był widoczny dla świata. Przypominam groby żołnierzy Armii Czerwonej, smarowane białą farbą. Zastanawiało mnie, czemu użyto tej a nie innej farby, może innych nie było? Obecnie rzecz jest czystym gdybaniem. Nie lubię tego, łączy się to jednak nierozzerwalnie z naszą drugą niewiadomą. Z perspektywy

dziesięcioleci widać, jak „biegun maksymalnego poluzowania” przemieszczał się z jednego państwa bloku do innego.

Odwilży, czy to wywołanej oddolnym naporem jak w Polsce, czy też idącej odgórnie, jak podczas praskiej wiosny, NRD nigdy nie znała. Mimo to, zwłaszcza w kulturze, w NRD panuje teraz *de facto* dosyć znaczny luz. Istnieją dwie przeciwstawne wersje dziejów — „konspiracyjna” i „spontaniczna”. Według pierwszej „wszystko zachodzi na zasadzie ułożonych z góry scenariuszy”, według drugiej toczy się nieobliczalna gra sił. Wewnątrz Paktu Warszawskiego wszystko biegło wprawdzie pod naciskiem sowieckim, lecz było też zmaganiem od Moskwy niezależnym. W bilansie nie da się więc wyznaczyć rozmiarów autonomii rozkazobiorców sowieckiego Politbiura, bo idzie o zjawiska wieloczynnikowe, przy czym ogólnoswiatowa sytuacja włącza się jako doniosły element tego zespołu równań. Nie uznałbym za głupstwo twierdzenia, że ani namiestnicy Moskwy, ani siedzący w niej starcy nie znają dokładnie rozmiarów wymienionej autonomii. Tak jedni jak drudzy są ludźmi, poddanymi rozmaitym wpływom, a ich osobiste charaktery też nie są bez znaczenia. Poza tym grę komplikuje szczególnie, prakseologiczna metoda Rosjan — aby grupie rządzącej podwładnym państwem przydawać konkurentów, zwanych teraz u nas „betonami”. Jeżeli się nie mylę, to „rozfrakcjonowanie” namiestników było dla Moskwy osobiście ważne w Polsce. Być może przez brak pełnego zaufania do rządzących. Według mych wiadomości nikt tej metody dokładnie nie przeanalizował. Sądzę, iż zawsze toczy się walka o pierwsze miejsce, a napędzają ją czysto personalne ambicje, uważam za uproszczone. Rzecz w tym, że założenie reżymu: jednopartyjna monolitowość, w tym większym stopniu staje się faktem, im większą władzę skupi w swym kułaku Najwyższy Pierwszy Sekretarz. Stalin był raczej miernym teoretykiem, lecz praktykę opanował świetnie, choć była kosztowna, bo maszyna mordów, która uczyniła zeń Najgenialniejszego Generalissimusa Wszechczasów, rozpędziwszy się, pożarła więcej ofiar, niż było to niezbędne dla jego potęgi — i uszkodziła potęgę państwa w przededniu wojny.

c) Czy możliwe jest powstrzymanie wyścigu zbrojeń?

W sierpniu 1984 odbyła się konferencja naukowa z udziałem ekspertów Zachodu i Wschodu, a także Amerykanów i Rosjan, nad skutkami wojny atomowej. Wojnę tę symulowano komputerowo w USA i ZSSR. Winno ją rozpocząć piekło ognia, które pograży ziemię w piekle lodowatej, może i wieloletniej nocy. Po wymianie strategicznych ciosów termojądrowych mogą zajść zmiany klimatu na całej kuli ziemskiej, w skrajnym przypadku zabójcze dla wszelkiego niemal życia (bakterie ocaleją, z czego

mało pociechy dla sztabów generalnych). Eksperci byli w tym zgodni, przy czym skutki owej wojny strona rosyjska uznawała za bardziej przeraźliwe, aniżeli amerykańska. Nie uważam tej — zresztą niezbyt wielkiej — różnicy zdań za przypadkowe przyjęcie przez rosyjskich naukowców założeń o skutkach bardziej katastrofalnych, niż zawarte w wywodach Amerykanów. (A przy tym, co ostatni podkreślali, iż z uwagi na swój większy masowy kontynentalny Sowiety poniosłyby m n i e j ofiar niż Stany Zjednoczone — przynajmniej doraźnie, w toku wymiany raketowych ciosów). Nam jednak nie idzie o zjawiska fizyki, lecz polityki. Rosja zainwestowała podczas „odprężenia” kolosalny kapitał w dozbrojenie. Ten kapitał nie może zostać zmarnowany. Jakoż przynosi już procenty, choć ani jedna rakietka nie opuściła wyrzutni. Procenty — to Wielki Strach. Większy stał się tam, gdzie więcej wolno mówić i publikować, czyli na Zachodzie. Ten strach rozmiękcza Europę i tym samym jest politycznie zyskowny. Aczkolwiek „jajogłowi” Amerykanie nie znoszą Reagana, przeciwni obywatele USA stoją przy nim nieprzeustraszeni i za to ów dziarski starzec, grający krzepkiego prezydenta, zasłużył na sowiecką nienawiść. Sowiety obawiają się przelicytowania ich kapitału zbrojeniowego przez USA, a dokładnie mówiąc, deprecjacji tego kapitału techniką „gwiazdnych wojen”. Skąd ta obawa? Po wojnie nauka stała się oczkiem w moskiewskiej głowie. Uczniowie mieli „dogonić, i przegonić” zachodnich. Potem wyszło na jaw, że wiele rzeczy łatwiej ukraść, aniżeli wynaleźć lub odkryć. Andropow bardzo skutecznie realizował tę ideę. Ale i nie wszystko można ukraść. Tu muszę wejść głębiej w problem. Wolność słowa jest i skarbem i zagrożeniem Zachodu. Każda broń nowożytna to późny owoc długich badań teoretycznych i prototypowych. Jeśli nie można ukraść ani planów nowej broni ani jej samej, wiadomość, iż konkretną broń można sporządzić, jest nadzwyczaj doniosła dla przeciwnej strony. Dlatego tak ważna jest tajność w tej dziedzinie. Nic nie wiedząc o przyszłości, zajrzyjmy w historię. W drugiej połowie wojny z alian-tami Niemcy uzyskały wynalazcze pierwszeństwo w czterech dziedzinach. W technice raket balistycznych (V2), w obronie przeciwlotniczej raketami (prototypami były „Rheinbote”, „Wasserfall” i inne, jeszcze niedoskonałe, lecz wiele rokujące pociski „ziemia-powietrze”), w budowie pościgowych odrzutowców (Heinkel i Messerschmitt, który stworzył Me 260, a samoloty te na samym schyłku wojny, uzbrojone nowymi raketami „powietrze-powietrze”, straciły bardzo duży procent amerykańskich superfortec przy ich ostatnich nalotach na Niemcy), jako też w produkcji nowych gazów bojowych — Tabun i Sarin. Gazy te, porażające układ nerwowy, działają w rozrzedzeniu s t o k r o t-

nie większym niż iperyt. Jak później obliczono, gdyby V1 i V2 niosły zamiast środków kruszących te gazy, zarówno ludność Anglii jak przyczółki inwazyjne znalazłyby się w bardzo wielkim niebezpieczeństwie. Do dziś nie wiadomo na pewno, czemu Hitler do końca sprzeciwiał się użyciu tych gazów (jego eksperci nie wiedzieli, że Angloamerykanie ich nie mają). Tak hermetyczna tajność w zbrojeniach może przynieść nie tylko taktyczną, lecz i strategiczną przewagę. (Z kolei Niemcy nie wiedzieli, że Amerykanie pracują nad bombą atomową).

O militarnym potencjale decydują dwa innowacyjne czynniki: doskonalenie broni już istniejących oraz budowanie broni zupełnie nowych. Pod względem tajności Zachód, zwłaszcza Europa, jest istnym dziurawym rzeszotem. Co więcej, prasa zachodnia niejednokrotnie przypisywała Sowietom posiadanie broni, jakich nie mieli, np. „promieni śmierci”, nietożsamych z laserem.

Najlepszą rzeczą jest kraść nie plany czy broń, lecz wybitnych specjalistów. Sowietom udawało się to w latach pięćdziesiątych. Szereg naukowców zachodnich przekazywało Moskwie informacje o bombie atomowej nie za pieniądze i nie w intencji szpiegowskiej, ale z ideowych przekonań albo z pozapolitycznego założenia, iż „ostateczną broń” winny posiadać o b i e strony. Inaczej — tak przypuszczali niektórzy — imperializm amerykański zechce narzucać swą wolę całemu światu „ze Związkiem Radzieckim na czele”. Dziś uczonych, gotowych przejść na czerwoną stronę, trzeba szukać na Zachodzie ze świeczką. Toteż ewentualna blokada przepływu informacji na styku Wschód-Zachód zaszkodziłaby wprawdzie całej nauce światowej, ale nie w tejże mierze obu stronom. Przy wieloletniej blokadzie Sowiety straciłyby więcej. Skąd to przypuszczenie? Zrost nauki z techniką jest teraz bardzo silny. Miernikiem wydolności naukowej jest w pierwszym rzędzie ilość nagród Nobla na głowę obywateli danego państwa. Nie dlatego Sowiety mają tak mało noblistów, że Rosjanki rodzą dzieci głupsze niż Amerykanki i nie dlatego, że w komitecie nagród siedzą antykomuniści. Sam sowiecki ustrój z jego „negatywnym kryterium selekcji” winien jest tej różnicy. Kryterium to działa bowiem zarówno tam, gdzie taka selekcja sprzyja totalitaryzmowi, jak i tam, gdzie nadgryza podstawy mocarstwowej potęgi (procentowo było w Akademii Nauk ZSSR znacznie więcej Żydów, niż w całej ludności tego państwa; tak już nie jest, bo działa „paragraf aryjski”, przemianowany na „paragraf antysyjonistyczny” — z rzadkimi wyjątkami). Proszę tylko dobrze mnie pojąć. Nie mówię, że „im więcej Żydów w nauce, tym więcej świetnych odkryć”. Numerus clausus lub nullus to tylko wskaźnik, ujawniający kryteria selekcji ludzi ponadprzeciętnie uzdolnionych.

Wskutek tego zbioru spraw Sowiety stanęły przed ciężkim dylematem. Łakną zarazem otwarcia i zamknięcia informacyjnej wymiany. Otwarcia na informację naukowo-techniczną i zamknięcia na inną, bo z nią mogą w umyśle *homososów* przesączać się „szkodliwe wpływy”.

Tak powtarza się na wysokim poziomie obecnej wiedzy dylemat lat stalinowskich. „Organy” usiłowały już wówczas traktować obcych fachowców, zaangażowanych w Rosji, jak swoich ludzi, wsadzając ich za „sabotaże” (znana była sprawa angielskich inżynierów, którzy kładli podwaliny pod przemysł pierwszej pięcioletki — lecz wydalono tylko niektórych i nie zrezygnowano z takiego „importu”, bo ZSSR był wtedy na ten „import” zdany).

Zatem Moskwie potrzebne jest i otwarcie i zamknięcie. Potrzebuje wielkiej militarnej potęgi, co oczywiste. Nadto potrzebuje wielkiego kłamstwa, i to takiego, które by zarażało zachodnie *mass media* oraz partie polityczne, a wreszcie i opinię publiczną. To kłamstwo stanowi ich broń, ich „piątą kolumnę”. Bezkrwawe boje wokół wymienianych strumieni informacji będą się niechybnie nasilać. A to, gdyż czas nagli. Za 30 do 40 lat Chiny zdobędą militarną pozycję supermocarstwa. A na jakież herezje idą Chińczycy w swej ekonomice już teraz! Wymieniają wiernych partyjnych kierowników na sprawnych menadżerów. Popuszczają skolektywizowanemu rolnictwu. Prymat pragmatyzmu nad „czystością” doktrynalną stał się jawny. Tak, niełatwo być dziś Związkiem Sowieckim. Nie udało się zastraszyć ani USA, ani Chin, skąd płyną chyba jakieś koszmarnie promieniowania, skoro w Mongolii towarzysz tak zasłużony jak Cedenbał naraz utracił władzę.

Przeraziwszy Zachodnią Europę, straszą teraz Rosjanie własne społeczeństwo rewanżystowskimi Niemcami i potworem Reaginem, ażeby zewrzeć szeregi. Szeregi można zewrzeć, literaturę można zarznąć, teatr obrócić w skamielinę, lecz duchowe ludzkie życie okazuje się układem naczyń połączonych. Megatonaz termojądrowy ZSSR jest większy od amerykańskiego, lecz czołówka nauki nie przegoniła Zachodu i nic nie wskazuje, ażeby się to mogło udać. Czas nie pracuje dla Kremla, chociaż nie widać tego dobrze z jamy, w jaką wpadła Polska — jak zwykle, po stłumionym powstaniu.

Nie skończyłem jednak poszukiwania odpowiedzi na pytanie, czy Zachód może położyć kres wyścigowi zbrojeń.

Artykuły i książki napisane na te tematy utworzyły już górę, która urodziła mysz. Jednostronne zamrożenie zbrojeń musi być równe odroczonego upadkowi Zachodu. Gwarancją pokoju bez kłęski jest dwustronne porozumienie. Porozumienie bez pełnego

zaufania do przeciwnika wymaga skutecznej kontroli. Jeżeli jednak Sowiety pójdą na kontrolę u siebie, tak uzyskana równowaga nie będzie trwała. Ilość bojowych technik w stadiach embryonalnych jest tak duża, że żaden polityk nie zdoła wszystkich ogarnąć. Na ekspertach też nie można w pełni polegać. W USA strącano już laserem rakiety w locie (z samolotów), więc uderzeniami typu „powietrze-powietrze”, chociaż jeszcze niewiele lat temu znani fizycy uważali tak rychły wzrost mocy laserów za nieprawdopodobny. A kontrolerzy, udając się na zwiad, muszą przecież wiedzieć, czego i gdzie mają szukać. Doskonała kontrola oznaczałaby obecność reprezentantów jednej strony we wszystkich instytucjach badawczych drugiej. Na to Sowiety nigdy się nie zgodzą.

W podsumowaniu wypada więc z żalem, ale i z wielkim strachem orzec, że nie daje się porównać ciężarów zagrożenia na dwu szalach światowej wagi militarnej — zagrożenia, tkwiącego w zawsze niepewnym porozumieniu — przeciwko zagrożeniu, tkwiącemu w dalszym wyścigu zbrojeń. Jest to poniekąd wybieranie między trądem a dżumą. Mimo to Zachód będzie szukał porozumienia, przy czym biegli będą wiedzieć, że żadne nie równa się gwarancji *status quo*. Zarówno efekty porozumienia jak efekty jego braku pozostaną niewiadomą. Ten bezlitosny wniosek wygląda na nieodparty.

d) Ostatnia niewiadoma zawiera się w pytaniu „słoń a sprawa polska”. Co będzie z nami dalej? Na najbliższe lata nic dobrego. Sytuacja Polski względem Zachodu to zminiaturyzowanie analogicznej sytuacji Sowieców: tyle, że używane słownictwo propagandy oraz cele nie są tożsame. PRL tak jak Rosja tworzyć chce maksimum pozorów „dobrej woli”, „dialogu”, „porozumienia”, przy czym w PRL chodzi o pozory, skierowane do wewnątrz z intencją zewnętrzną. Żeby się z daleka zdawało, że istotnie idzie ku poprawie stosunków między rządzonymi i rządzącymi, że warto, bo trzeba dawać kredyty, itd.

Zachód pali się do „uspokojonej” Polski, toteż każdy gest w rodzaju amnestii wita z zadowoleniem. Nasze społeczeństwo pozostaje jednak pełne nieufności, żeby nie użyć silniejszego wyrażenia. Główna różnica w reakcjach na gesty władz wynika z nietożsamej pamiętliwości Polaków i cudzoziemców oraz z odmiennej optyki. Ten, kto jest w kraju i wie, co się dzieje w jego zakładzie pracy, w biurze projektowym, na uczelni, w szkole, w księgarniach, widzi, jak grubymi nićmi szyta jest „łagodność”. Nie bez kozery lud nazwał amnestię „oczyszczeniem metrażu” przepelnionych więzień. Skądinąd warto postawić się w sytuacji „zwycięzców” polsko-jaruzelskiej wojny. Przekonali

się, jak szybko cała partia idzie w rozsypkę, gdy tylko społeczny napór wymusi na władzy ustępstwa. Cała fasada ustroju pęka i te pęknięcia zagrażają jego fundamentom, bo ich lepiszczem jest kłamstwo, a obnażone nie może już działać. Pozostaje więc jako ostatnia deska ratunku zbrojna siła. Znaczy to: wszelkie „popuszczanie” rygoru wyzwala „reakcję domina”. Rośnie lawina wolnościowych żądań. W relacji „rządzący-rządzeni” tak zwaną „ekstremą” był cały naród z wyjątkiem klasy „właścicieli PRL”. Jeszcze przed grudniem reżym zwrócił główny napór kłamstwa na „swoich ludzi” — partyjnych. Aparatczykom rozdawano krótką broń, aby się mogli ratować przed jakoby zamierzoną masową eksterminacją, przygotowywaną przez „Solidarność”. Po czym, co już groteskowe, broń odbierano w przededniu „wojny”, bo chodziło o akcję psychologiczną wewnątrz aparatu, a nie o jego uzbrojenie. Z tego widać, że rząd nieźle się orientował w nastrojach, jakimi „Solidarność” zaraziła partię!

Lawinowa reakcja rozpadu władzy może urodzić dziecko tak niechciane, jak „Solidarność”. Przez to manewrowe pole rządu pozostaje raczej wąskie, i to nie od nacisku „betonów”. Z prawdę rzadkimi wyjątkami ludzie w kraju nie oddają się już iluzjom, żywotnym jeszcze za drugiej wizyty papieża. Impas musi więc trwać. Każdy myślący realnymi kategoriami chce od władzy posunięć, na jakie ona nie może sobie pozwolić. Ekonomia leży. Sprawa zadłużenia leży. Widać odpyły młodzieży, zwłaszcza robotniczo-rolniczej, z cywilizacyjnie głównych kierunków wyższych studiów, bo automechanik lub stolarz zarabia pięć razy więcej od inżyniera po dyplomie. Zresztą absolwenci nie widzą szans autentycznej pracy zawodowej. Marksizm tyle gadał o wewnętrznych sprzecznościach kapitalistycznego społeczeństwa, a sam zrodził znacznie bardziej krytyczne. Rząd potrzebuje fachowców z wyższym wykształceniem, a zarazem panicznie się boi wszystkiego, co zachodzi w murach uniwersytetów czy politechnik (stąd ostatnie, tam kierowane pogróżki). O skuteczności propagandy w *mass mediach* nie ma co mówić. Pisze się o pijaństwie, o wzroście przestępczości, o złym gospodarowaniu, nazywając skutki bez dotknięcia przyczyn. Nad tym wszystkim „liberałowie” z *Polityki* uprawiają aluzyjnie taneczne pojedynki z kretynami z *Rzeczywistości*, która za adresatów ma widma i towarzyszy na Wschodzie, bo w kraju nikt jej nie czyta (pismo to bije rekordy zwrotów, obok *Tu i Teraz*). Nawiasem mówiąc, zniszczenia w kulturze nie są bezpośrednią „zasługą” rządu. Likwidując związki twórcze, dał szanse wszędzie obecnym improduktynom, nieudacznikom i innym szumowinom, więc skorzystały z okazji zajęcia posad — nie tak znowu intratnych. W tę wielostronną bezwyjściowość rząd sam siebie wepchnął — tak łatwo



odniesionym „zwycięstwem”. Należało mieć nie tylko plan rozbicia „Solidarności”, ale i program na potem, sensowny przynajmniej w kategoriach *Realpolitik*, tymczasem nie było nic. System sowiecki ukazał w Polsce swoje autentyczne oblicze: chodzi o władzę w imię władzy, na dobitkę w PRL w cudzym imperialistycznym interesie. Krótko mówiąc — nihilizm, w rdzeniu nieodróżnialny od nazistowskiego. Zdarta płyta sloganów znów poszła w ruch.

Któż z nas nie chciałby, aby Polska mogła sama decydować o własnej przyszłości? Jej los zależy jednak obecnie od losów całego świata w większym chyba stopniu, niż kiedykolwiek od Jałty. Ani to pociecha ani desperacja. Po prostu tak jest.

P. ZNAWCA

**Ukazał się  
SPECJALNY ZESZYT „KULTURY”  
w języku niemieckim  
(jesień 1984)**

który zawiera następujące opracowania: Konstanty A. JELEŃSKI — „Kultura” — polskie pismo na wygnaniu; Józef SZRETT — *Dolina pomiędzy górami*; Adam MICHNIK — *Między Rosją a Niemcami*; Jan SZUŁDRZYŃSKI — *Dlaczego Polacy i Niemcy nie mogli dojść do porozumienia?*; Kazimierz GARNYSZ — *Z innej beczki do Niemców*; Zdzisław NAJDER — *Polska a Niemcy*; Jan Józef LIPSKI — *List otwarty do wszystkich Niemców, którzy chcą pracować dla niemiecko-polskiego pojednania*; Jerzy STEMPOWSKI — *Esej dla Kasandry*; Czesław MIŁOSZ — *Brognart. Moja opowieść przy szklance wina*; Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI — *Praga Kafki*; „*Po-lenlieder*” niemieckich poetów romantycznych opracowała Nina KOZŁOWSKA; Witold PRONOBIS — *Józef Piłsudski wobec hitlerowskiego przewrotu w Niemczech*; Stanisław SWIANIEWICZ — *Wspomnienia o Władysławie Studnickim*.

Str. 164.

Cena DM 12,80.

Przedstawiciel na Niemcy, Austrię i Szwajcarię:

**BURG-VERLAG,  
Untere Au 41, 7123 SACHSENHEIM 3, RFN.  
Tel.: (49) 07147/6091.**

## Dziennik pisany nocą

*Maisons-Laffitte, 11 czerwca 1984*

Portret Berlinguera naszkicowałem (na tle sylwetki jego mentora i protektora Togliattiego) w lipcu 1976; wszedł do drugiego tomu mojego dziennika. Z tą datą w rogu nie wymaga retuszu. Ale teraz, wobec śmierci Berlinguera, konieczny staje się suplement na temat ośmiu ostatnich lat jego życia.

Portret z roku 1976 kończył się opinią wysoko postawionego i anonimowego polityka włoskiego, nie komunisty: „W interesie nas wszystkich leży dać Berlinguerowi czas nieodzowny na zrealizowanie w praktyce autonomii; najlepszym sposobem jest nie dopuścić chwilowo jego partii do rządu. Trzeba poczekać jeszcze pięć lat”.

W ciągu ośmiu minionych lat proces „zrealizowania w praktyce autonomii” posunął się bezspornie naprzód; natomiast pochód w stronę rządu bądź stanął w miejscu, bądź cofnął się nawet na linię zaostrej opozycji. Tkwił w tym dramat Berlinguera. Nie przestał być popularny i szanowany także poza partią (w samej partii mógł nie przywiązywać większej wagi do filozoficznego skrzydła Cossutty), lecz oddalanie się od Moskwy nie przybliżało go do udziału w koalicji rządowej. Rezultatem było poczucie jałowości, jak u dowódcy wielkiej armii, który nie może wyjść poza przewlekłe i wyniszczające oblężenie. Coraz częściej widywało się na jego twarzy grymas zmęczenia, bezsilnej siły. Śmierć Moro odstawiła do lodówki „kompromis historyczny” z chadkami. Agresywność Craxiego odsunęła na bok „alternatywę demokratyczną” z socjalistami. Poszerzana i podkreślana wciąż autonomia w stosunku do Moskwy nie zaowocowała poli-

tycznie. Mimo zapewnień Berlinguera o pozytywnej roli „parasola NATO”.

Poszerzanie autonomii, najbardziej dla mnie interesujące, doprowadziło do *strappo* (naderwania), czyli preludium jakby do zerwania. Głównie pod wpływem inwazji Afganistanu i wypadków polskich. Berlinguer orzekł „wyczerpanie się napędu rewolucji 1917 roku”, przyznając melancholijnie że „nie można już oczekiwać żadnych dobrych nowin ze Wschodu”. Dwa drobne epizody są tu znamienne. W pierwszym maczałem pośrednio palce. Rok temu Adam Michnik przemycił z więzienia list do Berlinguera: w aktach sprawy znalazł wycinek z *Nuova Unità* mianujący go „agentem amerykańskim”; od sekretarza PCI domagał się albo odwołania, albo uzasadnienia zarzutu. Przekazałem przez włoskich przyjaciół list adresatowi, chociaż wiedziałem że był oparty na nieporozumieniu: pismo *Nuova Unità* wydawali komuniści włoscy obediencji chińskiej, nie miało ono nic wspólnego z włoską partią komunistyczną i jej dziennikiem *Unità*. Berlinguer mógł więc śmiało poprzestać na sprostowaniu błędu Michnika i prowokacji warszawskich organów śledczych, a przecież posunął się dalej i do sprostowania dorzucił kilka zdań potępiających uwięzienie autora listu i jego towarzyszy. Drugi epizod jest świeższej daty. W telewizyjnej rozmowie Berlinguera z dziennikarzami włoskimi zadano mu pytanie, czy podobnie jak sowieccy towarzysze uważa Afgańczyków walczących przeciw Czerwonej Armii za „bandytów”. Nie, odpowiedział, uważam ich za partyzantów walczących o wolność swego kraju.

Na liście przyczyn oddalania się włoskiej partii od moskiewskiej centrali figurują oczywiście jako główne: konieczność pozbycia się etykiety „partii cudzoziemskiej” w imię uwierzytelnienia własnych aspiracji do współrzędzenia Włochami, oraz odmowa pokornego przełykania coraz to nowych „sowieckich żab”, zarówno imperialnych jak policyjnych. Ale nie bez znaczenia, według mnie, było w procesie zderzenie włoskich „marksistów na serio” z sowieckimi „marksistami czysto instrumentalnymi”. Z czym pogodził się Togliatti (który Gramsciego nazywał niegdyś pogardliwie „garbuskiem”), nie mogli się pogodzić jego następcy. Zabawne *à propos*. W czterdziestą rocznicę powstania w Salerno rządu marszałka Badoglio (minister bez teki Togliatti, ledwie przybyły z Moskwy, stanął w nim natychmiast i zdecydowanie po stronie monarchii) zacytowano w jakimś artykule historycznym nieznanym mi list Churchilla do Roosevelta. Churchill, w odpowiedzi na pytanie Roosevelta, wyjaśniał że Croce (też minister bez teki w rządzie salernitańskim) jest „karzełkowatym profesorem filozofii i estetyki, którego książek nie czyta-

łem; próbował je jednak czytać Andriej Wyszyński i zapewnił mnie, że są jeszcze nudniejsze od Marksa”.

(Dopisane 22 czerwca. Dużo Włochów ulepiło z kartek wyborczych do Parlamentu Europejskiego wieniec na grób Berlinguera. Reakcja sentymentalna, która nie powtórzy się z pewnością w normalnych włoskich wyborach samorządowych i parlamentarnych, ale pozwoliła komunistom po raz pierwszy w historii powojennych Włoch wyprzedzić nieznacznie chadeków. Upragniony i od lat wyczekiwany *sorpasso* ożywił nagle trupa „kompromisu historycznego”. Dojdzie do niego teraz, w formie pośmiertnego triumfu Berlinguera [i Moro]? Nie sądzę. Ma rację Montanelli, najinteligentniejszy włoski komentator polityczny: znaczna część wyborców głosuje na chadeków z myślą o „tamie” przeciw komunistom; „kompromis historyczny” oznaczałby więc dobrowolne samoosłabienie się chrześcijańskiej demokracji, podważenie jej „wiarygodności”. Ten schemat dotyczy również w jakimś stopniu perspektyw swoistego „kompromisu historycznego” między Kościołem i Państwem w PRL).

16 czerwca

Dzień w Saint-Dye nad Loarą, w domu Leonor Fini i Kota Jeleńskiego. Dla kogoś kto wychował się wśród stawów i rzek, a od trzydziestu lat mieszka nad morzem, wpatrywanie się w rzekę na wsi przed zachodem słońca oznacza jakby przestawienie wzroku wewnętrznego. Wyłąją powoli, otrząsając się z długiego letargu, dawne obrazy. Kilka horyzontów, podcieniowanych łąkami piasku i kępami łóz, w ostatnim najdalszym wpięte storczyki biało-różowego dymu. Potem różowość przechodzi w gęstszą i gęstszą czerwień, gęstnieje też cisza, słychać bez echa jakieś przytłumione nawoływania. Drogą wzdłuż Loary zaszliśmy z Kotem do kamienia, który upamiętnia pojawienie się tutaj 1 września 1944 pierwszego żołnierza amerykańskiego. Głęboki, wiekopomny zaiste ślad wojny...

W Saint-Dye widziałem ostatni obraz Leonor Fini, tutaj namalowany, *Mémoire des variantes passées*. Bardzo piękny, najpiękniejszy chyba ze wszystkich które znam. Zebranie różnych motywów i figur jej malarstwa w kompozycji tak doskonałej i rygorystycznej (przy pozorach zupełnej swobody), że powstała z tego mała *summa* twórczości Leonor Fini, klasycznie spokojna i harmonijna, zamknięta w swoim spełnieniu i zarazem nostalgiczna. Na pierwszym planie skulona i śpiąca postać w kasku przypomina jednego z wartowników w *Zmartwychwstaniu* Piero della Francesca. Atmosfera jest mocnym splotem półsennej wizji

i precyzyjnego widzenia. Takie rzeczy rodzą się, gdy artysta potrafi jednym spojrzeniem ogarnąć całość swojej sztuki, pogodzić nagle w jednym stopie wiele jej etapów i składników. I myślę, że jeden tylko raz można się o coś podobnego pokusić, a raczej dostąpić łaski takiego objęcia pamięcią własnej malarskiej przeszłości.

25 czerwca

Na fali przygotowawczego szumu prasowego spodziewałem się Bóg wie czego po wystawie *Le Siècle de Kafka* w *Centre Georges Pompidou*. Rozgadana góra urodziła małą, spoconą mysz. Gdybyż przynajmniej była to mysz z jednego z najkrótszych opowiadań Kafki!

Wystawa składa się z szeregu stoisk. Niektóre opatrzone pytaniami. Pytania: „Niemiec, Czech czy Żyd?” i „Urzędnik towarzystwa asekuracyjnego czy pisarz?” są tak głupie, że można na nie odpowiedzieć tylko zakłopotanym milczeniem. Pytanie *Faut-il brûler Kafka?* zasługuje na chwilę uwagi, także zresztą zakłopotanej. Ale o nim później.

Wspaniały album Klausu Wagenbacha *Franz Kafka — Bilder aus seinem Leben* odbiera sens wszelkim kafkowskim wystawom ilustracyjnym, zawiera bowiem wszystko co znalezione i tak czy inaczej ważne, można go więc jedynie powtórzyć w gablotach (po co?). Jak jednak wybrać z owego ambitnego „wieku Kafki”? Za pomocą labiryntu. Chodzi się po wystawie pokrętnym, zygawkowatym korytarzykiem; najwidoczniej organizatorom chodziło o uzmysłowienie chodzącym, że z „wieku Kafki” nie ma wyjścia (wystawę urządziła Międzynarodowa Fundacja Transkulturalna, czyli pewna nikła nadzieja tkwi w przedrostku „trans”). Po drodze ogląda się rzekome „filiacje” artystyczne Kafki: Giacomettiego, Maxa Ernsta, Paula Klee, Alfreda Kubina, oraz Charlie Chaplina (w telewizorze). Na głowę „gigantografia” Pragi. Kto zmęczony labiryntową wędrówką, może usiąść na jednej z ławek, stosownie do swojej narodowości: przyłożywszy ucho do głośnika w oparciu, usłyszy lekturę *Procesu* w odpowiednim przekładzie. Całe szczęście, że łatwiej stosunkowo uzmysłowić labirynt, niż drugi filar „wieku Kafki”: alienację. O gęsią skórękę przyprowadza perspektywa głośników nadających prelekcje filozofów, którzy kość alienacji obgryzają i wysysają z zawodowym upodobaniem od lat na rachunek praskiego pisarza.

„Spalić Kafkę?”. Na wystawie pytanie dotyczy testamentu Kafki, z prośbą skierowaną do Maxa Broda o spalenie wszystkich

manuskryptów. To samo pytanie *Faut-il brûler Kafka?* — o czym wystawa nie wspomina — sformułował nazajutrz po wojnie w formie ankiety francuski tygodnik komunistyczny *Action*, otrzymując w odpowiedzi zgodny ryk swoich czytelników: „Spalić, spalić!” (pisał o tym zabawnie Jerzy Stempowski). W roku 1962, podczas międzynarodowego Procesu marksistowskiego na czeskim Zamku w Liblicach, skazujący Wyrok częściowo uchylono. Kafka jest odtąd w świecie komunistycznym Pisarzem Pod Specjalnym Nadzorem. Trudno o ciekawszy temat wystawy kafkowskiej w setną rocznicę urodzin Kafki i śmierci Marksa. Kto się boi Kafki? Kto i dlaczego? „Transkulturalnym” organizatorom wystawy paryskiej zabrakło odwagi albo po prostu wyobraźni, by takie pytanie otwarcie postawić.

29 czerwca

Po interesującym odczycie arcybiskupa Gulbinowicza u pallotynów była w dyskusji między innymi mowa o marksistach w Polsce, z zastrzeżeniem „jeżeli jeszcze istnieją”. Miałem ochotę przerwać okrzykiem: „Ostatniego wyrzucono właśnie z partii”. Autora książki *Marksizm i jednostka ludzka* wyrzucono z partii za wywiad w *Newsweek*. Wśród rozmaitych osobliwych rzeczywiście twierdzeń i dobrych rad pod adresem Generała z ust Profesora wyrwała się straszna skarga: Generał mianowicie popełnił ciężki błąd nie rozwiązując partii komunistycznej 13 grudnia 1981; gdyby ją był rozwiązał, siedemdziesiąt procent Polaków poparłoby obecny reżym wojskowy. Nic dziwnego, że nie rozwiązana wbrew profesorskim podseptom partia postanowiła w każdym razie pożyć się czym prędzej takiego członka.

Sytuacja z gatunku tych, które inspirują serię *Sławomir Mrozek donosi*. W tym wypadku płynie donos do ducha Marksa w zaświatach, że jego ostatni w Polsce uczeń i wyznawca zwiędził gmach marksizmu kopułą harakirizmu: polubią nas z całego serca dopiero na marach, w politycznym niebycie; ubranych przy tym w galowe mundury oficerskie. Trzeba przyznać, że w uciesznym marksizmie zjaponizowanym Profesora ukryta jest jakaś szczypta nie marksistowskiego zdrowego rozsądku.

Neapol, 8 lipca

W więzieniach i łagrach sowieckich spotykało się często ludzi, którzy „siedzieli za słowo”. „Jak to za słowo?”. „Powiedziałem widać coś takiego, co im się nie spodobało”. Skazani „za słowo”

na ogół nie pamiętali co takiego, albo woleli inkryminowanego „słowa” nie powtarzać nawet za kratami i drutami. Należeli zresztą z reguły prawie do więźniów najbardziej małowównych.

W posłowie do *LTI — Lingua Tertii Imperii* — Klemperer opowiada, że pod koniec wojny poznał w Górnej Bawarii robotnicę z Berlina, która odsiedziała rok w więzieniu. „Z jakiego powodu?”. „A no, z powodu wyrazów”. Drezneński romanista postanowił wtedy, że swój prywatny „notatnik filologa” o języku Trzeciej Rzeszy, dziennik prowadzony potajemnie „z żółtą łata” od początków hitleryzmu, musi przygotować do druku. Pracę nad nim ukończył w roku 1946. Do śmierci w roku 1960 wykładał na uniwersytetach w NRD. Od dawna uważa się jego *LTI* za klasyczne studium języka totalitarnego. Przekład polski wydano w Krakowie dopiero teraz, może z cichym zamiarem uczczenia „roku orwellowskiego”. Nie jest wykluczone, że Orwell słyszał przynajmniej o książce Klemperera, skoro dołączony do *Roku 1984* traktat o „zasadach nowomowy” oparł na analizie języka Trzeciej Rzeszy i ZSSR. Czy powstanie kiedyś, za przykładem i jako sowiecki odpowiednik *LTI* Klemperera, *LUI* czyli *Lingua Ultimi Imperii*?

„Ty jesteś niczym, twój naród jest wszystkim”. Tak Klemperer określa rdzeń *LTI*. I wyjaśnia: „*LTI* zmierza do całkowitego pozbawienia jednostki jej indywidualnej istoty, do uczynienia z niej bezmyślnej i bezwolnej sztuki w stadzie, które się pędzi w dowolnym kierunku, atomu w toczącym się kamiennym bloku”. Dwa lata temu A. N. Wasiliewa obwieściła triumfalnie w Moskwie, że język sowiecki daje człowiekowi sowieckiemu możliwość „uświadomienia sobie swojego optymalnego miejsca jako komórki organizmu społecznego”.

W książce Klemperera jest jednak także rozdział zatytułowany *Kiedy dwóch czyni to samo...*, z następującą konkluzją: „*Gleichschalten* i inżynier dusz — i tu i tam zwrot techniczny, przy czym metafora niemiecka wskazuje drogę ku zniewoleniu, a rosyjska ku wolności”. Można naturalnie, kładąc nacisk na sam fakt że Klemperer poczuł się w obowiązku zestawić obie „nowomowy”, uznać ten rozdział za cenę wydania książki w NRD. Lecz bliższe prawdy wydaje mi się przypuszczenie, że zaraz po wojnie nie zdawał sobie jeszcze sprawy ze syjamskiego braterstwa *LTI* i *LUI*; zdaje się to sugerować polski tłumacz Juliusz Zychowicz, gdy napomyka o fragmentach książki „rażących naiwnością widzenia zresztą w pełni zrozumiałą na tle ówczesnej psychicznej sytuacji autora”. Tak czy owak, jeśli w ZSSR pisze ktoś „do szuflady” sowiecki „notatnik filologa”, przekonamy się na materiale znacznie obfitszym od materiału Klemperera, że czasem

w drodze wyjątku „kiedy dwóch czyni to samo”, jest to dokładnie, po orwellowsku to samo.

10 lipca

W powieści Wiesława Myśliwskiego *Kamień na kamieniu* występuje zagadkowa trochę postać Michała, syna chłopskiego który wyrwał się do miasta, długo nie dawał znaku życia, wreszcie pewnego dnia zjechał limuzyną do ojcowskiej chałupy, obsypał prezentami rodziców i braci, poddał wszystkich błyskawicznej policyjnej indagacji na temat rodzinnej wsi, i tyle go widziano. W jakiś czas później przywiozła go do rodzinnego domu żona, odrętwiałego i milczącego. Przywiozła i zostawiła. Odtąd żył jak żebrak, używany przez chłopów do najczarniejszych posług, nie odzywając się do nikogo ani słowem, porażony nagłą niemotą. Kim był w mieście, jaką tam zrobił karierę, wolno się jedynie domyślać. Do rodzinnej wsi wrócił z uciętym językiem.

Na ostatniej stronicy powieści jej bohater-narrator, brat Michała, zaklina go by w końcu przemówił. „Cały świat jest jedną mową. Gdybyś tak się w ten świat dobrze wsłuchał, mógłbyś nawet usłyszeć co sto lat temu mówili, a może i tysiące. Bo słowa śmierci nie znają... Bóg się każe słowami ludziom modlić, bo bez słów nie odróżniłby człowieka od człowieka. A i człowiek sam siebie by nie odróżnił, gdyby nie miał słów. Od słowa zaczyna się życie i na słowach kończy. Bo śmierć to tak samo tylko koniec słów”. Myśliwski zamyka powieść tym wezwaniem do oniemiałego, nadając jej posmak współczesnego mitu o zabiłaniu mowy żywej. *Kamień na kamieniu* jest znaczącą pozycją w prozie polskiej; i kolejnym dowodem jak głęboko odczuwane są w kraju sprawy, które poruszyłem w poprzednim zapisie.

Dragonea, 17 lipca

Poranny spacer drogą z Dragonei do Cava dei Tirreni, z czterema postojami.

Postój pierwszy. Kilometr za Dragoneą ostry zakręt, jak brama do krajobrazu, który nazwałbym prakrajobrazem. Nawisy skalne, nie — raczej rozpostarte szeroko nad drogą dachy skalne: obsuną się z hukiem, czy wytrzymają napór lasu powstrzymanego na samym skraju urwiska? Stok ucięty gwałtownie, w ścianie warstwy i żłobienia niby po odpływie fal potopu. Po tamtej stronie drogi głęboki wąwóz, gardziel zatkana dziką, skłębioną roślinnością. Wilgotny półmrok, ciszę odmierza strumień wycie-

kający z górnego gąszczu drzew i opadający do wydrążonej w skale niecki. W zeszłym stuleciu malarze neapolitańscy ze „szkoły posillipskiej”, przeważnie Holendrzy z pochodzenia, odcisnęli w tym krajobrazie pieczęć spojrzenia romantycznego, posępnego i podszytego dyskretnie rozmarzonym, słodkawym niekiedy sentymentalizmem „natury w stanie pierwotnym”. Ale to nie to. Stworzyli romantyczny falsyfikat krajobrazu, wyzutego z wszelkiego romantyzmu. Przed kilku laty był tu krótko Lebenstein i natychmiast zobaczył co trzeba. Odtąd widuje w jego ilustracjach biblijnych odległe echa prakrajobrazu pod Dragoneą.

Postój drugi. Pół kilometra dalej Przełaz, zwany *Passo del Diavolo*. Prawdopodobnie wąski przesmyk między dwoma wybrzuszeniami stoku prowadził niegdyś do zamieszkałej przez Diabła pieczary, zarośniętej teraz drzewami i krzakami. Zresztą Diabeł występuje w dragonejskiej przeszłości pod różnymi postaciami, ogromnego i opierzonego węża lub smoka na przykład, więc jego siedzibę można sobie wyobrażać rozmaicie. Musiała jednak przeważać wizja Diabła o ludzkiej postaci, skoro do niedawna jeszcze wskazywano w połowie Przełazu zbutwiałą (i dziś nie istniejącą) furtkę jako wejście do jego kryjówki. Stamtąd, w nocnych głównie wypadach, atakował upatrzone ofiary.

Postój trzeci. Upatrzoną ofiarą był między innymi, a może przede wszystkim, Pustelnik. Jeszcze pół kilometra i dociera się do jego groty. Żył w niej przeszło trzydzieści lat, bezustannie napastowany i kuszony przez Diabła. Nie wiadomo kiedy, w przekazach ludowych daty nie odgrywają roli. Wiadomo tylko, że wyszedł z tej próby zwycięsko, umarł jako świętobliwy starzec, Bogu oddał ducha a ciało swej pustelniczej grocie. Dokoła niej zbudowano w skale małeńki kościół na początku XVIII stulecia. *Avvocatella* jest czułym zdrobieniem od *Avvocata*, Przyzywanej Obrończyni. *Santuario dell'Avvocatella*, odnowione ostatnio przez mieszkańców Cava dei Tirreni, przypomina tablicą dawny pojedynek Światła z Ciemnością. *Vi fu un tempo...* „Był czas, gdy Szatan ukryty w tych pieczarach czyhał jak lew w jaskini”.

Postój czwarty. W odległości dwóch kilometrów od Przyzywanej Obrończyni (w zdrobieniu) *Badia di Cava*, jedno z najstarszych i najświetniejszych Opactw Benedyktyńskich na świecie. „Kamień węgielny” sięga początków XI wieku, była nim znowu pustelnicza grotka. Alferio, ambasador księcia longobardzkiego z Salerno, poczuł powołanie dzięki podróży do Cluny około roku 1020; wróciwszy w rodzinne strony, rozpoczął żywot eremity w grocie Arsicia. Dożył sędziwego wieku, umarł w roku 1050 po założeniu Opactwa. W roku 1092 odwiedził Opactwo papież Urban II i konsekrował w nim świeżo wzniesioną Bazylikę z ołtarzem wmurowanym w grotę Arsicia. Opactwo chlubi

się bogatym zbiorem średniowiecznych kodeksów iluminowanych i wieloma dziełami sztuki — zwłaszcza rzeźbami i płaskorzeźbami sieneńskiego mistrza Tino di Camaino, — ale jego szczególnie duch zawarty jest być może w cmentarnym lochu. Spoczywają tu, ułożone osobno w dwóch symetrycznych stosach, piszczele i czaszki zakonników. Dwie białe piramidy, tak przez czas wybielone, że w mrocznym lochu skupiają całe światło dzienne. Gdy się od nich odrywa w końcu wzrok ku sklepieniu lochu, oczom ukazuje się (wraz z mimowolnym dreszczem) atlasowe, pulsujące „obicie” w górze: to tysiące nietoperzy, gęsto jeden obok drugiego przyczepionych do sklepienia, jakby zszytych niewidzialnymi nićmi. One są czarną Nocą, zaczajoną nad Dniem w dwóch białych piramidach.

I taki nadałby tytuł, *Dzień i Noc*, czterem postojom na trasie czterech kilometrów dragonejskiego spaceru. Jakiś mądry malarz-miniaturzysta mógłby, naśladowując styl kodeksów iluminowanych w Opactwie, zamknąć w czterech obrazkach Postać Świata, o której bezradnie i zawile rozprawia się w księgach filozoficznych.

*Neapol, 10 sierpnia*

Ucieszył mnie niezmiernie list napisany przez Zbigniewa Bujaka do Władimira Bukowskiego po przeczytaniu jego książki *I powraca wiatr...* „Twoja książka pomaga przezwyciężyć zakorzeniony w świadomości wielu Polaków stereotyp o Rosjanach jako ludziach z duszą niewolnika, dla których bolszewizm jest naturalną kontynuacją ich historii”. Tyle razy pisałem o konieczności przezwyciężenia tego stereotypu (co wcale nie oznacza zamknięcia oczu na, powiedzmy, De Custine'a czy Kucharzewskiego), że mogę sobie darować dłuższy wywód dlaczego taką radość sprawił mi list Bujaka.

Książkę Bukowskiego uważam za znakomitą, często żałowałem że w recepcji czytelników — także polskich — usunęły ją trochę w cień głośnie dzieła nowego piśmiennictwa rosyjskiego w rodzaju *Archipelagu* Sołżenicyna i pamiętników Nadziejdy Mandelsztam. Porównałbym ją z *Wielką Czystką* Alexa Weissberga-Cybulskiego: ten sam typ „umysłu nieposkromionego”, logicznego, jasnego i trzeźwego, zaszczerpionego przeciw mózgowym i efekciarskim teoryjkom i interpretacjom; podobna wrażliwość na krzywdę codzienną, konkretną, dotykającą, połączona z alergicznym stosunkiem do rozważań abstrakcyjnych; analogiczna *ordinary human decency* (że użyję określenia Orwella), wierność elementarnym normom i nakazom postępowania ze świeckiego dekalogu moralnego; i wreszcie dusza wolnego człowieka.

Alex, który był przyjacielem i kiedyś nawet mentorem Koeslera, postawił *Wielką Czystką* pod znakiem zapytania *Ciemność w południe*. Bukowski powiedział o ustroju sowieckim, o panującej w nim „ideologii” i o „człowieku sowieckim” dużo prostych i oczywistych prawd, zanim usłyszeliśmy z ust Zinowiewa „w pełni naukowe” bałamuctwa o „obiektywnych prawach uniwersalnych” komunizmu i o „człowieku sowieckim” jako „matematycznym wyniku systemu”. Z ulgą czytało się w jego książce, ignorującej „sowietologiczną” modę na „ideokrację”: „Od góry do dołu nikt nie wierzy już w marksistowskie dogmaty, ale nadal kierują się nimi, powołują się na nie i nimi też walą jeden drugiego — są one dowodem lojalności, kartką na chleb”. Albo: „Nikt od ciebie nie wymaga, byś tę władzę kochał, czy też jej ufał — wystarczy, byś się jej bał, był pokorny, wykonywał plan, podnosił rękę na zebraniu, zgodnie aprobował i z oburzeniem potępiał”. Dla mnie, który parokrotnie formułowałem zasadę gangsteryzmu jako najwyższego stadium sowytyzmu, miodem są słowa: „Ich (złodziei w więzieniach i łagrach) podstawowe reguły postępowania i kryteria są tak rozpowszechnione, że ideologię złodziejską można uznać za znacznie bardziej popularną od komunistycznej; w istocie różni się ona bardzo nieznacznie od rzeczywistej ideologii kierownictwa partyjnego i te dwa światy niezwykle są do siebie podobne”.

Pewien pomysł literacki powinna pisarzom rosyjskim nasuwać uwaga Bukowskiego: „KGB, zamiast stalinowskiej tezy o zastrzaniu się walki klasowej, otrzymało nową ideologiczną wytyczną o wzroście zachorowań psychicznych w miarę budowy komunizmu”. A gdyby tak któryś z nich spróbował napisać *Jasność o północy*, powieść w kilku kolejnych „badaniach psychiatrycznych” o wnuku Rubaszowa, ciąg dalszy *Ciemności w południe*, powieści w trzech „przesłuchaniach” o Rubaszowie...

15 sierpnia

Nie bardzo wiem, szczerze mówiąc, po co odkopano w *Twórczości* notę Marii Dąbrowskiej z roku 1958 w obronie Hłaski przed atakami *Trybuny Ludu* i *Polityki*. Nota jest niby zająca, napisana w najlepszych intencjach, ale dzisiaj po prostu śmieszna. Dąbrowska broni Hłaski argumentem, że „czarna literatura” stała się zjawiskiem uniwersalnym, powołując się między innymi na nowelę japońskiego pisarza Osamu Dazai *Zona Villona*, drukowaną (w moim przekładzie i z moim słowem wstępnym) w tym samym numerze *Kultury*, w którym ogłoszono przyznanie Hłasce nagrody literackiej *Kultury* za wydane właśnie *Cmentarze*. Pi-

sałem istotnie w moim słowie wstępnym: „Jeszcze mniej egzotyczny okaże się Dazai dla rodaków Hłaski. Pokrewieństwa sięgają tu głębiej, niż do naskórkowej warstwy alkoholizmu i ucieczki samobójczej w *Zonie Villona* z jednej strony, a w *Pętli* Hłaski z drugiej. W powietrzu nasyconym gęstą mgłą czadu tłuką się rozpaczliwie dwa klasyczne elementy każdej tragedii: nieuniknioność zła i pragnienie sublimacji w ukrytych gdzieś źródłach dobra”. No pięknie, nie był to jednak i nie mógł być żaden argument dla oskarżycieli z *Trybuny Ludu* i *Polityki*. Dla nich „alkoholiczna” nowela Dazai stanowiła dowód gnicia opanowanej przez imperializm amerykański Japonii, a „alkoholiczna” nowela Hłaski oczerniała świetlaną terażniejszość i przyszłość Polski Ludowej. Obie te nowele „alkoholiczne” pobiła później na głowę krótka powieść „alkoholiczna” pisarza rosyjskiego Jerofiejewa *Moskwa — Pietuszki*, wydana w roku 1975. Ale wydano ją poza granicami ZSSR, podobnie jak studium anonimowego socjologa, ekonomisty i statystyka sowieckiego *Wódka: Towar Numer Jeden*. Realny socjalizm żyje z nieistniejącego pod jego panowaniem alkoholu; natomiast pisanie realistycznych nowel i powieści „alkoholicznych” powinno być wyłączną domeną „czarnej literatury” pod panowaniem kapitalizmu.

Nie rozumiała tego Dąbrowska? Może i nie rozumiała, skoro do jej noty w obronie Hłaski zakradło się takie zdanie: „Dla polityków emigracyjnych paryskie wydanie Hłaski to doraźny, łatwy sukces podnoszący ich atrakcyjność”. Zdanie zalatuje dzisiaj meskinerią, brzmi i śmiesznie i głupio. Przyjmując za swoje tego rodzaju kryteria z żelaznego repertuaru „klasowego” organizatorów nagonki na Hłaskę (i innych), nie ma sensu wdawać się w spory z *Trybuną Ludu* i *Polityką*.

19 sierpnia

Kot J. przysłał mi wycinek z *Le Matin*, poamnestyjny wywiad z Karolem Modzelewskim. Zakreślił w nim, jako najbardziej uderzającą, wypowiedź Modzelewskiego na temat „realizmu politycznego”: „władza odmawia zaspokojenia takich żądań społecznych, które uważa za „nierealistyczne”; ale *Establishment* polski i międzynarodowy musi się liczyć z naszą rzeczywistością, z rzeczywistością niezniszczalnych już aspiracji społeczeństwa polskiego i jego działań; jeśli ma dojść do rozwiązania kryzysu politycznego w PRL, nie wolno lekceważyć żadnej z tych dwóch rzeczywistości.

„Realizm Wenecji Ocalonej — dodaje od siebie Kot w liście, — a w związku z naszym czasem specyficznie polski realizm”.

Ta aluzja do mojego szkicu o tragedii Simone Weil, napisanego w roku 1964, jest dla mnie więcej niż przyjemna. I myślę bez fałszywej skromności, że miałem naprawdę rację dwadzieścia lat temu, wyciągając z *Venise sauvée*, tragedii o „buncie rzeczywistości zdegradowanej przeciw snom opętańców”, podstawową i tak dziś dla nas ważną naukę. Można niewątpliwie, na marginesie wypowiedzi Modzelewskiego, zacytować zakończenie mojego szkicu: „Utopistami, błędnymi rycerzami, wykolejeńcami, zdrajcami nazywa się (zależnie od okoliczności) tych, którzy nie chcą przyjąć Racji Stanu wyposażonej jedynie w najwyższy atrybut Siły. Jak gdyby nie było jasne, że istotą totalizmów i „snów siły” jest właśnie ich brak poczucia rzeczywistości! Można drwić (nic łatwiejszego) z banitów i rozbitków wiernych obrazowi *polis* jaki noszą w umysłach i sercach na przekór losowi, lecz to oni są realistami w najgłębszym (bo moralnym) tego słowa znaczeniu”.

W moim dzienniku, pod datą 19 października 1983, posłałem to zakończenie Herbertowi po przeczytaniu jego nowego tomu wierszy. Więc także „realizm Raportu z Oblężonego Miasta”.

### 20 sierpnia

W kwartalniku amerykańskim *Formations* znajduję tekst Jana Kotta, nazwany przez autora „wprowadzeniem do autobiografii”. W jednym z rozdziałów mowa o „ukąszeniu heglowskim”. To było do przewidzenia. Odkąd posłużył się tym określeniem Miłosz (w polemice z moimi uwagami o *Zniewolonym umyśle*), było do przewidzenia że przypadnie ono bardzo do gustu ex-„zniewolonym umysłem” w stadium wyzwoleniczej rekonwalescencji. Ma dźwięk Nobliwy. Kto wie, może powstanie kiedyś ZUH, Związek Ukąszonych przez Hegla...

Sierpniowe ślimaczenie się dni sprzyja zaglądaniu do starych teczek. Dwa zeszytiki *Światła* z roku 1947, pepesowskiego miesięcznika pod redakcją Zygmunta Zaremby, w nich mój artykuł *Lord Jim i towarzysz Jan* w obronie Conrada zaatakowanego przez Kotta w *Mitologii i realizmie*. „Ukąszenie heglowskie” Kotta (jeszcze wówczas, rzecz prosta, nie rozpoznane jako takie) sprowadzało się do odrzucenia „conradowskiej wierności samemu sobie”; bo była „wiernością niewolników”; bo mgliste pojęcia wierności, godności, honoru przekładała nad jasne pojęcia „idej” i „niewzruszonych praw historii”.

W *Lordzie Jimie* pamiętna jest diatryba — aktualna zwłaszcza w naszym wieku „zmierzchu ideologii”, lecz i ciągłych podbojów „ideokracji” — przeciw „ideom, tym włóczęgom, łazikom,

co się dobierają do tylnych drzwi duszy, aby cząstka po cząstce zżerać naszą istotę, aby wykradać okruchy wiary w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć”.

Zdaje się, że Kott nie wracał już do Conrada na etapie „poematów dla dorosłych”. Natomiast wydanie *Lorda Jima* z roku 1956 zaopatrzone w posłowie Jerzego Andrzejewskiego, mętne, wystękanie, zakrzuszone i zająkane, napisane przypuszczalnie po to tylko, by w zakończeniu uderzyć się w piersi ostatnimi przed śmiercią słowami Jima do Doramina: „Przyszedłem pełen żalu”.

### 21 sierpnia

*Rozmowy polskie latem 1983* Jarosława Marka Rymkiewicza. Jakaż to ładna i rozumna książka! Wśród wielu jej poetyckich uroków i bardzo inteligentnych rozważań taka refleksja, dokładnie przylegająca do mojego przedwczorajszego zapisu: „Skłonność do duchowego szaleństwa — którą czerwoni, dwuznacznie się uśmiechając, nazywają dzisiaj brakiem realizmu politycznego — skłonność niewątpliwie piękna, bowiem czyniąca z Polaków nie co innego jak Polaków właśnie, powinna być, jeśli mamy przetrwać, i jako Polacy właśnie, starannie przez nas pielęgnowana i ochraniać”. Mogę zamknąć bieżącą partię mojego dziennika: realizm Wenecji Ocalonej, realizm Raportu z Oblężonego Miasta, realizm Rozmów Polskich Latem 1983.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

### W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

## KOMPLET „KULTURY” (1947-1983) NA MIKROFISZACH

Niewiele księgozbiorów na świecie posiada pełne komplety *Kultury*, która ukazuje się w Paryżu regularnie od 1947 roku. Pragnąc wypełnić istniejące zapotrzebowanie w kraju i na Zachodzie zleciliśmy INDEPENDENT POLISH AGENCY przygotowanie kompletu dotychczasowych roczników *Kultury* na mikrofiszach.

Mikrofisze to nowa, szybko rozwijająca się technika, znajdująca wszędzie coraz szersze zastosowanie. Obecnie zdecydowana większość bibliotek uniwersyteckich dysponuje czytnikami, często połączonymi z kopiarkami. (Tego typu czytnik marki FUJI waży mniej niż jeden kilogram, zabiera niewiele miejsca i kosztuje około 800 franków).

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1983) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równoważność w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Zamówienia należy zgłaszać do:

**IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.**

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowym przekazem pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* na mikrofiszach będzie systematycznie kompletowana. Rocznik 1984 ukaże się w styczniu 1985. Cena rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki normalnej prenumeraty *Kultury* a więc obecnie 28 dolarów lub równoważność).

Zamówienia kolejnych następnych roczników *Kultury* na mikrofiszach zamawiać można w redakcji *Kultury* dopłacając 50 % rocznej prenumeraty z dopiskiem „mikrofisze”. Można też zamawiać wyłącznie mikrofiszową edycję *Kultury* przez IPA. W takim przypadku cena rocznika wynosić będzie 75 % rocznej prenumeraty *Kultury*. Opłaty prosimy przysyłać bezpośrednio na IPA.

## Archiwum polityczne

### PRL w poczekalni MFW

Od kilku już lat rząd w Warszawie kołaczy do dwóch międzynarodowych instytucji finansowych i prosi o przyjęcie na członka: do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i do Światowego Banku Rozwoju. Ostatnio sprawa nabrała nowej aktualności w związku z tym, że przeszkody polityczne, jakie wyrosły na drodze PRL do tych instytucji międzynarodowych po grudniu 1981, zaczynają obecnie maleć. Pierścień restrykcji, którymi otoczono gospodarkę PRL po wprowadzeniu stanu wojennego zaczyna słabnąć, rząd PRL wzmaga kampanię propagandową przeciw nałożonym ograniczeniom, powołując się z jednej strony na bezprawność zastosowanych działań Zachodu, a z drugiej strony, choć jest to sprzeczność w argumentacji — na to, że już osiągnięto w kraju tzw. normalizację, a zatem sankcje gospodarcze stają się nieuzasadnione, gdyż przyczyna nałożenia tych kar zniknęła.

W ostatnich tygodniach nowym bodźcem w wysiłkach rządu warszawskiego dla uzyskania przyjęcia do MFW i ŚBR stała się amnestia, która z okazji okrągłego jubileuszu 40-lecia rządów komunistycznych nad Wisłą zwolniła z więzień kilkadziesiąt tysięcy kryminalistów i kilkuset uwięzionych za „przestępstwa popełnione z pobudek politycznych”. Amnestia, choć dla „politycznych” obciążona tak upokarzającymi warunkami, ma być koronnym argumentem PRL w polemice przeciw gospodarczym restrykcjom; ma być uznana za spełnienie drugiego warunku, spośród trzech, od których uzależniono zniesienie restrykcji. Warunki te — przypomnijmy — obejmowały: zniesienie stanu wojennego, zwolnienie więźniów politycznych i zawarcie porozumienia narodowego. PRL teraz argumentuje: stan wojenny został zniesiony



przeszło rok temu, więźniowie polityczni właśnie już wychodzą, a porozumienie narodowe realizujemy przecież od początku. Więc za co te restrykcje, sankcje i dyskryminacja? Żądamy ich zniesienia, a w pierwszej kolejności odstąpienia od blokady dostępu do MFW — mówi Warszawa.

Trzeba przyznać, że na Zachodzie są ludzie i instytucje, które chętnie słuchają tej argumentacji, a ostatnio w ich szeregach znaleźli się Amerykanie, którzy ogłosili zniesienie pomniejszych restrykcji i zapowiedzieli gotowość rezygnacji ze swojego weta przeciw przystąpieniu PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Można więc oczekiwać, że niebawem rozpoczną się w tej sprawie oficjalne negocjacje, rozczone przez propagandę komunistyczną jako jeszcze jedno zwycięstwo polityczne i ekonomiczne.

Sytuacja ta zmusza do podjęcia tematu uczestnictwa PRL w międzynarodowych instytucjach finansowych Zachodu i zastanowienia się, czy uczestnictwo takie pomoże w tym wielkim procesie wydobywania się społeczeństwa polskiego z okowów komunistycznego totalitaryzmu, czy przeciwnie — totalitaryzm ten umocni i utrwali. Ta sprawa bowiem powinna być naszym głównym kryterium przy ocenie wszelkich faktów działających się w płaszczyźnie międzynarodowej.

Wychodząc z tych pozycji trzeba sprawę wejścia PRL do MFW rozważyć w dwóch płaszczyznach: gospodarczej i politycznej, w obu tych płaszczyznach zestawiając argumenty za uczestnictwem PRL (jeśli takie będą) i przeciw niemu.

Płaszczyzna gospodarcza tego problemu przedstawia się następująco:

Międzynarodowy Fundusz Walutowy został utworzony w 1946 roku po to, aby popierać i ułatwiać wymianę międzynarodową od strony walutowej. Główne zadanie MFW polega na tym, aby pomagać poszczególnym krajom w utrzymaniu wymiennalności ich walut przy ograniczeniu zmian kursów tych walut w ramach wąskich przedziałów. To pomaganie w utrzymaniu wymiennalności po względnie stałym kursie ma postać pożyczek, które MFW udziela krajom, których waluta jest zagrożona w swej wymiennalności wskutek braku równowagi w wymianie tego kraju z zagranicą. Wygląda to w ten sposób, że jeśli jakiś kraj ma utrzymujący się deficyt w bieżących obrotach handlowych (niekompensowany napływem kapitałów), to znaczy że import do tego kraju jest większy niż eksport; wówczas w kraju tym występuje duży popyt na waluty obce, natomiast ze strony zagranicy ujawnia się mały popyt na walutę danego kraju. Ta sytuacja przy swobodnej wymiennalności walut prowadzi do spadku kursu waluty danego kraju, co z kolei jest przyczyną zakłóceń w handlu zagranicznym, odczuwanych zarówno przez dany kraj jak i przez

jego partnerów zagranicznych. Aby tego uniknąć możliwe są dwa wyjścia. Można wprowadzić reglamentację dewizową, to znaczy zawiesić swobodną wymiennalność waluty i wprowadzić przymusowy skup dewiz od eksporterów i przydział dewiz dla importerów po wyznaczonym kursie. Lekarstwo to jednak jest gorsze od samej choroby, oznacza ono zawieszenie gospodarki rynkowej na odcinku wymiany z zagranicą i prowadzi do olbrzymiego marnotrawstwa i szkód gospodarczych.

Drugie wyjście polega na uzyskaniu pożyczki w walucie zagranicznej, co bezpośrednio ma służyć podtrzymaniu kursu waluty własnej i utrzymaniu wymiennalności. Pożyczka w walucie zagranicznej umożliwia bowiem wykupywanie przez bank danego kraju własnej waluty, przedstawianej do sprzedaży przez zagranicznych eksporterów, którym krajowi importerzy płacili za importowane towary walutą krajową, jako wymienną.

Ale sytuacja ta nie może trwać długo, gdyż przy utrzymującej się nierównowadze w handlu zagranicznym pożyczka szybko się wyczerpie. Rzeczywiste drugie wyjście polega więc na tym, że kraj, którego waluta jest zagrożona podejmuje zmianę w swej polityce gospodarczej — zmianę, która ma przywrócić równowagę między importem a eksportem. W świetle takiej zmiany owa pożyczka zagraniczna ma być tylko doraźną pomocą i ma dać czas rządowi danego kraju dla przestawienia swej polityki bez uciekania się do reglamentacji dewizowej z jednej strony, lub do drastycznej zmiany kursu z drugiej strony.

A zatem rola Międzynarodowego Funduszu Walutowego nie polega na tym, by łątać dziury w bilansach handlowych danego kraju i finansować deficyt w jego wymianie międzynarodowej, bo to by nie miało sensu, ale na tym, by przez chwilowe podtrzymanie jego płynności (to znaczy wymiennalności waluty) umożliwić, zachęcić i skłonić go do niewypadania z gry na rynku światowym, gry prowadzonej według zasad wolnego handlu, w której wymiana dokonuje się za pieniądze o nieograniczonej (teoretycznie) wymiennalności. Ale żeby ta pomoc ze strony MFW miała sens i była skuteczna, dany kraj musi wykorzystać czas uzyskany dzięki pomocy MFW na zmianę swej polityki w kierunku powrotu do równowagi w wymianie z zagranicą. Ta „zmiana polityki” to jest takie ogólnikowe określenie, które wymaga powiędzenia dokładnie, o co tu chodzi. Otóż chodzi o to, aby osiągnąć równowagę przez zwiększenie eksportu i (lub) zmniejszenie importu, ale bez wprowadzania reglamentacji dewizowej czy towarowej, czyli bez ingerencji administracyjnej w handel zagraniczny. Nie chodzi więc tylko o samą równowagę, ale i o metodę, która do niej doprowadzi. Metoda ma być ekonomiczna a nie administracyjna.

Ekonomiczna metoda doprowadzenia do równowagi w handlu zagranicznym polega na tym, że dany kraj musi dokonać zmian w swej wewnętrznej polityce gospodarczej i to zmian istotnych. W ogólnym ujęciu zmiany te muszą polegać na wprowadzeniu deflacji, przez co zostanie ograniczony popyt wewnętrzny w kraju, a przede wszystkim inwestycje. Ubocznym, choć niekonięcznym skutkiem takiej polityki może być bezrobocie. Natomiast skutkiem zamierzonym i koniecznym musi być zmiana struktury produkcji danego kraju. Co innego bowiem trzeba produkować, gdy popyt wewnętrzny maleje i gdy głównym sposobem utrzymania produkcji, a więc i stanu zatrudnienia, jest zwiększenie eksportu. Ta właśnie konieczność zmiany wewnętrznej struktury produkcji jako sposobu adaptacji własnej gospodarki do wymogów równowagi w handlu z zagranicą, jest głównym działaniem polityczno-gospodarczym, które ma doprowadzić do likwidacji deficytu w wymianie z zagranicą, a jednocześnie dotrzymać warunków i zasad wolnego handlu, wymaganych przez MFW. W tym właśnie znajduje się uzasadnienie, iż MFW wraz z pożyczką przekazuje danemu krajowi warunki, jakie musi spełnić w postaci zmiany w swej wewnętrznej polityce gospodarczej. I tu jest pies pogrzebany, gdyż poszczególne państwa, zasłaniając się swą suwerennością, bardzo nie lubią zmieniać swej polityki wewnętrznej pod wpływem impulsów idących z zagranicy, a zwłaszcza zmieniać w kierunku niepopularnym, jakim jest deflacja i ograniczenie popytu wewnętrznego. Międzynarodowy Fundusz Walutowy swoimi pożyczkami po prostu kupuje od poszczególnych krajów ich zgodę na zmianę wewnętrznej polityki gospodarczej i jeśli taka „transakcja” dochodzi do skutku, oznacza to, że jest zarówno w interesie rynku światowego, jak i danego kraju.

Sprawa jest jednak znacznie bardziej skomplikowana jeśli rzecz dotyczy takiego państwa, jak PRL — to znaczy kraju o gospodarce planowanej centralnie. Jeżeli zestawimy motywy i zasady pomocy MFW dla kraju członkowskiego, który popadł w trudności w handlu zagranicznym z zasadami gospodarki planowej i z realiami polsko-ludowymi, to okaże się, że pomoc MFW może w tym przypadku trafić tylko w próżnię, a pożyczka będzie wykorzystana do zupełnie innych celów, niezgodnych z polityką MFW.

Zanalizujemy to po kolei: MFW udziela pożyczek na podtrzymanie wymienialności waluty danego kraju. Tymczasem waluta PRL — złoty — nie jest wymienialna i nie była taką od początku istnienia tego państwa. Co więcej — zagraniczna wymienialność waluty pozostaje w głębokiej sprzeczności z zasadą planu centralnego, dlatego też waluty krajów Europy Wschodniej

nie są wymienialne również w ramach RWPG i próba wprowadzenia tzw. rubla transferowego, jako formy wymienialności walut tych krajów, nie powiodła się. Od strony wymienialności waluty sprawa jest więc jasna: nie ma czego podtrzymywać, działanie MFW jest tu bezprzedmiotowe.

Sprawa druga. MFW swoimi pożyczkami pragnie nie dopuścić do reglamentacji dewizowej. W PRL reglamentacja dewizowa utrzymuje się od początku, a pewne zmiany, jakie wprowadzono w tej dziedzinie w ostatnich latach w ramach tzw. reformy gospodarczej, nie naruszają tego systemu. Eksporterzy uzyskują wprawdzie prawo do zatrzymywania pewnej, niewielkiej części dewiz na finansowanie importu, ale odsetek owych odpisów dewizowych jest zmienny i ustalany przez bank, a więc stanowi to inną formę reglamentacji. A zatem ogólnie: dewizy uzyskane przez eksporterów muszą być odsprzedawane bankowi centralnemu, który z kolei sprzedaje je importerom na podstawie zezwoleń (i nakazów) na import, zapisanych w planie centralnym. Oczywiście wyrażenie „zakup” czy „sprzedaż” dewiz to są tradycyjne słowa użyte na oznaczenie zupełnie innych, niehandlowych treści. W rzeczywistości są to zawłaszczenia i przydziały nie tylko ze względu na przymus i reglamentację dewizową, ale również ze względu na cenę dewiz, czyli ich kurs w walucie polskiej, według którego dokonuje się tej operacji. Nie jest to cena równowagi. Jest to kurs ustalony administracyjnie i grubo niższy niż wynikałoby to z relacji podaży dewiz i popytu na nie ze strony gospodarki. Administracyjny kurs, przymusowy skup i reglamentacja ilościowa są to narzędzia finansowe, które umożliwiają planowi centralnemu utrzymanie określonej struktury handlu zagranicznego, a jednocześnie odgradzania wewnętrznej gospodarki kraju od wpływów rynku światowego. A zatem wysiłki MFW, zmierzające do zapobieżenia reglamentacji dewizowej w PRL, są spóźnione o 40 lat. W tej sprawie również pomoc MFW będzie bezprzedmiotowa.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy prowadzi swe operacje finansowe w jednym celu: aby przyczynić się do rozwoju handlu międzynarodowego, który najlepiej przebiega, gdy handel ten wolny jest od restrykcji, zakazów, ceł prohibicyjnych, kontyngentów. Tymczasem PRL w wymianie międzynarodowej nigdy nie stosowała zasad wolnego handlu. Przeciwnie — wraz z proklamowaniem zasady państwowego monopolu handlu zagranicznego wszystkie operacje w tej dziedzinie zostały (i są nadal) poddane ścisłym nakazom, dyrektywom i limitom centralnego planu gospodarczego. Przy tej fizycznej reglamentacji obrotów handlowych (ilość, asortyment, importer, eksporter) tradycyjne metody protekcyjnistyczne, stosowane przez kraje gospodarki rynkowej,

słusznie mogą uchodzić za przykład liberalizmu. A zatem pomoc MFW zastosowana do gospodarki PRL nie tylko nie rozszerzy obszarów wolnego handlu, ale przeciwnie — wzmocni elementy restrykcji w tych obrotach. Pod wpływem tych restrykcji, idących od różnych „gospodarek socjalistycznych i planowych”, handel światowy, jego wolumen i metody ulegają uwstecznieniu, następuje cofanie się handlu wielostronnego, posługującego się pieniądzem, a w to miejsce wchodzi prymitywny handel dwustronny, stosujący wymianę towaru za towar i dążący do kompensacji sald. To oczywiście musi spowodować spadek obrotów i zmniejszenie się efektywności handlu światowego, a w konsekwencji regres w międzynarodowym podziale pracy.

Wreszcie ostatnia sprawa, ale najważniejsza. Jak już powiedzieliśmy, MFW udziela pożyczek, ale jednocześnie stawia warunki, które sprowadzają się do wymagania zmian w strukturze gospodarczej kraju, głównie w postaci zmniejszenia wewnętrznego popytu, a od strony monetarnej do zastosowania polityki deflacyjnej. Ma to doprowadzić metodami ekonomicznymi do równowagi w bilansie handlowym. Czy PRL taką politykę prowadzi lub czy skłonna jest prowadzić?

Odpowiedź musi być jednoznaczna: nie prowadzi i nie ma szans, by chciała ją prowadzić. Sprawa zmiany struktury produkcji w PRL stoi na porządku dziennym od czasu pierwszego wielkiego kryzysu politycznego i gospodarczego w tym państwie w 1956 roku. Już wówczas we wszystkich uczciwych analizach ekonomicznych wskazywano, że podstawową przyczyną kryzysu gospodarczego był narzucony krajowi w pierwszym planie 6-letnim i następnie umacniany kierunek rozwoju gospodarki, charakteryzujący się dominacją przemysłu ciężkiego i ekstensywnymi metodami gospodarowania. System zarządzania gospodarką — centralistyczny i nakazowo-rozdzielczy — był już tylko sposobem, który zapewniał, że strategiczne cele gospodarki, a więc rozwój hutnictwa, górnictwa i przemysłu maszynowego oraz mobilizacja produkcyjna milionowych mas ludzkich postępowała na olbrzymią skalę.

Ta struktura gospodarcza, wyznaczona bynajmniej nie przez potrzeby ludności, lecz przez obce cele strategiczne, okazała się kryzysogenną, co ujawniało się kolejnymi przesileniami partyjno-rządowymi w 1970, 1976 i 1980 r. Ale choć za każdym razem analiza kryzysu wskazywała na stałe jego źródła i każda nowa ekipa obiecywała, że dokona głębokiej restrukturyzacji gospodarki — wszystko pozostawało po staremu: nadal rozwijano przede wszystkim przemysł ciężki i nadal forsowano ten rozwój ogromnymi masami zatrudnienia i wielkimi inwestycjami. Ekspe-

ryment Gierka wprowadził tylko tę zmianę, że próbował on podtrzymać dotychczasowy kierunek rozwoju przy pomocy ogromnych pożyczek dolarowych. I mimo, że próba ta skończyła się największym krachem gospodarczym w historii nie tylko PRL, ale całego obozu, nowa ekipa rządząca PRL od początku kontynuuje dzieło poprzedników i pracuje w ten sposób na nowy kryzys. Struktura produkcji i metody jej rozwoju, czy tylko podtrzymania, nie zmieniły się. W ostatnich dwóch latach nakłady inwestycyjne, które miały zostać obniżone, znów przekraczają plan o kilkanaście procent, jak za najlepszych (najgorszych) czasów Gierka, w dalszym ciągu forsuje się rozbudowę hutnictwa żelaza i stali, w dalszym ciągu w gospodarce utrzymuje się ogromne zatrudnienie, co powoduje stały deficyt siły roboczej i niemożliwość jakiegos manewru przestawiającego produkcję. A przy tym przez cały czas postulat zmiany struktury produkcji powtarzany jest w planach i ostatnio w szeroko reklamowanych tzw. założeniach Centralnego Planu Rocznego na 1985 rok (przypominają się tutaj dawne wytyczne) mówi się o *zapoczątkowaniu* (podkreślenie — M.S.) w 1985 roku zmian w strukturze produkcji. Pomyślmy tylko: w 4 lata po sierpniu 1980 roku planiści PRL mówią dopiero o zapoczątkowaniu zmian strukturalnych. Ale tylko mówią. Oni tego nie zrobią.

MFW zaleca w warunkach, które wiąże z pożyczkami, prowadzenie polityki deflacyjnej, obniżenie krajowego popytu. Tymczasem władze PRL prowadzą stale forsowną, świadomą politykę inflacyjną, która napędza popyt wewnętrzny. Inflacja wchodzi do gospodarki kilkoma kanałami: jest to szeroki front inwestycji kontynuowanych, które nie dają żadnego efektu produkcyjnego, a do swojego ukończenia wymagają nakładów równych rocznemu dochodowi narodowemu; jest to strumień rosnących płac pracowniczych i dochodów rolników, które napędzają koszty produkcji; jest to duży program socjalny, który obciąża budżet państwa wielomiliardowym deficytem; jest to wreszcie system dotacji, który powoduje, że część wydatków konsumpcyjnych nie jest pokrywana przez dochody ludności. Wszystko to sprawia, że mimo specjalnego planu walki z inflacją roczna jej stopa wynosi ostatnio 25 %, a gdyby stosować ceny równowagi, okazałaby się jeszcze większa.

Temu ciemnemu obrazowi sytuacji można by przeciwstawić jeden fakt — zdołano w bieżących obrotach handlowych z krajami kapitalistycznymi zdusić import, a zwiększyć eksport, uzyskując nawet pewną niewielką nadwyżkę. Ale jest to działanie administracyjne, które przynosi ogromne szkody gospodarce i to właśnie w tej dziedzinie, którą ma stymulować; gospodarka pozbawiona importu z Zachodu traci zdolności eksportowe na ten kie-

runek. Eksport ów staje się coraz mniej efektywny, jakość eksportowanych wyrobów przemysłowych gwałtownie się pogarsza, pozostaje tylko eksport surowców, których wydobycie już nie może wzrosnąć. A tymczasem krajowy popyt zasilany inflacją jest tak wielki, że gdyby nie bezwzględny nacisk na fabryki, zmuszający do eksportu, całą produkcję można by sprzedać na rynku wewnętrznym i też nie osiągnęłoby się na nim równowagi.

W rezultacie równowaga w bieżących obrotach z kapitalistyczną zagranicą jest sukcesem bardzo połowicznym i nawet przy tych drakońskich ograniczeniach importowych może zniknąć wskutek załamania się eksportu.

Tak przedstawia się gospodarcza strona problemu. Ale jest oczywiście i strona polityczna, której nie można pominąć. Rząd PRL bardzo pragnie uzyskać członkostwo MFW. Wiąże z tym nadzieje na konkretne korzyści gospodarcze i polityczne. Korzyści gospodarcze — to pożyczka z samego Funduszu, oczekiwane ułatwienia zaciągnięcia nowych pożyczek na światowym rynku finansowym, złagodzenie warunków spłaty dotychczasowych długów przez obniżenie oprocentowania i wydłużenie okresu spłaty rat. Korzyści polityczne — to swoista nobilitacja międzynarodowo-gospodarcza, jaką jest członkostwo Funduszu, traktowane jak przyjęcie do „Klubu Dżentelmenów”. To wreszcie cofnięcie głównych restrykcji, wprowadzonych po stanie wojennym, czyli publiczny akt rozgrzeszenia i odpuszczenia win politycznych, jakimi obciążono rząd PRL po 1981 roku.

Powstaje pytanie, czy politycznie taki prezent ze strony Zachodu ma uzasadnienie? Można na to powiedzieć, że rząd PRL spełnił warunki, od których uzależniono zniesienie restrykcji i sankcji: zniósł stan wojenny i wypuścił więźniów politycznych. Ale każdy, kto patrzy trzeźwo na sytuację rozumie, że są to spełnienia o charakterze formalnym: zniesiono stan wojenny, ale wprowadzono ustawy, które przedłużają represywność tego stanu również i na „stan pokojowy”, tworząc przez to państwo stanu wyjątkowego. Wypuszczono wprawdzie więźniów politycznych, ale w samej ustawie amnestyjnej przewidziano możliwość ich ponownego uwięzienia, gdy podejmą najmniejszą próbę działalności politycznej.

Natomiast rząd PRL nie spełnił trzeciego warunku, uzasadniającego zniesienie restrykcji, gdyż nie można go spełnić tylko formalnie: nie cofnął delegalizacji „Solidarności”. A nie dało się tego spełnić tylko formalnie dlatego, że kierownictwo, działające i szeregowi członkowie Związku nie poszli na polityczną kolaborację z władzą stanu wojennego. Bo gdyby zgodzili się na kolaborację, to mielibyśmy i ten trzeci warunek spełniony i rządowy

NSZZ „Solidarność” zdołałby oficjalny wizerunek Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tylko dla sprawy wolności i demokracji miałyby to taką wartość, jak spełnienie dwóch pierwszych warunków — bliską zeru.

Tak więc nie ma dostatecznych racji politycznych, które przemawiałyby za przyjęciem PRL do Funduszu. Jest natomiast pewna okoliczność polityczna, która przemawia przeciw: otóż jeżeli MFW po przyjęciu PRL udzieli temu krajowi oczekiwanej pożyczki i zastosuje ulgi finansowe, kojarząc to z warunkami w postaci omawianych już zmian polityki gospodarczej, wówczas można oczekiwać, że władze PRL wyrażą na to formalną zgodę, ale zastosują wtedy specjalną taktykę. Gospodarka PRL, tak jak każdego kraju rządzonego przez komunistów, dzieli się na dwie części: na część obsługującą ludność i na część obsługującą system. Otóż twarde warunki MFW zostaną przyjęte i zastosowane tylko do części pierwszej — do tej części, która obsługuje ludność. Natomiast część gospodarki pracująca dla systemu, a przede wszystkim przemysł ciężki i sektor wojskowy, nie zostaną w najmniejszym stopniu naruszone. Pożyczka MFW zostanie więc wykorzystana nie po to, by zmienić strukturę produkcyjną, ale przeciwnie — po to, by ją utrzymać, a nawet zaostrzyć dotychczasowe dysproporcje. Wtedy twarde warunki MFW staną się jeszcze bardziej twarde, gdyż cały ich ciężar poniesie ludność, a propaganda PRL skieruje nieuniknioną niechęć, a nawet gniew tej ludności, przeciw Zachodowi — dysponentowi MFW. Władze będą wówczas mówić: musieliśmy wprowadzić takie ograniczenia, podwyżki cen, zamrożenie płac, podatki, reglamentację, ograniczenie programu socjalnego, a może bezrobocie itd., gdyż „oni” postawili nam takie warunki, „oni” dążą do obniżenia stopy życiowej narodu polskiego, „oni” wprowadzają w ten sposób swoje kapitalistyczne reguły gry. Ale gdy tylko będziemy mogli, to przywrócimy znów naszą socjalistyczną politykę ochrony ludzi pracy. I chociaż to właśnie socjalizm doprowadził kraj po 40 latach panowania do upadku gospodarczego, a ludzi do niedostatku a nawet biedy, to jeszcze raz propaganda komunistyczna ukaze ten nieszczęsny ustrój, będący ślepym zaułkiem historii, jako jedyną możliwość wybawienia.

Czas zamknąć te rozważania konkluzją. PRL nie spełnia żadnych warunków, które uzasadniałyby jej przyjęcie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego — ani systemowych, ani gospodarczych, ani politycznych.

Ale ponieważ bardzo pragnie być przyjęta, to trzeba jej takie warunki postawić. Warunki wstępne. Wówczas można by zastanawiać dla członkostwa tego kraju w Funduszu okres próbny i nakreślić szczegółowy plan i harmonogram działań, które rząd PRL

musiałby zastosować, aby na pełne członkostwo zasłużyć. Jednym z podstawowych takich działań w sferze gospodarczej byłoby podjęcie konkretnych kroków, wraz z ich terminami, dla ustanowienia wymiennalności waluty polskiej. Wymiennalność złotego — oto gospodarcza cena nobilitacji w postaci członkostwa Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Michał SKOWROŃSKI

Wiedeń, sierpień 1984 r.

## Widziane z Brukseli oraz z wielu innych miejsc

### POST-SCRIPTA

Fanatyk — powiedział Churchill — to ktoś, kto nie może zmienić zdania, a nie chce zmienić tematu. Pałę Churchilla! Postanowiłem udowodnić, że nie jestem fanatykiem, choć nie zmieniam tematów. Oto kilka zdań *post-scriptum* dopisanych przez życie do ostatnich kilku tematów „widzianych z Brukseli”.

#### I. „Apocalimpics” — ostatni medal

Ostatni medal olimpijskich igrzysk w Los Angeles (patrz *Kultura* nr 7/8, 1984) został uroczystie wręczony na Kremlu panu Konstantemu Czernienko, generalnemu sekretarzowi KC KPZS, za najbardziej nieudany bojkot w historii bojkotów w ogóle oraz za przejście 100 metrów w czasie lepszym od zwycięzcy w biegu na 3.000 metrów z przeszkodami, w Los Angeles w szczególności. Decyzja zbojkotowania Olimpiady w Los Angeles stanowi największą porażkę ZSSR w czasie pokoju. A oto dlaczego.

1) Nikt w USA nie zauważył nieobecności delegacji z ZSSR i 16 innych krajów podległych. Choć naturalnie brak sportowców z krajów komunistycznych odbił się na poziomie niektórych konkurencji sportowych, nie popsło to kolosalnej zabawy, fantastycznego widowiska i sportowej istoty igrzysk. Według niektórych, nieobecność szywniackich politruków oraz kilku plutonów KGB pomogła nawet w rozwiązaniu mgły hipokryzji i ogłupiającej propagandy. Rewanż się więc nie udał: w Moskwie w 1980 roku brakowało 57 krajów i było ponuro. W Los Angeles

zabawa była na... złoty medal, a brakowało tylko 17 państw, z których ogromna większość nie przyjechała jedynie dlatego, że zmuszona była ulec zwyczajnemu szantażowi.

Rzeczywistość udowodniła absurd sowieckiej argumentacji bojkotu. Jedynym aktem gwałtu w czasie igrzysk był napad czarnego, uzbrojonego w nóż opryska na czarnego trenera koszykarzy amerykańskich, rozdęty w Moskwie do rozmiarów politycznego terroryzmu, podobnie jak akt zwariowanego szofera, który wjechał rozmyślnie na chodnik. Ani włos nie spadł z głów sędziów, oficjeli, „naukowców”, członków rozmaitych komitetów olimpijskich pochodzenia komunistycznego, którzy licznie obsadzili wszystkie osiągalne pozycje w Los Angeles. Nie mówiąc już nawet o czerwonych sportowcach (Rumunia, Chiny, Jugosławia), których przecież w Los Angeles nie brakowało.

2) Nieobecność sportowców zza kurtyny — przede wszystkim sowieckich i NRD-owskich — pozwoliła Amerykanom na odniesienie absolutnego triumfu i to u nich w domu, tzn. przed własną publicznością. Mniejsza o wyniki cyfrowe i statystyki. Kremowi udało się przede wszystkim uzyskać coś, o co się Reagan bezskutecznie od dawna starał — wzniecić nową falę patriotyzmu i nawet nacjonalizmu amerykańskiego. A przy tym, wbrew propagandzie sowieckiej (będzie jeszcze o tym mowa), nie był to szowinizm.

Po pierwsze, Olimpiada — zwłaszcza lekkoatletyka, królowa sportu — była świętem Czarnych, zadała, w bardzo powierzchowny i naturalnie mylący sposób, ale jednak kłam hasłom czarnego getta i czarnego oporu. Żaden Lewis nie powtórzył gestu Smitha z Meksyku, który w czasie grania hymnu amerykańskiego wznosił z olimpijskiego podium w niebo czarną pięść. W Los Angeles było wprost przeciwnie. Szczęśliwy Lewis, a po nim wszyscy inni czarni triumfatorzy, trzymali w czasie hymnu pięść na sercu, a potem robili honorową rundę naokoło boiska. Jeżeli więc bojkot sowiecki miał m.in. utrudnić sukces Reagana w wyborach, to Czernience można pogratulować: odniósł skutek wprost przeciwny.

Po drugie, hurra-patriotyzm amerykański pozbawiony był elementów szowinizmu, polegającego w sporcie na wulgarnej wrogości wobec przeciwników z innych narodów. Nie wiem co by było, gdyby przeciwnicy pochodzili z ZSSR — ale w Los Angeles nie było ani jednego wypadku tak skandalicznego zachowania publiczności, jak w Moskwie w 1980 roku wobec Kozakiewicza. Odwrotnie, triumf Amerykanów był tak kompletny, że pozwolił im na — tak rzadką w sporcie — wielkoduszność i oklaskiwanie zwycięzców nie z USA. Bojkot sowiecki sprawił też, że prawdziwa owacja powitała komunistyczne delegacje tylko za to, że nie podały się szantażowi ZSSR a przede wszystkim Rumunii (Jugosławia i Chiny już nas do tego przyzwyczyły).

3) Dyktat kremlowski podniósł jeszcze — jeżeli było to możliwe — antysowietyzm w krajach związanych Jaftą. Tym bar-

dziej, że do frustracji sportowej, prestiżowej i narodowej (była o niej mowa w „Apocalimpics now”) doszło upokorzenie. Wynika ono, po pierwsze, ze świadomości tego, iż Polska, NRD, Węgry czy Czechosłowacja nie zdobyły się na to, na co odważył się bałkanoidalny stalinek Ceausescu. Jak — jeżeli nie najbardziej zimnym antysowietyzmem — mogli zareagować Niemcy czy Polacy na defiladę w Bukareszcie, w której maszerowało 238 sportowców rumuńskich z 53 medalistami na czele. „Druga potęga sportowa po USA”, spokojnie napisała prasa rumuńska, nie wspominając ani słowem o bojkocie sowieckim, nieobecności Polaków czy Niemców, których obecność sprowadziłaby sukcesy rumuńskie do normalniejszych proporcji.

Wynika więc to upokorzenie ze sposobu, w jaki władze potraktowały w ogóle swe „własne” społeczeństwa. Ale chodzi także o szczegóły. Tylko Węgrzy potrafili jakoś się zachować mimo sowieckiego *black-out*’u. Telewizja budapeszteńska nadawała regularnie krótkie sprawozdania z Los Angeles. Zimna wściekłość wzmogła popularność wrażeń rozgłośni. Czesi udawali się masowo na granicę austriacką i zachodnioniemiecką, bo tam łapie się telewizję wiedeńską i bawarską. Bułgarzy kręcili antenami w kierunku na Grecję, Jugosławię i Turcję, Niemcy z NRD nie mieli takich problemów: 3/4 terytorium za murem jest w zasięgu stacji telewizyjnej Berlina zachodniego. Estonia żyła transmisjami z Finlandii, co jej przyniosło z jednej strony wpływy w rublach z masy turystów rosyjskich, szukających nie tyle słońca, co obrazu z Kalifornii, oraz, z drugiej strony, uchwałę KC z Moskwy potępiającą odchylenie ideologiczne i nacjonalizm Estończyków. Polacy musieli zadawałać się ochłapami w TV i artykułami *Trybuny Ludu*. Agencja prasowa PAP napisała, że Igrzyska w Los Angeles były najuboższe od Londynu w roku 1948. Słusznie: tym bardziej trzeba było pokazać to ubóstwo i udowodnić, że bojkot był słuszny i udany.

4) Chiny wyszły z Los Angeles jako super-potęga sportowa, również tylko dzięki bojkotowi. Fakt, że Pekin startował obok Taiwanu też jest faktem interesującym, zwłaszcza dla Niemców z NRD. TV pekińska przewidziała 2 godziny transmisji dziennie. Nadawała — 9. Agencja Sinhua tylko raz zareagowała na propagandę sowiecką, kiedy TASS podważył wartość medali chińskich. „Trzeba było stawić się na starcie, a nie stękać w domu” — zauważył logicznie Pekin. Sowiecki rekordzista świata w tymczasie Bubka „spontanicznie” powiedział dla TASS-a: „Szkoda, że gwałt na olimpijskim duchu nie pozwolił mi na start w olimpiadzie”. Zwycięstwo Czernienki polega na tym, że Bubka już nigdy nie zdobędzie olimpijskiego medalu, natomiast medale chińskie leżą w gablotach w Pekinie. Rekordy świata znikają, a medale olimpijskie zostają w historii sportu i sportowców.

5) Kreml sprawił ponadto, że kultura komunistyczna była nieobecna w olimpijskim festiwalu sztuki. Była to fantastyczna impreza. Nie udało mi się sprawdzić, czy w końcu jakiś teatr z

Polski dojechał do Los Angeles (jeżeli nie, to nowa hańba), ale sztuka sowiecka nie stawiała się na tym starcie (nawet Mojsiejewa bali się przysłać). Sowiecka, a nie rosyjska. Sołżenicyn i Aksjonow byli niedaleko, nazwiska Nurejewa, Barysznikowa, Roztropowicza i Szostakowicza były z afiszów, a Lubimowa i Tarkowskiego z pierwszych stron gazet (bo właśnie jeden wybrał wolność, a drugi stracił obywatelstwo sowieckie).

6) Antidotum na sukces Los Angeles miało wynikać z dwóch operacji. Po pierwsze, urządzono w Moskwie i Pradze kontr-olimpiadę. Wszelkie porównywanie wyników sprowadza się do zwyczajnej fikcji statystycznej. Wiadomo przecież, że starcie wprost na bieżni ma inny zupełnie przebieg niż w buchalterii. Ale i świetnie przecież — to nie niespodzianka — wyniki sportowców wschodnich nie mogły ukryć faktu, iż kontr-olimpiada sprowadziła się do zwyczajnej albo nadzwyczajnej spartakiady, święta różnych dynamów i spartaków, w które Moskwa chciała by zakuć sport u wasali.

Na otwarcie przybyli wszyscy członkowie Biura Politycznego z dolni wejść o własnych siłach na trybunę honorową, były tańce, kozaki i hopaki, Bieriozki i tp., grano hymn, naturalnie sowiecki, i była nawet sztafeta i pochodnia, która zapaliła znicz, płomieniem przyniesionym a jakże, z Grobu Nieznanego Żołnierza u stóp Kremla.

Całość, mimo wyników, zakrawała na parodię. Udział wzięło 40 krajów, w tym 14 bojkotujących Los Angeles. A skąd 26 pozostałych? Rekrutacja była czasem bardzo dziwna. Szwed Hagelbrandt, który nie dostał się do drużyny olimpijskiej, uzyskał w Moskwie trzecie miejsce w biegu na 3 km z przeszkodami. Bardzo się zdziwił, kiedy okazało się, że za wynik, który nie doprowadził go do Kalifornii, w Moskwie ma wejść na podium i odebrać brązowy medal. „Ale heca, powiedział żałowany, ja przyjechałem się zabawić, a oni to wzięli na serio”.

Podobnie zdziwiony był informatyk bankowy z Manhattanu, Bill Gaston. Przyjechał do ZSSR jako turysta z zamiarem uczestniczenia w dorocznym maratonie moskiewskim, nie mającym nic wspólnego z „Igrzyskami Przyjaźni”. Został — jak opowiedział reporterowi *Wall Street Journal* — prawie zmuszony do wzięcia udziału w maratonie oficjalnym. „Nie było to zabawne, opowiada, biegliśmy 42 km w szpalerze żołnierzy. Przypominało to kondukt pogrzebowy albo wyparowaną Coca-Colę”. Na podobnej zasadzie obecny był w Moskwie także Liban. Znalazł się tam, nie wiadomo w jaki sposób, libański biegacz na 10 km. Przyszedł ostatni, w 14 minut po zwycięzcy, ale uzasadnił obecność sztandaru libańskiego na stadionie Lenina.

Najmocniejsze wrażenie na dziennikarzu amerykańskim sprawiła obecność słowa drukowanego w pokoju hotelu „Rossija”. Zamiast Biblii znalazł w szufladzie trzy egzemplarze pasjonującej prozy: „Pokój dla naszego i przyszłych pokoleń” pióra Jurija Andropowa, „Na niezmiennej drodze socjalizmu” Konstantina

Czernienki i Konstytucję ZSSR w tłumaczeniu na angielski. Jedyną korzyść z pobytu amerykańskiego dziennikarza na „Igrzyskach Przyjaźni” odnieśli szoferzy taksówek moskiewskich. Odprawiali jazdy za ruble: z hotelu na stadion jeździli wyłącznie za paczki papierosów Marlboro.

Bezpieczeństwo wszystkich było natomiast zagwarantowane, albowiem, odmiennie niż w Los Angeles, KGB czuwało. Z nieproszonych gości udało się w te dni dotrzeć na terytorium ZSSR tylko jednemu sportowcowi. Francuski surfista de Rosnay przepłynął na desce z żaglem z wyspy Hokaido na północy Japonii do Sachalinu. Ponieważ nie był w samolocie linii południowokoreańskich, udało mu się ująć z życiem. Absolutnie zaskoczona załoga sowiecka pilnująca radaru na skrawku Sachalinu napiła Francuza wódką, pozwoliła mu — po konsultacji z komendą obrony obszaru morskiego ZSSR — na powrót do Japonii, a ponieważ radar to nie telewizja, mieli w związku ze sportem i igrzyskami tylko jedno pytanie: „Ilu sportowców zginęło w Los Angeles...”.

Po drugie, rozpięto akcję propagandową, której nasilenie (oraz skuteczność) porównać można z akcją w sprawie „żuka Colorado” w Korei. Piekło w Los Angeles, szowinistyczna heca, kanonada nacjonalizmu, propaganda gwałtu, euforia rasizmu, orgia merkantylizmu, igrzyska *big business*’u, atmosfera linczu, sport w maskach gazowych, wulgarny gwałt na duchu olimpijskim *et j'en passe*. Wszystkie te pieczętliwe wykrzykniki tylko w słowach bez obrazu powtarzały się, przewijały kolejno poprzez wszystkie gazety, jako że pomysłowość nawet KC nie jest przecież nieograniczona. Przyznałbym jednak także w tej dziedzinie trzy medale (nie ze złota):

a) *Prawdzie* za odkrycie, że omdlenie Ovetta było wynikiem presji psychologicznej wywieranej przez Amerykanów na przeciwników sportowców USA (mimo, że bieg wygrał inny Anglik, Coe).

b) *Lit-gazecie* za porównanie Olimpiady Hitlera z Berlina z Olimpiadą Reagana w Los Angeles i

c) *Sowieckiemu Sportowi* za oskarżenie Amerykanów o gwałcenie zasady *fair-play*...

Wbrew opinii innych obserwatorów nie przyznaję natomiast żadnego medalu organom KGB, który zupełnie sfuszerał „Akcję Ku Klux Klan”, polegającą na sfałszowaniu tekstu listu z hasłami rasistowskimi, jaki ta antypatyczna organizacja miała rzekomo wysłać do kilkunastu państw afrykańskich i azjatyckich. Otóż akcja ta była przeprowadzona tak nieudolnie, że ani jeden adresat nie dał się nabrać. Listy były tak źle sfabrykowane, że adresaci przesłali je natychmiast do komitetu organizacyjnego w Los Angeles. Reszta była prosta... W tych warunkach jedynym sukcesem jaki ZSSR odniósł w czasie Olimpiady było absolutne zwycięstwo gen. Konstantinowa i pułkownika Sławina z KGB nad CIA w walce o władzę w afrykańskiej republice Nagonia. Walka trwała kilkanaście dni, a raczej wieczorów i wy-

pełniła w telewizji sowieckiej czas przewidziany na transmisję z Los Angeles. Ale za felietony jeszcze medali olimpijskich nie dają.

Streszczając wnioski z bojkotu, można by je ująć w trzech punktach: po pierwsze, można się bardzo dobrze bawić bez ZSSR. Po drugie, można organizować igrzyska bez deficytu. Po trzecie, po drabinie do sukcesu nie można się wspinać ani na kolanach, ani z rękami w kajdankach.

I ostatni medal. Dla tygodnika *Nowości Moskiewskie*, który w wydaniu francuskim napisał: „Raz jeszcze należy stwierdzić, jak słuszna była decyzja niewystąpienia naszych sportowców do Los Angeles”. A no... Wiadomo, że nic tak nie oślepia jak żądza oddania „oko za oko”. Ale żeby do tego stopnia...

## II. Szwejk w ONZ

Szwejk uwiecznił ONZ na długo przed jej powstaniem i pisanie raportów przez jej wysokich urzędników. Raport Szwejka o tym, że „dziś w nocy znowu 20 symulantów umarło”, stał się modelem dla bliskich współpracowników sekretarza generalnego ONZ zajmujących się losem Polski, z tym, że panowie ci naturalnie znacznie go ulepszyli.

W najnowszym raporcie przygotowanym dla Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie nie chodzi o śmierć 20 symulantów, a o zniknięcie 65 prawdziwych nieboszczyków. W smutnym eseju pt. „Mój antyraport w sprawie polskiej” (*Kultura* nr 6, 1983) napisałem: „Są sytuacje, które stanowić powinny dolną granicę dymisji świata zachodniego. Inaczej data wyznaczona przez Orwella sprawdzi się na następnej sesji komisji ONZ w Genewie”. Uprzejmie donoszę, że się sprawdziła.

Zanim omówię w wielkim skrócie (w długim nie warto) kolejny raport w sprawie polskiej, kilka uwag wstępnych. 1) Pana Hugo Gobbi (pobory 125.000 dolarów rocznie), autora poprzedniego raportu, zastąpił p. Patricio Ruedas (pobory ok. 125.000 dolarów rocznie). 2) Rząd z Warszawy odmówił, tak jak w 1983 roku, współpracy z przedstawicielem ONZ, jako że, tak jak w 1983 roku, zainteresowanie Komisji Praw Człowieka ONZ sytuacją w Polsce jest, zdaniem tegoż rządu, „nadużyciem moralności i politycznej uczciwości”. 3) Inaczej jednak niż w 1983 roku, sekretarz generalny był w 1984 roku przyjęty serdecznie w Warszawie przez władze lokalne, do czego za chwilę wrócimy. Choć oficjalnie władze warszawskie nie chciały współpracować przy redagowaniu raportu p. Ruedasa, to jednak, według informacji z tzw. dobrych źródeł, udało im się dokonać pewnych poprawek w tekście przygotowanym i przywiezionym do Warszawy przez sekretarza generalnego ONZ.

Co zawiera, a przede wszystkim czego nie zawiera „polski” raport spreparowany przez osobę wysoko opłacaną z polskich m.in. podatków? Raport opracowany został na podstawie rozma-

tych źródeł, przede wszystkim rządowych, z pominięciem oczywiście niekompetentnych kół „Solidarności” legalnej i nielegalnej. P. Ruedas spotkał się z członkami rządu, ale nie poprosił — zapewne z braku czasu — o spotkanie z jedynym żyjącym w Polsce laureatem nagrody Nobla, mającym coś niecoś do powiedzenia w sprawie poszanowania praw człowieka w PRL. P. Ruedas odmówił także uwzględnienia dokumentów zredagowanych przez tak podejrzane organizacje międzynarodowe jak np. Amnesty International czy nawet siostrzana organizacja pod nazwą Międzynarodowe Biuro Pracy, z siedzibą tuż obok, w Genewie.

W rezultacie, podczas kiedy raporty „Solidarności” oplakują śmierć 70 ofiar stanu wojennego w Polsce (nazwiska do dyspozycji), p. Ruedas doliczył się jedynie... 5. Reszta to zapewne symulanci.

Paragraf o „5 zabitych” to perełka onz-etowskiego stylu. Po angielsku brzmi to ślicznie: „Some Polish citizens died as a result of clashes between demonstrators and the police: at least two in 1981, at least one in 1982 and at least two in 1983”.

Według słownika „Kościuszki” słowo *clash* znaczy po polsku: brzęk (cymbałów), szcęk (broni), huk (dzwonów), zderzenie, starcie, utarczka... Czy p. Ruedas mógłby wyjaśnić nam, jaki z tych terminów sobie wina, aby wyjaśnić śmierć 5 lub 70 ofiar stanu wojennego? Ponieważ wykluczamy brzęki, szcęki i huki, pozostaje starcie i zderzenie. Kto strzelał do kogo, w jakich warunkach, ilu padło od kul karabinów w toku *clashes* po stronie władzy? Czy nikt za te śmierci, i te ujawnione, i te „symulowane”, nie ponosi odpowiedzialności? Czy p. Ruedas uważa, że ponieważ władza postanowiła raz na zawsze zezwolić policjantom na mordowanie Przemyków, to należy uniewinnić cały ustrój od winy za zabijanie bezbronnym ludzi, nawet w toku *clashes*?

Raport w sprawie Polski jest „umiarkowany”; naturalnie ani w tonie, ani w objętości w niczym nie przypomina raportów smagających biczem Chile, Afrykę Południową, nie mówiąc już o Izraelu. P. Ruedas nie zauważył „symulantów”, nie dopatrzył się ani cenzury, ani gwałcenia praw związkowych, ani ustaw specjalnych przedłużających *de facto* stan wojenny oraz oddających właściwie kraj w ręce policji. Zauważył natomiast, że władze polskie owiane są duchem „umiarkowania”, że żałują wszystkich śmierci, jako że „nawet jedna śmierć to o jedną za dużo”, itd., itp.

Otóż — podobnie jak to było poprzednio — sam raport jest mniej ważny od tzw. kontekstu. Dwa aspekty warte są poruszenia.

Po pierwsze, większość Komisji Praw Człowieka znakomicie uzupełniła cynizm autora raportu śmiesznością instytucji. Pod przewodem wzoru demokracji i praw człowieka — to znaczy Kuby — grupa innych miłujących wolność państw takich jak ZSSR, Ukraina, Bułgaria, Libia, Tanzania etc. postanowiła, większością głosów, nie przeprowadzać dyskusji nad jakością ra-

portu p. Ruedasa, co do której Holandia, Francja, Włochy czy RFN miały pewne wątpliwości.

Inaczej mówiąc, sprawa polskiego człowieka zniknie z porządku dziennego Komisji Praw Człowieka na cały rok. Komisja będzie zatem mogła na nowo spokojnie zająć się Chile itd... Przedstawiciel władz z Warszawy, p. Sokalski (figurował także w poprzedniej części tych rozważań), mógł więc oświadczyć z całą powagą jego misji, iż ma nadzieję, że jest to łabędzi śpiew Komisji na tematy polskie. I że nie będzie już mowy o *clashes*.

Po drugie, pewność siebie delegatów Polski, ZSSR i innych wynika naturalnie ze słabości ONZ, o której już obszernie pisałem. Jest i tu jednak małe *post scriptum* do dodania. P. Perez de Cuellar, sekretarz generalny ONZ, oraz jego zastępcy Gobbi czy Ruedas są urzędnikami organizacji międzynarodowych i naturalnie ich kariery i pobory zależne są od rządów państw członkowskich. Ich pole manewru jest więc instytucjonalnie ograniczone. Do tego w naszym przypadku doszła presja władz z Warszawy. Ale to nie wszystkim.

Raport w polskiej sprawie nie mógł odpowiadać rzeczywistości i dlatego, że władze polskie miały w ręku zakładnika, Alicję Wesołowską, była urzędniczką ONZ. Nie wszystko jest w tej sprawie jasne, poza krańcową głupotą ludzi, którzy Wesołowską, po wybraniu przez nią wolności w Nowym Jorku, najpierw mianowali do biura ONZ w Mongolii, a potem pozwolili jej na spędzenie — po drodze do Ulan Bator — urlopu w Polsce. Spędziła kilka lat w kryminale, na który skazano ją za... naturalnie za szpiegostwo. Otóż Perez de Cuellar, człowiek formalnie odpowiedzialny za wszystkie głupstwa ONZ, był pod ogromnym naciskiem związku urzędników w ONZ, którzy w ich własnym dobrze zrozumianym interesie domagali się, aby sekretarz generalny doprowadził do zwolnienia Wesołowskiej. Doprowadził dopiero w 1984 roku. Groźny „szpieg” Wesołowska pracuje dziś w biurze... ONZ w Warszawie.

W rewanżu za tę drobną przysługę, zamiast bić się o prawa 35 milionów ludzi w Polsce, do czego był powołany na mocy poprzedniego raportu Komisji z Genewy, sekretarz generalny ONZ pośredniczył w sprawie, do której nikt, z wyjątkiem gen. Jaruzelskiego, go nie powoływał. Starał się mianowicie namówić jedenastu więźniów stanu, aby co najmniej sześciomiesięcznym pobytem za granicą, z dala od Kraju, zapłacili za wyjście z więzienia na Rakowieckiej.

Jedenastka z KOR-u i Solidarności nie przyjęła zyczliwie pośrednictwa ONZ. Odwrotnie bowiem do p. Wesołowskiej, oni chcieli wybrać wolność nie w USA, a w Polsce, i to nie za cenę koncesji na rzecz rządu, uznania winy i domagania się łaski z zagranicy, gdzie ich serdecznie zapraszał p. Emilio de Olivares, specjalny przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ. Misja ONZ w tej sprawie też nie jest jeszcze ciągle jasna. Jest to chyba rzecz bez precedensu, żeby rząd komunistyczny zwrócił się do



ONZ o pośrednictwo w jak najbardziej wewnętrznej sprawie Polski, znacznie bardziej, niż redagowanie raportu, w którym udział został wszak brutalnie odrzucony.

Zanim prawda wyjdzie na jaw, pośrednictwo ONZ odniosło pewien skutek, odwrotny jednak do przystąpienia Wesołowskiej. Ona wyszła na wolność i do biura ONZ, natomiast Michnik, zanim nie został wyrzucony z więzienia na podstawie amnestii, dostał 14 dni karceru za odmowę spotkania z p. Olivaresem. „Więzień nie dyskutuje — zdążył jednak powiedzieć Michnik. — Po dwóch i pół roku więzienia jest tylko jedna alternatywa: bezwarunkowa wolność albo natychmiastowy proces”. A w innym liście dodał: „Wolę więzienie w Polsce niż wakacje na Riwierze”. Nie wiem, w jakim stopniu takie sformułowania mogą przekonać p. Olivaresa, który ma poglądy dokładnie przeciwne i na pewno woli Riwierę od więzienia.

Postępowanie ONZ w sprawie polskiej ma jednak oczywiście także głębsze przyczyny niż rozdzwinki na temat miejsca wypożyczynku. Jest nowym przyczynkiem do kosztownej teorii kryzysu tej organizacji, o którym pisałem w ubiegłym roku. „Przychylny wiatr”, jak mawiają moi zachodni koledzy, przyniósł na me biurko informację o wewnętrznym raporcie tej instytucji na temat jej stanu, opracowanym przez inspektora ONZ — Francuza Maurice Bertrand. Jest to prawdziwy akt oskarżenia, wart — gdyby nie był tak długi (32 strony!) — przytoczenia w całości. W streszczeniu: raport krytykuje niedociągnięcia organizacyjne, proponuje przyjęcie „nowego stylu” w wielu dziedzinach w celu uniknięcia marnotrawstwa energii i pieniędzy. Raport cytuje np. (patrz mój „anty-raport”) „rosnącą powierzchowność analiz”, biurokrację, rozgadanie dokumentów i nieudolność akcji. Raport omawia „nieporozumienia i frustracje” wśród pracowników sekretariatu generalnego i delegacji narodowych. Naciski polityczne sprawują, że pracownicy stosują autocenzurę, tak aby teksty nie urażały państw członkowskich. Zalew papierów i tak uniemożliwia normalną pracę: uczestnicy dwóch zebrań w 1983 roku: Rady Gospodarczej i Społecznej ONZ, otrzymali do przestudiowania i opracowania do dyskusji... 4.000 stron druku. Nikt oczywiście nie był w stanie tego skonsolidować. Obliczcie ile kosztuje to w tłumaczeniach na kilka języków, nie wiem w ilu egzemplarzach. Ciekawy detal: p. Bertrand zwraca uwagę na „fatalne zjawisko, jakim jest coraz szerzej praktykowane samo-oskarżanie się urzędników”. Nie wiem o co chodzi, ale wiem skąd ta praktyka.

Nic dziwnego, że jak wykazały badania „Heritage Foundation”, konserwatywnego i solidnego instytutu w Waszyngtonie, popularność ONZ ciągle spada. W latach 1950-tych około 75% zapytanych Amerykanów uznawało jeszcze, że ONZ robi pożyteczną robotę. W 1983 roku było takich Amerykanów już tylko 35%.

Tylko? Aż! Jednym z autorów studium „Heritage” jest pan

Charles Lichenstein, były zastępca pani Kirkpatrick, ambasadora USA przy ONZ. P. Lichenstein już nie jest w ONZ, ale pozostanie w historii tej organizacji. Jak pamiętamy, po zestrzeleniu koreańskiego Boeinga Waszyngton odmówił zezwolenia na lądowanie samolotu z ministrem Gromyką, przybywającym na sesję ONZ, na lotniku cywilnym w Nowym Jorku. Zaproponowali, i słusznie, lotnisko wojskowe, bezpieczniejsze, jako że narody nie lubią kiedy Rosjanie zestrzelują cywilne samoloty.

Ale Gromyko obraził się, nie przyjechał, a klienci Sowietów podnieśli szaloną wrzawę na temat gwałcenia przez rząd USA zobowiązań, jakie wziął na siebie, zapraszając ONZ do Nowego Jorku. To wtedy właśnie zdenerwował się p. Lichenstein i powiedział: „Jeżeli wam się tu źle żyje i pracuje, to możecie wyjechać. Nie będziemy wam przeszkadzać. Członkowie amerykańskiej misji przy ONZ będą obecni w porcie, aby być z wami, kiedy odzeglujecie w kierunku zachodzącego słońca”.

P. Lichenstein był poetą, ale nie geografem, bo gdyby komunistyczni dyplomaci odzeglowali z Nowego Jorku, to byłoby to nie na zachód a na wschód, co jednak nie zmienia sensu jego westchnienia. Nikt nie podtrzymał tej idei. Ja rozumiem, żyć i pracować w sekretariacie generalnym ONZ w Sofii czy Ułan Bator, nie mówiąc już o Moskwie, to nie jest zachęcająca perspektywa. P. Lichenstein nie jest już więc w misji USA przy ONZ, a pomaga pisać raporty „Heritage Foundation”. „Będziemy się starali — powiedział w wywiadzie prasowym — znaleźć odpowiedź na pytanie, czy gra jest warta świeczki, czy kosztą w czasie, energii i pieniądzech odpowiadają korzyściom. Być może ONZ się przeżyła i warto wymyśleć inne forum międzynarodowe?” Na pytanie, czy ONZ będzie istnieć za 20 lat, Lichenstein odpowiedział: „Biorąc pod uwagę biurokratyczną inercję rządów — tak. Ale będzie to inna organizacja. Będzie to nowe okrycie, na takiej samej zasadzie co zacerowana skarpetka”.

Cerować już należy zacząć. Jest nowa dziura w skarpetce. Podkomisja zapobiegania dyskryminacji i ochrony mniejszości tej samej Komisji Praw Człowieka odrzuciła stosunkiem głosów 12 do 1 (!) propozycję, aby zlecić p. de Cuellar misję zażądania od rządu sowieckiego dokładnych informacji na temat losu prof. Sacharowa. Tak potężna większość przeciwko, naturalnie, USA, powstała z połączenia sił wschodu i... zachodniej Europy z Francją na czele, która podzieliła tezę ZSSR, że przypadek Sacharowa został upolityczniony przez prezydenta Reagana w stopniu, jaki należy uznać za procedurę zimnowojenną. Dziwna koalicja w sprawie symulanta Sacharowa postanowiła więc nie zajmować się losem profesora, tym bardziej, iż delegat amerykański miał czelność przypomnieć także przy okazji innych symulantów w ZSSR: sowieckich Żydów, Raula Wallenberga itp. Koalicji „12” przewodził fachowiec, delegat sowiecki p. Sofiński, były ambasador w Australii, ekspulsowany za tzw. mieszanie się do nie swoich spraw. Sparaliżował on komisję wniesieniem, w odpo-

wiedzi na Sacharowa, propozycji rozpatrzenia „mordowania niewinnych cywilów” w północnej Irlandii przez policję brytyjską, losu Indian amerykańskich i... ostatniego „żartu” prezydenta Reagana na temat bombardowania ZSSR. Komisja uznała, że „żart” Reagana wart jest Sacharowa i postanowiła wszystkie projekty rezolucji oddalić, jako *political and contentious*...

Skarpetka czy nie, z tego co wyżej wynika, że także za 20 lat znajdzie się jakiś przedstawiciel sekretarza generalnego zdolny do napisania raportu w sprawie Polski, najdroższego na świecie dokumentu w stosunku do wartości tekstu. Pytanie tylko, czy znajdzie się ktoś w Brukseli, aby to obliczyć?

### III. Czy to jeszcze maska, czy już twarz UNESCO?

Jestem jeszcze w Brukseli, więc wracam także do sprawy UNESCO. Nie będzie niespodzianką, jeżeli poinformuję czytelników *Kultury*, że nie otrzymałem bezpośrednio, osobistej odpowiedzi na moje podanie do Jego Ekscelencji Dr. Amandu Mahtar M'Bow'a, Dyrektora Generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Oświaty, Nauki i Kultury (patrz *Kultura* nr 4, 1984 r.). Ekscelencja być może nie czyta polskiego miesięcznika, pośrednio jednak odpowiedział.

Ktoś (kto?) powiedział, że od częstego używania maska staje się twarzą. To jest właśnie przypadek UNESCO. P. M'Bow nie załatwił mojej prośby o posadę. Jak się domyślam, sytuacja obywatela sowieckiego Kriwcowa, który pobierał (pobiera?) pobory dolarowe z UNESCO, chociaż został wydalony z Paryża za szpiegostwo, nie pozwala Ekscelencji dysponować tą pozycją budżetową. Co nie znaczy, że Ekscelencja zniknęła z kronik politycznych i towarzyskich.

Pytanie główne, jakie zadawano sobie w kuluarach UNESCO w Paryżu oraz w jego biurach rozsianych po świecie, dotyczyło stanu w jakim p. M'Bow zostawi UNESCO w 1987 roku, kiedy upłynie jego mandat. O tym bowiem, aby zrezygnował on z posady przed upływem mandatu, nie ma mowy. Żadne skargi, żadne groźby, ani decyzja wycofania się USA z końcem 1984 roku, ani podobne ostrzeżenia Anglii, Danii, Holandii, czy, w mniej kategorycznej formie, Japonii i RFN, nie wstrząsnęły monolitem jaki stanowi UNESCO z (w jego władzach) połączonym blokiem bezpartyjnych z trzeciego świata z partyjnymi z bloku sowieckiego. W okresie sprawozdawczym, to znaczy od kwietniowego numeru *Kultury*, jeszcze jeden ceniony, kompetentny i nie przekupiony wysoki urzędnik UNESCO opuścił tę instytucję. Peter Lengyel, redaktor *International Social Science Journal* podał się do dymisji, ostrożnie — bo nigdy nie wiadomo — motywując swą decyzję „spadkiem zawodowej fachowości” UNESCO w realizowaniu jej programu.

Fala wątpliwości co do stanu UNESCO dobiła w końcu i do jej gmachu w Paryżu. Jej Komitet wykonawczy zrobił w maju krok naprzód, powołał mianowicie 13-osobową komisję, która miałaby zasugerować program reform, raczej technicznych, ale wystarczający aby zatrzymać Amerykanów i ich subwencje finansowe, bez naruszenia wszechpotęgi Ekscelencji.

Ani list p. Lengyela, ani inne listy, mniej delikatne w ocenie roli Ekscelencji, ani tym bardziej artykuły takie jak np. ten z *Kultury* nie ukazały się w żadnym wydawnictwie UNESCO. Nie można jednak powiedzieć, aby oficjalne wydawnictwo publicystyczne UNESCO uprawiało cenzurę i nie upowszechniało poglądów przedstawicieli krajów członkowskich.

Tak więc „UNESCO Features”, wydawnictwo oficjalne, którego zadaniem jest dostarczanie prasie międzynarodowej obiektywnych materiałów z dziedzin interesujących UNESCO, rozesłało na cały świat artykuł p. M. L. Tołkunowa, byłego naczelnego redaktora *Izwestii*, aktualnie dygnitarza w najwyższym sowiecie. Bardzo interesująca i cenna publikacja. P. Tołkunow donosi więc na cały świat: „Nawet według zachodnich źródeł obywatele sowieccy otrzymują informację znacznie bardziej różnorodną, niż obywatele jakiegokolwiek kraju zachodniego... Imperializm prowadzi politykę nieskrępowanego gangsterystycznego w eterze i usiłuje przygotować bezpośrednią interwencję przeciwko ZSSR, posługując się propagandą i informacją jako narzędziem... Tendencyjny charakter i podła jakość informacji, pochodzącej ze źródeł zachodnich, jest wynikiem ogólnie mówiąc odejścia od obiektywizmu i jawnego ulegania presji militarystycznej... Wszelkie demagogiczne powoływanie się na „wolność słowa i wolność prasy” jest w tych warunkach niczym innym niż zapuszczeniem zasłony dymnej”.

Tyle oficjalny biuletyn Ekscelencji. Dziwne? Nie. Sama Ekscelencja poszła jeszcze dalej. A raczej pojechała. Do Warszawy mianowicie. Ekscelencja M'Bow spędził w lipcu w Polsce, na oficjalne zaproszenie ekscelencji generała, tylko 48 godzin, ale zapisał się na całą resztę swojego życia we wdzięcznej pamięci Polaków.

Na konferencji prasowej na zakończenie wizyty Ekscelencja mianowicie nie omieszkała podzielić się wrażeniami. Po pierwsze, była przejęta „poważnym postępem zrealizowanym w Polsce w dziedzinie szkolnictwa” i „burzliwego rozwoju kultury”. Po drugie, zapytany co myśli o cenzurze i rozwiązaniu prawie wszystkich stowarzyszeń twórczych, które tak pięknie owocowały przed proklamowaniem „wojny”, Ekscelencja odpowiedziała jedynie, że w czasie jej, Ekscelencji, pobytu, „żaden twórca nie poinformował jej (Ekscelencji) o zawieszeniu czy uniemożliwieniu działalności twórczej”. Po trzecie, jeżeli chodzi o Ekscelencję generała, to wyraził on swe poparcie dla UNESCO w ogóle, a dla Ekscelencji Dyrektora Generalnego w szczególności, nie za-

pominając naturalnie o potępieniu „presji amerykańskiej” na UNESCO.

Więcej pisać o UNESCO nie warto. Kiedy koń umiera, należy z niego zejść. Po występie w Warszawie p. M'Bow jest istotą umarłą. W jego drodze na lepszy świat chciałbym jedynie mu przypomnieć, że jego zmysł humoru powinien go przestrzec, iż nawet na najwyższym tronie siedzi się zawsze na d....

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli, 10 września 1984

## Wybory amerykańskie

Obecna kampania wyborcza w Stanach Zjednoczonych — bez względu na to kto znajdzie się w Białym Domu i zdobędzie przewagę w Kongresie — budzi mój niepokój i zdumienie. Czym jest właściwie ten kraj? Narodem czy rozdartą społecznością, której każdy segment z racji swej liczebności lub wpływów domaga się reprezentacji w Senacie, Izbie Reprezentantów, następnie w federalnej i stanowej biurokracji? Demokratyczny proces wyborczy (który według określenia Churchilla, choć bardzo zły, jest najlepszy z możliwych) nabiera coraz bardziej karykaturalnych kształtów.

Jeśli chodzi o Partię Demokratyczną, to odnoszę wrażenie, że gotowa jest uczynić wszystko, by kraj ten — pozostając państwem — przestał być narodem amerykańskim. Można to osiągnąć przez rozbitcie społeczeństwa na grupy odrębnych interesów, przy których władza centralna pełniłaby rolę wpływowego arbitra, zwiększając coraz bardziej stopień swojej ingerencji.

Partia Demokratyczna pragnie po pierwsze, by czarni obywatele Ameryki stworzyli wewnętrzną potężną wspólnotę. Gdyby to osiągnęli, interes państwowy Stanów musiałby być bardzo często podporządkowany tej właśnie a nie innej wewnętrznej społeczności, której nikt ostatnio nie izoluje, a która przeciwnie, politycznie wyodrębnia się sama. W przeciwieństwie do innych grup rasowo-etnicznych u Czarnych liczy się przede wszystkim więź rasowa.

Następnym segmentem rozkawałkowanego społeczeństwa ame-

rykańskiego byłyby Związki Zawodowe AFL-CIO. Celem Partii Demokratycznej jest, aby AFL-CIO zachowały w obydwu izbach Kongresu potężne wpływy w imię szczególnej roli klasy robotniczej, która, nawiasem mówiąc, w Ameryce zanika, jeśli w ogóle jeszcze istnieje. Wraz z rozwojem nowej technologii coraz większa liczba związkowców zdaje sobie sprawę, że świat przemysłowy Zachodu wkracza w nową epokę. Ta nowa rewolucyjna technologia uczyni struktury związkowe pierwszej połowy naszego stulecia reliktem przeszłości.

W swej antyreaganowskiej propagandzie Partia Demokratyczna Ameryki usiłuje zwiększyć „antymęską” zawodową solidarność kobiet, aby przytłumić ich lojalność wobec narodu. Uwypukla się wypadki mniejszej liczby kobiet nie tylko w pewnych zawodach, ale nawet w sporcie. Pewne sporty były ze względów zrozumiałych tradycyjnie niedostępne dla kobiet. Na przykład, nigdy nie było kobiet dżokejów, były natomiast legendarne amazonki. Obecnie ma to być dowodem wielowiekowej dyskryminacji. Nje lekceważę bynajmniej części prawdy, jaką kryje w sobie oskarżenie o wielowiekową dyskryminację kobiet. Istota problemu polega na tym, że tak jak w wielu innych sprawach, wyciąganych z mroków tradycji i przesądów, przechodzi się z kolei do ofensywy nonsensu.

Pomijając różnice anatomiczne i fizjologiczne dzielące mężczyzn od kobiet, tworzy się fałszywe złudzenie, że kobiety mogą być nie tylko pełnowartościowymi żołnierzami w służbie frontowej i z powodzeniem służyć w straży pożarnej, ale że mogą też uprawiać boks i narodową grę Amerykanów *baseball*. Co to ma wspólnego z wyborami w listopadzie? Bardzo wiele, ponieważ Partia Demokratyczna bazując na ignorancji Amerykanów usiłuje ze swoiście rozumianej sprawy „wyzwolenia kobiet” uczynić tarran wyborczy. Popierające Partię Demokratyczną *mass media* zasnuwają mózgi amerykańskiej publiczności mgłą absurdu.

Gdyby ten program segmentyzacji powiódł się Partii Demokratycznej, z narodu amerykańskiego powstałby zlepek wzajemnie zwalczających się grup interesów. Podział tych interesów nie przebiegałby poprzez reprezentacje stanowe, ale poprzez zgrupowania w ciałach ustawodawczych i działające na ich peryferiach zespoły ludzi (tzw. *lobby*). Rozmaitego gatunku *lobbies* istnieją od dawna, ale w wypadku zwycięstwa demokratów rola ich wzrosłaby niepomiernie. Kongres Stanów reprezentowałby partykularne interesy niektórych mniejszości etnicznych, najhańsliwszych organizacji kobiecych — „sufrażystek” ostatnich dwóch dekad naszego stulecia, związków zawodowych, homoseksualistów — a być może w przyszłości i liliputów, których dotychczas

nie dostrzeżono. Oczywiście o trendzie do segmentyzacji\* Ameryki w Partii Demokratycznej głośno się nie mówi. Mówi się coś wręcz przeciwnego: o jedności, o zjednoczonej Ameryce — a przede wszystkim o walce o pokój, przy czym cena pokoju, zdaniem Demokratów, wcale nie musi być tak wysoka, bo z Rosjanami trzeba tylko umieć mówić. Przy okazji pomija się dobrze znany fakt, że słowa sowieckie znaczą bardzo często zupełnie coś innego niż czyni. Nasuwa się tu porównanie z najnowszymi dziejów PRL. Tam powiadało się przez jakiś czas — teraz już nie — że Polak z Polakiem zawsze się dogada. Tu — że człowiek z człowiekiem się dogada — ci, co to mówią, najwidoczniej nie pamiętają czym była wojna secesyjna. Ale nie wymagamy od Amerykanów zbyt wiele. Pies jest i tak gdzie indziej pogrzebany. Na ogół beztrósko zapomina się, że człowiek sowiecki u władzy to całkiem inny gatunek niż jego amerykański czy zachodnioeuropejski kontrahent i że sztandarowi negocjatorzy demokratyczni już na pewno się do rozmów z Sowietami nie nadają. Ani p. Paul Warnke, ani niezmiernie elegancki p. Cyrus Vance, któremu chyba nigdy w głowie nie powstała myśl, żeby zlekceważyć dokument, na którym złożył swój podpis.

Klasyczne przypadki dwójmowy znajdują coraz częstsze zastosowanie w retoryce Partii Demokratycznej. Przyczyniają się do tego masowe środki przekazu, a przede wszystkim telewizja z jej najbardziej słuchaną i oglądaną stacją Columbia Broadcasting System (CBS). Telewizja amerykańska chce zwolnić wyborców od myślenia. Myśli za ciebie. Myśli nachalnie i nieuczciwie. Ponieważ w porównaniu z rokiem 1982 bezrobocie jest w Ameryce znacznie niższe, CBS pokazuje długie kolejki przed urzędami zatrudnienia — sprzed przeszło dwóch lat, mimochodem dodając, że jest to taśma archiwalna. Ale kto z oglądających dziennik TV słucha lub ogląda go uważnie? Widz zapamięta jakieś ogonki, które będą mu się kojarzyły z epoką rządów Reagana i jego początkową niezbyt spektakularną polityką gospodarczą, gdy liczba bezrobotnych wynosiła dobrze powyżej 10 % — co w porównaniu z 9 %-wym bezrobociem odziedziczonym po Carterze stanowiło wyraźne pogorszenie. Czerwcowy wskaźnik bezrobocia wynosił 7,1 %. Wzrost produkcji przemysłowej i

\* Niektórzy politycy czy historycy twierdzą, że Stany Zjednoczone nigdy nie były narodem, tylko wielonarodowościową czy też wieloetniczną społecznością. Jest to według mnie uderzająca nieprawda. Wieloetniczność nie jest przeszkodą w kształtowaniu się narodu. Przykładem Szwajcaria, która mimo trzech narodowości: Niemców, Francuzów i Włochów (plus zitalizowanych Tyrolczyków, mówiących językiem retroromańskim) zachowała od czasów średniowiecza niezmiernie silne poczucie wspólnoty narodowej. Nie będę wchodził w kwestię co znaczy słowo „naród”, bo wprowadziłoby to nas w dzungłę semantyczną.

usług za pierwszy kwartał bieżącego roku wyniósł 7,5 % — cyfra dawno niespotykana w kurczącej się gospodarce amerykańskiej. Z tej przyczyny w próbach podważania rządów republikańskich najbardziej niewygodnym dla Partii Demokratycznej polem rozgrywek jest stan ekonomiczny kraju. Pogardliwe uwagi o *reaganomics* — tak popularne w pierwszych dwóch latach prezydentury Reagana — obecnie wyraźnie przycichły.

Przełom i rozkręcenie koniunktury, spadek bezrobocia i inflacji, wzrost produkcji przemysłowej z początkiem drugiego dwulecia rządów republikańskich przypuszczalnie zaskoczyły nawet wielu zwolenników Reagana. George Bush — konkurent Reagana z okresu kampanii prawyborczej, a obecnie wiceprezydent — nazwał w roku 1979 jego politykę zmniejszenia podatków przy jednoczesnym zwiększeniu zbrojeń i utrzymaniu na tymczasowym poziomie finansowym opieki społecznej „ekonomią znachora” (*woodu economics*). Więcej, mianowany przez Reagana dyrektor budżetu David Stockman w prywatnym wywiadzie udzielonym przyjacielom (którzy natychmiast go opublikowali) już nie tylko krytykował, ale wręcz wyśmiewał ekonomiczne pomysły prezydenta. Był to ostry kryzys rządów Ronalda Reagana, który w wyborach uzupełniających do Izby Reprezentantów stracił ponad 35 mandatów. Był to listopad 1980 roku.

Politycy demokratyczni nadal cytują George'a Busha z okresu jego kampanii w poprzednich prawyborach, nie ma to jednak szczególnego znaczenia w świetle obecnej pomyślnej sytuacji gospodarczej Stanów. Widocznie „znachorzy” ekonomiczni okazali się lepszymi lekarzami ekonomii od niektórych patentowanych fachowców. Mechanizm redukcji bezrobocia, wzrostu zatrudnienia i ogólnego ożywienia gospodarczego, jaki rozkręcił się w ciągu ostatniego 2-lecia rządów Reagana jest przypuszczalnie zagadką zarówno dla fachowców jak i dla profanów. W społeczeństwie obecna sytuacja mogła tylko wzmocnić sceptycyzm w stosunku do tych zawodowych ekonomistów, którzy w roku 1981 wróżyli Ameryce gospodarczą katastrofę.

Oczywiście Demokraci nie uchylają się od konfrontacji na polu gospodarczym, bo uchylić się od niej nie mogą. Ich głównymi zarzutami wobec Partii Republikańskiej i Reagana jest rosnący stan wewnętrznego zadłużenia oraz polityka faworyzująca bogatych kosztem biednych.

Jeśli chodzi o pierwszy zarzut, to stan wewnętrznego zadłużenia, który w chwili dojścia do władzy Reagana zbliżał się do trylionów dolarów, rzeczywiście rośnie nadal. Ten trylion zadłużenia akumulował się w ciągu lat i był rezultatem wieloletnich wydatków poprzednich prezydentów, wywodzących się z obydwu partii. Do wzrostu wewnętrznego zadłużenia walczyli przyczynili

się to, że ani Lyndon Johnson ani Nixon nie zwiększyli podatków w okresie wojny wietnamskiej. Najwidoczniej uważali, że Amerykanie zbyt mają dosyć tej wojny, by zgodzić się jeszcze na płacenie wojennych podatków. Do tego doszły uchwalone akurat mniej więcej w tym samym okresie fantastycznie wysokie sumy na pomoc społeczną, szczodłą ręką wypłacane przez kolejnych prezydentów. Czasami pod presją Kongresu, albo — jak w wypadku Johnsona — bez presji, z jego własnej inicjatywy. Ledwie skończyła się dyskryminacja czarnej ludności, którą zainicjował John Kennedy, zaczęła się wojna w Wietnamie. Równouprawienie Murzynów było sprawiedliwe ale i bardzo kosztowne, bo pociągało za sobą szereg inicjatyw opiekuńczych i edukacyjnych. Fakt, że zbiegło się to z początkiem akcji wojskowej Stanów w Wietnamie, zwiększył ciężar wydatków i nadwerżył poważnie finanse państwa. Zahamowanie zadłużenia jest teraz niezmiernie trudne, ponieważ sama obsługa długów publicznych w postaci płaconych procentów zwiększa sumę zadłużenia. Stopa procentowa którą płaci obecnie Federalny Skarb Rezerw waha się ostatnio w granicach 9-11 %. Dług wewnętrzny Stanów, który prawdopodobnie osiągnie poziom drugiego trylionu w ciągu kilku następnych lat, będzie rósł dalej. Politycy demokratyczni, którzy za zadłużenie Ameryki są w nie mniejszym stopniu odpowiedzialni niż Republikanie, biją na alarm: przyszłe pokolenia będą musiały spłacać długi swych ojców i dziadków. Amerykańskim obywatelom zadłużenie nie spędza jednak snu z powiek. Jeśli w ogóle o nim myślą, to chyba przychodzi im do głowy, że gdyby zagraniczni dłużnicy zwrócili to, co są winni amerykańskiemu bankom, czyli około 500 miliardów dolarów (głównie Argentyna i Meksyk), to chyba miałyby to jakiś wpływ na redukcję zadłużenia wewnętrznego. Nie sądzę jednak, żeby o tym myśleli i martwili się obciążoną hipoteką swych dzieci i wnuków.

Drugim ważnym zarzutem przeciwko obecnemu prezydentowi Stanów jest to, że jego polityka wzbogaca bogatych, a krzywdzi klasę średnią i ubogich. Co to jest klasa średnia w Ameryce, mniej więcej wiemy. Kim są ubodzy — nie bardzo wiemy, ponieważ klasyfikacja ubóstwa zmienia się z roku na rok. W zarzucie, że Partia Republikańska, a w szczególności Reagan, faworyzują bogatych kosztem biednych, pobrzmiewa echo egalitarnych idei lat sześćdziesiątych. Jak pamiętamy, Nowa Lewica domagała się zniszczenia obecnego społeczeństwa i zastąpienia go innym, w którym wszyscy żyliby w dostatku i całkowicie równi. Od lat sześćdziesiątych te skądinąd szczytne hasła przeszły pewną ewolucję. Znaczna część młodych ludzi z owych lat zwolna uświadomiła sobie, że jeśli jakkolwiek równość jest możliwa, to nie na poziomie dostatku, ale nędzy. Przy czym sama idea bezkom-

promisowej równości była mocno wątpliwa, jako że tego typu przemiany nie dokonują się nigdy w politycznej próżni. Innymi słowy okazuje się potem, że nie wszyscy są zrównanymi nędzarzami, ale tylko znakomita większość.

Walter Mondale nie nawiązuje bezpośrednio do tych ciągle nie zwietrzałych pomysłów ulepszania świata, ale w jego atakach na obecny rząd można bez wielkiego trudu doszukać się przetrzonych w poprzednich dwóch dekadach haseł. Nie znaczy to, by w nie wierzył. Wierzy tylko, że dyskretne ich lansowanie utworze mu drogę do Białego Domu. Demokratyczny kandydat na prezydenta twierdzi, że Reagan pomaga bogaczom kosztem biednych. Mówiąc o bogatych Mondale nie ma oczywiście na myśli bogatych emerytów, ale czynnych kapitalistów, których faworyzuje polityka podatkowa Reagana. Mondale, choć nie występuje przeciw kapitalizmowi jako systemowi, nie życzy sobie, by kapitaliści byli bogaci. Jeśli jednak odmówi kapitalistom prawa do zysku, albo zacznie te zyski obciążać jeszcze większymi podatkami niż to czynią obecnie wszystkie kraje przemysłowe Zachodu, to kapitalistom odechce się inwestować. Taka bowiem już jest podła natura kapitalisty, że lubi zarabiać — i to dużo. Mimo to godzi się, by z jego zysku brutto potrącano 50 % albo i więcej w formie podatków, bo wie że nie ma wyboru i musi żyć w kapitalizmie kontrolowanym i w państwie opiekuńczym. Jeśli to wszystko nie zadowala Partii Demokratycznej, to można sądzić, że chciałyby mieć kapitalizm bez kapitalistów. Oznaczałoby to „kapitalizm państwowy”, czyli całą władzę ekonomiczną w rękach państwa. To z kolei oznacza rządy biurokracji — sen, który już od dawna śni się demokratycznym — ale wciąż jeszcze kapitalistycznym — „aparaczykom”.

Myślę że te właśnie tendencje rozwojowe proponują amerykańskim wyborcom ich demokratyczni kandydaci i działające w harmonii z nimi amerykańskie *mass media*.

Telewizja amerykańska (z wyjątkiem ABC — American Broadcasting System) zdecydowanie popiera Partię Demokratyczną, co poważnie zagraża przyszłości tego kraju i całej zachodniej cywilizacji, której małą, choć niespokojną częścią jest Polska. Brzmi to jak truizm, ale Polska nie może zostać wyrwana z imperium sowieckiego sama, a tylko wraz z innymi ujarzmlonymi narodami. Ameryka nie zamierza wyzwalać Polski, ale to może nastąpić nie w wyniku jej wyzwoleniczych aspiracji — których żadne wielkie mocarstwo na ogół nie przejawia — ale z konieczności. Po prostu Reagan jest tym prezydentem, który w pełni zdał sobie sprawę, że Sowiety zagrażają zachodniemu światu (co było od dawna widoczne dla wielu milionów ludzi). W rezul-

tacie, chroniąc Stany Zjednoczone, chcąc nie chcąc musi się swoją polityką przyczyniać do demontażu imperium sowieckiego: wytrzymałość przeciętnego sowieckiego obywatela, którego stopę życiową obniża się kosztem zbrojeń, też jest ograniczona. Dawniej człowiek sowiecki bał się bardziej terroru stalinowskiego niż głodu. Obecnie już nie. Co prawda władze sowieckie uczyniłyby wiele, żeby przywrócić terror stalinowski gwarantując immunitet wiernej ustrojowi sowieckiemu biurokracji. Nie jest to jednak już możliwe.

Mimo cierpkich uwag, jakie sformułowałem na marginesie amerykańskich wyborów, jestem daleki od ich lekceważenia, a to dlatego, że wierzę optymistycznie w zwycięstwo Republikanów. Ostatnie wybory z roku 1980 odzwierciedlały pewien przełom w umysłach Amerykanów. Ameryka to nie trzy największe metropolie: Nowy Jork, Los Angeles i Chicago — ale dziesiątki małych miast i miasteczek, nie mówiąc o rolnikach. Są oni wpływową grupą interesów, choć liczebnie stanowią ok. 6%. Mało ich obchodzi obraz świata i jego przyszłość. Ponieważ poza Ameryką żywią około 1/3 świata, bardzo im zależy, żeby ich zboże sprzedawano Sowietom.

Polityka segmentowania Ameryki jest wyłączną domeną Demokratów. Reagan i Partia Republikańska są jej przeciwni, ale retoryka demokratyczna o „dyskryminacji” poraziła już trochę wyborców amerykańskich. Dlatego i Reagan musiał jej w pewnym stopniu ulec. Jest po prostu zaszantażowany propagandą Demokratów, która rozwija się na mierzwiu ignorancji amerykańskiego wyborcy. Pani Jean Kirkpatrick, reprezentantka USA w ONZ, została dlatego mianowana, ponieważ w przekonaniu Reagana była najlepszą z kandydatów i kandydatek. Ale już sędzia Sądu Najwyższego pani O'Connor została mianowana sędzią dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej Mondale wybrał panią Geraldine Ferraro jako kandydatkę na wiceprezydenta z ramienia Partii Demokratycznej: bynajmniej nie dlatego, że była najlepszą z możliwych, ale dlatego, że była kobietą.

Podział na stany, ustalony Deklaracją Niepodległości przeszło 200 lat temu, nie osłabił Ameryki. Natomiast podział na grupy etniczne i rasowe jako klucz do formowania władz ustawodawczych i wykonawczych wraz ze wszystkimi dalszymi konsekwencjami — a więc wzajemnym antagonizowaniem poszczególnych grup — osłabia Amerykę wydatnie. Wielorasowość, która wiąże się z reguły z innym zapleczem kulturowym, może, choć bynajmniej nie musi, zakładać wielocywilizacyjność rozsądzającą narodową wspólnotę Ameryki. Zależy to po prostu od tego, z jaką grupą cywilizacyjną pochodzenia nieeuropejskiego mamy do czynienia. Amerykanie pochodzenia chińskiego i hinduskiego nie

domagają się żadnego uprzywilejowanego traktowania, choć w przeszłości, nie będąc nigdy niewolnikami, zaliczani byli do „kolorowych” i też byli dyskryminowani. Prawdopodobnie przynależność do starszej od europejskiej cywilizacji wywołała w nich coś w rodzaju „kompleksu wyższości”. W swoich skupiskach przestrzegają starych obyczajów, ale bez demonstracji. Nie domagają się większych wpływów ani w administracji, ani w Kongresie. W życiu publicznym, handlu, przemyśle, nauce — sami zdobywają sobie poczesne miejsca. Ich kolor skóry jest obrażą nie dla białych, ale dla czarnych obywateli tego kraju, którzy chcieliby kroczyć razem. Cóż, kiedy oni tego nie chcą, bo jest im to zupełnie niepotrzebne.

Choć wielokrotnie poruszałem w *Kulturze* temat czarnej ludności Stanów, niepodobna go pominąć przy tematyce wyborczej. Rozbicie Ameryki rozpoczęło się wraz z końcem dyskryminacji Czarnych. Ten akt sprawiedliwości tak długo nie był kwestionowany (z wyjątkiem najbardziej rasistowskich środowisk Południa), póki nie przeszedł w swoje przeciwieństwo. Ale i wówczas ten odwrócony rasizm był długo tolerowany i usprawiedliwiany przez intelektualne środowiska Ameryki. Czarni nie wprasali się do Ameryki. Sprowadzono ich jako niewolników. Wyzwolenie i koniec dyskryminacji wywalczyli sobie tylko częściowo sami. Potężnym sprzymierzeńcem były białe środowiska liberalne, zgrupowane wokół amerykańskich uniwersytetów. Prawdopodobnie zjawisku temu towarzyszył głęboki kompleks winy. Obecnie, już po wielu latach, ten kompleks winy każe im rozbijać i osłabiać Amerykę jako mocarstwo. Dla wielu z nich Stany Zjednoczone, które przez blisko dwa wieki budowały swą potęgę poprzez ekspansję, były symbolem zła, którego dopuściły się wobec kolorowych mniejszości. Ludzie, hołdujący tym poglądom, zachowują się czasem tak, jakby Ameryka żyła w międzynarodowej pustce. Choć z racji swej profesji powinni być racjonalistami, zachowują się irracjonalnie. Że nie jest to sprawa jednego pokolenia dowodzi fakt, że 50 lat temu popadali w zachwyt nad imperium Stalina, choć fakty nieludzkiego terroru nie były im nieznane. Należy zatem sądzić, że intelektualiści Zachodu — w tym głównie Ameryki — świadomie odrzucają racjonalizm i empiryczne rozeznanie faktów jako metodę żłudną i niedoskonałą.

Problem „dyskryminacji” Czarnych, Portorykanów i innych grup etnicznych, jak również gorszego traktowania na rynku pracy kobiet — ten ostatni zarzut nie jest pozbawiony żdźbła prawdy — nie jest jedynym taranem wyborczym, przy pomocy którego Mondale chciałby utorować sobie drogę do Białego Domu. Potężnym argumentem jest rzekomo wojenna polityka Reagana — czyli to, co jest pierwszą od wielu lat próbą położenia kresu

przeciągającemu się procesowi kapitulacji wobec Sowietów. Mieli w tym swoje „zasługi” nie tylko demokratyczni prezydenci Ameryki, ale i republikańscy: Eisenhower, Nixon i Ford. Reagan jest właściwie pierwszym od lat prezydentem, który proces ten usiłuje zahamować. Oczywiście koszty tego są o wiele wyższe niż byłyby 15 czy 20 lat temu. Zadeklarowanie kapitulacji jest bardzo skutecznym środkiem zapobieżenia wojnie. Można rzecz gwarantowanym. Tyle tylko, że z punktu widzenia zachowania swobód amerykańskich niezmiernie kosztownym, choć niekoniecznie przeliczalnym wyłącznie na pieniądze. To bowiem, co w okresie wyborczym obiecują wyborcom demokratyczni politycy — to jednogłośnie i gromkim głosem powtarzana obietnica, że amerykańscy chłopcy nie będą umierali i w ogóle walczyli w obronie Stanów Zjednoczonych. Czy nawet wówczas, gdy nieprzyjaciel zaatakuje Stany? Nie, tego nie obiecują. Może nawet nie dają gwarancji „amerykańskim chłopcom”, że nie włączą ich w mundury i nie wyślą za ocean, gdy Sowiety wkroczą do Niemiec Zachodnich. Istota sprawy polega na tym, że w przeciwieństwie do Hitlera sowieckie Politbiuro nie zamierza zniszczyć zachodniego świata, ale uczynić z niego dojną krowę. A nie można tego zrobić w drodze wojny, tylko w trybie militarnego szantażu i podboju kolejnych krajów, wzmacniając swoją pozycję strategiczną. Temu właśnie nie zamierzają przeciwdziałać Demokraci i solennie to obiecują.

Oczywiście taka polityka musi prowadzić albo do zbrojnej konfrontacji — którą Demokraci odrzucą — albo do kapitulacji, w sprawie której się nie wypowiadają. Hedonizm w jaki popadł naród amerykański zrodził tak wielką miłość życia, że nic innego się nie liczy. Nie można tego nazwać po prostu tchórzostwem, bo każdy ma prawo uznać, za jakie wartości lub przyjemności warto umierać, a za jakie nie. Wielu Amerykanów nie chce umierać za Amerykę i za cywilizację zachodnią, ale ryzykują śmierć i często umierają od nadużywania narkotyków. Możliwe, że niepodległość amerykańska mało ich obchodzi, a cywilizacja zachodnia nudzi, bo woleliby coś bardziej podniecającego. Nie chcę przybierać togi moralisty, stwierdzam tylko, że składniki amerykańskiego hedonizmu, które ktoś kiedyś błędnie nazwał kosztami amerykańskiej demokracji, działają jednocześnie paraliżująco i potęgująco na ich wyobraźnię.

Wyobraźnia działa selektywnie. Z jednej strony Amerykanów (i nie tylko Amerykanów) łatwo postraszyć wojną nuklearną — z drugiej strony — nie mogą sobie wyobrazić, jak by im się żyło w charakterze wasali imperium sowieckiego. Oczywiście ta pierwsza ewentualność jest w swej grozie bardzo wyrazista i widmem jej bezustannie straszą oddane Partii Demokratycznej amerykań-

skie *mass media*. Tę drugą można też dość plastycznie przedstawić, ale amerykańska telewizja nie robi tego wcale albo tylko niezmiernie wstrzemięźliwie. W konkluzji myślę, że każda z tych alternatyw — nuklearna zagłada czy zwasalizowanie Zachodu przez Sowiety — jest nierealna. Nierealna pod warunkiem, że Amerykanie dokonają właściwego wyboru.

Do tego dochodzi jeszcze jeden postulat: aby narody Zachodniej Europy przestały tak straszliwie trząść się ze strachu przed Wielkim Bratem. Albowiem on sam jest w wielkich kłopotach i każda, nawet najmniejsza konfrontacja militarna przyspieszy tylko jego zglisnę.

W swoim wywiadzie pt. „Widz i uczestnik” Raymond Aron na krótko przed swoją śmiercią nazywa cywilizację Zachodu „cywilizacją hedonistyczną, której towarzyszyć winna tradycja obywatelska. Jeśli zaniknie pojęcie obowiązku obywatelskiego — twierdzi — jeśli Europejczycy zapomnieli, że trzeba być gotowym do walki, aby móc zarazem ocalić swe przyjemności i swe szczęście, to w takim razie Europa jest zarazem godna podziwu i znajduje się w stanie upadku”\*. Raymond Aron postawił swą niewesołą diagnozę Europie Zachodniej. Otóż sądzę, że kiedykolwiek jakieś społeczeństwo opanowane jest przez hedonizm, a trudno nie dostrzec tego w Ameryce, to myśl o walce w obronie hedonistycznego trybu życia, choć logicznie nie można jej wykluczyć, *jest po prostu psychologiczną niemożliwością*. Żeby bowiem ciesząc się pełnią życia ludzie zdobyli się na ryzyko i poświęcenie, musieliby przedtem zerwać z hedonizmem i poznać gorzki smak surowej walki o swoje prawa i przywileje. A już to samo wymaga wyrzeczeń. W historii walczoneo o różne sprawy: o wyzwolenie prawdziwe lub fikcyjne, o wiarę, wolność i inne szczytne cele. Czasami puszczano te hasła w obieg jak fałszywą monetę. Ale to już zupełnie inna sprawa, bo ci których te hasła porywały wierzyli w nie. Nie może natomiast być bodźcem do walki i sztandarem walka o zachowanie hedonistycznej treści życia. Nie ma ona siły mobilizacyjnej. Tak było za czasów Sparty, podbojów rzymskich, wypraw krzyżowych i innych wojen, które toczono w rozmaitych czasach, niekoniecznie przy użyciu najemników. Dlatego jeśli jakiegokolwiek społeczeństwo chce przetrwać, musi zerwać z nadmierną miłością życia i jego materialnych pojęć. W przeciwnym razie rozszarpane zostanie przez stado wilków.

Nowy Jork, 1 września 1984 r.

Zbigniew BYRSKI

\* Raymond Aron, „Widz i uczestnik”, Wyd. Polonia, rok 1984, tłum. Adama Zagajewskiego.

## Korespondencja z Rzymu

JAN PAWEŁ II A SPRAWA POLSKA

(W SZÓSTĄ ROCZNICĘ PONTYFIKATU)

Stała troska Papieża o naród, który „chce być sobą”, i fakt podkreślania przez niego przynależności do polskiej wspólnoty wpływają z całego kontekstu jego magisterium i oddziaływania na życie społeczne i polityczne w wymiarze międzynarodowym. Sprawa polska jest zresztą międzynarodowo uwarunkowana. Szczególnie ważną w tej materii jest relacja zachodząca pomiędzy sygnałami jakie Papież rzuca i ich oddźwiękiem. Zbyt małą wagę — moim zdaniem — przykładą się na ogół do tego, czego Papież od ludzi się spodziewa, do czego ich nakłania. „Ten pontyfikat — pisałem z okazji trzeciej rocznicy pontyfikatu (*Kultura* nr 11, 1981) — w odróżnieniu od poprzednich (lub przynajmniej silniej od nich) nastawiony jest przeciw na recepcję treści papieskiego nauczania, tzn. wyposażenia w podmiotowość, uaktywnienie tych, co mają je odbierać”. W tym papieskim wyzwaniu chodzi o uzdolnienie ludzi do rozważnych, odpowiedzialnych działań. Ta recepcja „zagrała” w Polsce po wyborze papieża, a zwłaszcza po jego pierwszej pielgrzymce do kraju. Latem 1980 roku była odpowiedzialność za jakość chrześcijańskiego świadectwa — zaczęła się jednak wypalać dość szybko i nie starczyło jej na dłuższą metę.

Rozpatrując z okazji przypadającej 16 października szóstej rocznicy pontyfikatu te aspekty oddziaływania Jana Pawła II na stosunki międzynarodowe, które są szczególnie ważne i aktualne w spojrzeniu Papieża na sprawę polską, trzeba wziąć pod uwagę jego wizję: Kościoła Powszechnego, jedności Europy, emancypacji narodowej, nowego ładu społeczno-gospodarczego oraz kultury współżycia.

Kościół w obecnym pontyfikacie chce być wolny, co Papież tak często podkreśla, wobec przeciwstawnych bloków, wobec wszelkich ideologii, by móc oddziaływać od wewnątrz na przemiany różnych panujących systemów, starając się o ich „uetycznienie”. Kościół pragnie zachować swobodę ruchów po to, by wywierać wpływ na te sytuacje, w których człowiek jest uciskany, dyskryminowany, manipulowany lub jest ofiarą niesprawiedliwego podziału dóbr i ich wykorzystania. Równocześnie jednak Kościół nie może być, i faktycznie nie jest, moralnie neutralny. Na tym polega główna racja szczególnej harmonii, zachodzącej

pomiędzy polityczno-międzynarodową funkcją Kościoła a wyborem Papieża-Polaka, przedstawiciela Wschodu, będącego zarazem rzecznikiem zacofanego Południa. Może to przyspieszyć prawdziwą integrację, nie tylko tak jak dziś — w łonie EWG — komercyjną i technokratyczną, pomiędzy Europą Zachodnią i Wschodnią, pomiędzy uprzemysłowioną Północą i niedorozwiniętym Południem, pomiędzy chrześcijańskim humanizmem i demokratycznym socjalizmem. Potrzebny był papież, który uczyniłby zadość wyzwaniu rzuconemu Kościołowi i całemu chrześcijaństwu przez ekspansję anachronicznego komunizmu, przez reformistyczny ruch socjaldemokratyczny, przez liberystyczną, żarłoczną orientację w neokapitalizmie.

Papież stara się o dowartościowanie Kościołów lokalnych, partykularnych aspiracji kulturalnych i różnorodnych sytuacji społecznych w samym świecie chrześcijańskim. G. Baget Bozzo, włoski kapłan, wybitny publicysta i deputowany do parlamentu europejskiego z ramienia partii socjalistycznej, stwierdza: „Papież ten jest uformowany przez model Kościoła polskiego, stanowczy i zarazem elastyczny, który wyszedł zwycięsko z trudnych zmagania z reżimem, a równocześnie nietknięty, nawet wzmocniony w tym, co stanowi niepowtarzalne zjawisko *tunctim* pomiędzy polskością i katolicyzmem. Uformowany zarazem przez nurt w Kościele polskim najbardziej oświecony, wrażliwy na problematykę kulturalną i otwarty ku innym na zewnątrz Kościoła”. Obecność Polaka na Stolicy Piotrowej nie pozwala już Zachodowi patrzeć na Wschód w dotychczasowych kategoriach myślenia. W jego wizji jedności europejskiej centralne miejsce zajmuje odpowiedzialność, jaką nakłada nań polskie pochodzenie i polski kontekst historyczno-kulturowy. Jan Paweł II dąży wyraźnie do rewaloryzacji zapoznanych i niedocenianych pierwiastków religijnych i kulturalnych tkwiących w dziejach społeczeństw Europy Wschodniej (włącznie z rosyjskim). Zmierza do tego, by Kościół Powszechny oddychał „obydwoma płucami”, a więc nie tylko zachodnim jak dotychczas.

Zdarza się coraz częściej, że niektórzy moi zachodni rozmówcy (nie tylko Włosi), nie zawsze trafnie odczytujący prawdziwy sens polskiego wątku w obecnym pontyfikacie, formułują sąd zawierający bezpośredni lub pośredni akcent krytyczny pod adresem „polskich” wystąpień papieskich: „już czas, by Polska stała się krajem normalnym, by nie traktować jej wciąż jako przypadku wyjątkowego, który wymaga specyficznego podejścia”. Moja odpowiedź: pod presją społeczną i dzięki mądrej strategii Kościoła, w rezultacie kolejnych kryzysów Polska zachowała, względnie uzyskała, istotne odmienności w stosunku do innych krajów bloku sowieckiego, a sam system w starciu z tą presją również ulegał pożądanym zmianom. Powołanie Polski w Europie jest zatem specjalne i wyjątkowe. To nie żaden mesjanizm i to nie Papież przyczynia się do tego stanu rzeczy. W optyce Jana Pawła II naród i kultura stanowią na pewno kategorie silniejsze od państwa. Polsce przypada dziś funkcja rewindykowania nowego



typu stosunków pomiędzy narodem i państwem. Priorytet należy do narodu, podczas kiedy struktury państwa, w wizji europejskiej Papieża, wyglądają jako nadbudowa służebna i zmienna jeśli chodzi o jej formy konkretne. Kiedy Papież w swych wystąpieniach mówi, że Polska zapłaciła dostatecznie dużo, aby mieć prawo do niezależności i suwerenności, stwierdza to, co Karta ONZ i układy w Helsinkach usankcjonowały. Nigdy nie zaakceptował sytuacji politycznej w PRL, ani kiedy był w kraju, ani tym bardziej potem — to Zachód nieraz akceptuje bezpośrednio i pośrednio ingerencje ZSSR.

Polska w ujęciu tego pontyfikatu stanowi *sui generis* prototyp narodu w sensie rewaloryzacji tożsamości narodowej i kulturalnej. Ilekroć swoje rozumowanie, odnoszące się do doświadczeń Polski, Papież przenosił do krajów znajdujących się w podobnej sytuacji. Kultura europejska w systemie kapitalistycznym doby powojennej zapoznała problem narodu. Jan Paweł II dowartościowuje go w swym „wędrownym” apostołacie. Przyznając moim zachodnim rozmówcom pewną dozę racji, jeśli chodzi o krytykę polskich niedostatków w kulturze politycznej i kulturze współżycia, które ten pontyfikat ujawnił tak jaskrawo, nie może zgodzić się z zarzutami dotyczącymi rzekomej tendencji do tzw. „polonizacji” Kościoła Powszechnego. Po drugiej pielgrzymce Papieża do kraju ten, graniczący z psychozą, straszak „polonizacji” Kościoła uległ wprawdzie wyciszeniu, ale całkowicie nie zanikł. Na temat „polskości” Papieża krąży wiele uproszczonych lub wręcz niesprawiedliwych opinii. Nie docenia się tego, że ta „polskość” — jak stwierdził pewien francuski filozof — „umacnia, zamiast ograniczać, znaczenie jego wystąpień. Jeśli mamy zerwać z utożsamianiem Kościoła i kultury europejskiej, co jest konieczne, oznacza to, że przede wszystkim trzeba zrewaloryzować tę część Europy, która została zapomniana po drugiej wojnie światowej”. Tylko w Europie zachodniej zresztą zarzuca mu się tu i ówdzie, że jest Polakiem. Nikt nigdy nie zrobił mu tego zarzutu w Ameryce Łacińskiej, Afryce czy Azji, gdzie żyje dziś znaczna większość katolików na świecie.

Jeśli już mowa o nieuzasadnionych zarzutach, to w dużej mierze polegają one na nieporozumieniach związanych z samym wyborem Jana Pawła II. Niektórzy odczytali ten wybór pod kątem doraźnych interesów lub preferencji i wyłącznie politycznych wyrachowań jako element destabilizujący Wschód, jako ładunek rozsadzający tamtejsze anachroniczne struktury. Nic bardziej błędnego aniżeli stereotyp Jana Pawła II w zdefiniowanym, upolitycznionym ujęciu zachodnim, tzn. papieża widzianego w funkcji antysowieckiej, wcielającego wyłącznie suwerenność narodową Polaków. Sytuacja jest odmienna. Papieżowi chodzi o dążenie do jednoczenia tradycji zachodniej i wschodniej w chrześcijaństwie, do przewyciężania podziałów ideologicznych i politycznych, do pokojowego kierowania istniejącymi sprzecznościami, tam gdzie nie można ustanowić jedności.

Jan Paweł II jest Papieżem poszukiwania syntezy. Jego dok-

trynalna koherencja odnosi się do odpowiedzialności za nieskazitelną przekazanie Ewangelii w życiu społecznym, czyli do obrony przed fałszywymi infiltracjami. Jan Paweł II przeciwstawia się zarówno integryzmowi, jak i progresizmowi, czyli fałszywej idei postępu. Jest on prawdziwie postępowy, bo stara się wnikać w dynamiczną, zmienną rzeczywistość ludzkości, łączyć to, co jednostkowe, unikalne, z tym, co uniwersalne. Ma to ogromne znaczenie w takich sytuacjach jak polska. Od dwóch wieków bowiem stała udręką polskich losów i polskiej myśli było — jak wiadomo — rozdwojenie tego, co polskie i tego, co uniwersalne.

Jan Paweł II odpowiada na wyzwanie naszych czasów, tzn. wyzwolenie człowieka i społeczeństw, dowartościowuje w pełni ruchy robotnicze i popiera emancypację narodową w świecie poprzez moralne wartości obrony uciskanych i upośledzonych. Sygnalizował, jakie w tym zakresie dawał w Polsce, były żywo odbierane w krajach Ameryki Łacińskiej. I odwrotnie, to co mówił w Meksyku czy rok później w Brazylii, miało duże reperkusje w Europie Wschodniej, zwłaszcza w Polsce. Widzi on analogie pomiędzy rzeczywistością społeczną panującą w krajach komunistycznych i krajach Ameryki Łacińskiej rządzonych przez wojskowe dyktatury i sprzymierzone z nimi prywatne, uprzywilejowane grupy interesów. Oba te typy społeczeństw, znużone demagogią i niespełnionymi obietnicami, buntują się przeciw społecznej niesprawiedliwości i pragną stanowić same o swych losach. Wystarczy tu wspomnieć encyklikę „O pracy ludzkiej” — dokument posiadający w tym aspekcie znaczenie kluczowe.

Jeśli już mowa o społecznym wymiarze papieskiego nauczania, to trzeba wyraźnie zaznaczyć, że eksperyment „Solidarności” nie ograniczał się w optyce Papieża do skali wyłącznie polskiej. Papież w rzeczy samej widział w tym ruchu innowację, która przełamując istniejące, zablokowane w rozwoju struktury społeczne, może również wywrzeć wpływ w świecie kapitalistycznym, gdzie związki zawodowe, często upolitycznione i biurokratyzowane, utraciły w dużym stopniu swe pierwotne powołanie do solidarności na rzecz warstw najsłabszych, mniej uposażonych i chronionych. W wizji Jana Pawła II „Solidarność” i powstające załóżki wolnych związków zawodowych w Ameryce Łacińskiej — to jedna i ta sama sprawa.

Podejście Papieża do kwestii społecznej ma także odniesienie do problematyki dialogu, czyli do przewyciężenia wielkiego sporu trwającego od XIX wieku pomiędzy chrześcijaństwem a orientacją laicką, liberalną i socjalistyczną. Nie mogę się nad tym rozwoździć, wystarczy przypomnieć to co konwersatorium DiP stwierdza w raporcie trzecim, pt. „Społeczeństwo polskie po sierpniu 1980”, opublikowanym w 1981 roku przez Instytut Literacki. Jest tam taki fragment: „Obecny papież w swym nauczaniu społecznym odwołuje się do chrześcijaństwa ludowego, co przybliżyło do nauczania do ideałów głoszonych przez lewicę społeczną. Zapewnia to wzrost wpływu — pośrednio także politycz-

nego — Kościoła w całym świecie, wpływu opartego na autorytecie moralnym uznawanym coraz powszechniej również przez ludzi i siły społeczne tradycyjnie mu obce, a nawet przeciwstawne”.

Polska w optyce tego pontyfikatu stanowi *test-case* dla realnych możliwości, obliczonych na stopniowe etapy, nie tylko wyjścia z systemu totalitarnego, ale emancypacji narodowej w jakichkolwiek warunkach społeczno-politycznych. Od samego początku „polskiego eksperymentu” chodziło jednak o to, by to „wyjście”, a więc przejście do systemu demokratycznego mogło odbywać się w warunkach względnej stabilizacji. Nakładało to konieczność stałego samoograniczania działań i celów. Papież tę bardzo trudną i złożoną sytuację starał się osłaniać. Dziś już wiadomo, że jego racjonalne nastawienie nie znalazło, niestety, oddźwięku, że jego wezwania do samoograniczenia i roztropności nie zostały prawidłowo odebrane. Także na Zachodzie.

Trzeba wystrzegać się akcentów kultu chwały zwyciężonych. Kto przegrywa w słusznej walce, ten odnosi moralne zwycięstwo — brzmi nasza dewiza narodowa, pokutująca w pewnych środowiskach. Etyczny kult chwały pokonanych — twierdzi ks. prof. J. Tischner — wiedzie na bezdroża, jednostronny kult czy moralność zwyciężonych może usypiać, prowadzić do etycznej drzemki. W czasie audiencji generalnej w dniu 27 czerwca tego roku Jan Paweł II, zwracając się do polskich pielgrzymów, mówił o potrzebie „dochodzenia do tego moralnego zwycięstwa”, o jakim była mowa podczas jego zeszłorocznej pielgrzymki do kraju. A tego nie osiągnięte moralne zwycięstwo, ale „dochodzenie” do tego zwycięstwa. Jest w tych słowach nie tylko realizm, ale i wezwanie — pod adresem rodaków — do zachowania równowagi. W myśl dewizy: *Nec timere nec timide* — ani zuchwałym, ani lęklwym. Według nauki chrześcijańskiej odwaga, dojrzała odwaga, nie może eliminować przeczności.

Niektóre teksty w podziemnej prasie potwierdzają istnienie dążenia do samokrytycznego rozliczenia. A. Hall, znany działacz Ruchu Młodej Polski z Gdańska, pisze w „Próbie spojrzenia” m.in.: „Złe wystawilibyśmy sobie świadectwo, zadawałając się stwierdzeniem, że racja moralna była po naszej stronie, a przeciwnik okazał się wiarołomny i podstępny”. Były — jego zdaniem — oczywiście totalitarne zbroczenia, ale także antydemokratyczne wykrywienia w działaniach opozycji. Brak zaś kultury politycznej, kultury polemiki, podatność na demagogię, czyli „schorzenia pochodne procesu sowietyzacji” — zdaniem Leopoldy („Teksty Cywilne”, Instytut Literacki, 1983) — wynikają z tego, że „nikt nie jest wolny i zabezpieczony przed jadem totalitaryzmu, a sama nienawiść do komunistów nie chroni przed sowietyzacją”.

„Polskiemu eksperymentowi” zabrakło osłony politycznej z Zachodu. Zabrakło poważnego punktu odniesienia w postaci próby stworzenia platformy negocjacji z Moskwą, nie ograniczonych do redukcji zbrojeń atomowych. Stosunki amerykańsko-sowieckie weszły wówczas w bardzo krytyczną fazę. Europa była skłó-

ona w imię swych krótkowzrocznych, merkantylnych i prestiżowych, narodowych interesów. A Jan Paweł II zachęcał stale do przewyciężenia ciasnych egoizmów i wychodził z założenia, że wyłom, jaki dokonał się w Polsce w spetryfikowanych strukturach opartych na prototypie sowieckim, jest tak ważny dla całego świata, iż wymaga zapłacenia wysokiej ceny w kategoriach zarówno gospodarczych, jak i politycznych. Sygnały papieskie znalazły zrozumienie u kanclerza H. Schmidta i prezydenta Mitterranda, bo były i są zgodne z wizją europejską obu tych mężów stanu, bliską papieskiemu widzeniu w polskim eksperymencie alternatywy dla podziału Europy.

Administracja amerykańska podchodziła niestety do polskiego eksperymentu w sposób instrumentalny, w taki sposób, by przysporzyć jedynie kłopotów Moskwie. Przedstawiciele tej Administracji nie zrozumieli, że niepowodzenie „Solidarności”, mimo dalszego uwikłania Moskwy, będzie oznaczać groźbę rozszerzenia konfliktu oraz pogłębienie rozdzwigników pomiędzy Europą Zachodnią i USA. W tydzień po zamachu Jaruzelskiego *Washington Post* w artykule wstępnym przyznał, że brak wyobraźni i *immobilizm* amerykański na płaszczyźnie politycznej spowodowały, iż nie pomyślano o tym, by przesunąć choćby tylko 10% z sum przeznaczonych na zbrojenia na nowy plan Marshalla dla Polski i dla innych zainteresowanych państw Europy Wschodniej. Wyżanie niestety spóźnione.

Co należy zrobić by odrobić popełnione błędy? W optyce tego pontyfikatu priorytet ma nadal sprawa rokowań (nie ograniczających się do rozbrojenia) pomiędzy dwoma supermocarstwami, a więc tym samym stworzenie ram osłony umożliwiającej pchnięcie naprzód zablokowanej ewolucji w Polsce. Wznowienie „polskiego eksperymentu”, chociażby w zredukowanym zakresie, jest możliwe. Mam prawo sądzić, że Jan Paweł II i jego najbliżsi współpracownicy zdają sobie sprawę, że dalszy ciąg bezkrwawej ewolucji w bloku sowieckim wymaga racjonalnych poczynań w skali długofalowej i przede wszystkim wysiłków zmierzających do przywrócenia atmosfery wzajemnego zaufania. Na posiedzeniu plenarnym konferencji w Madrycie w 1982 roku w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie, szef delegacji watykańskiej oświadczył z upoważnienia papieża: „Stolica Apostolska nie pozwoli zatracić słusznych racji narodu polskiego. Jest rzeczą naturalną, że w dyskusjach na temat rozpoczętego przez ruch robotniczy procesu odnowy do głosu dochodzą uczucia i namietności, że w grę wchodzi interesy międzynarodowe, co prowadzi do zajmowania stanowisk przeciwstawnych i polemicznych. Owe różnice stanowisk łatwo mogą jednak pozostać jałowe i sprowadzić idealny i realny przedmiot sporu, to jest życie i wolność narodu polskiego do roli narzędzia. Tymczasem liczy się to, ażeby dyskusja przyniosła korzyść położeniu Polski, tworząc przesłanki do przewyciężenia obecnego kryzysu. Pomagając Polsce wnosi się wkład w polepszenie sytuacji europejskiej i międzynarodowej, co z kolei będzie mogło się przy-

czynić do pozytywnej ewolucji zachodzącego w Polsce procesu”.

Papież jest przekonany, że jeśli nie będziemy zmierzać do ugody społecznej zaproponowanej przez Kościół polski, jeśli nad arogancją potentatów i krótkowzrocznym egoizmem Zachodu nie weźmie góry beznamiętna ocena konsekwencji załamania się „polskiego eksperymentu”, to irracjonalne popędy ludzkie doprowadzą do katastrofy. Jan Paweł II potwierdził kilkakrotnie w ostatnich trzech latach swoje przekonanie, że polski dramat ma wymiar międzynarodowy. Na spotkaniu wigilijnym z kolonią polską w Rzymie w „wojennym grudniu” powiedział: „Sprawy naszej Ojczyzny stały się w jakiś szczególny sposób sprawami wielu narodów, poniekąd całej ludzkości. Przecież chodzi o tak zasadnicze wartości jak godność człowieka, jak prawo narodu do stanowienia o sobie... Polacy powinni być odpowiedzialnymi twórcami swego losu”. I apelował, by „nam w tym od zewnątrz nie przeszkadzano, żeby nam tego z zewnątrz nie narzucano”.

Kryzys polski nie jest sprawą zamkniętą. Żeby ruszyć z martwego punktu sytuację w kraju, nie wystarczy amnestia. Według Watykanu trzeba z jednej strony ciągnąć, ale wyważonej presji, by dyktatura wojskowa rozluźniła nadal swe pięta, z drugiej zaś strony zachodzi potrzeba nie ignorowania implikacji międzynarodowych, tzn. reperkusji tej sytuacji na cały splot stosunków pomiędzy Wschodem i Zachodem. Papież zdaje sobie zapewne sprawę, że Zachód nie jest w stanie zrobić dużo. Minimum jednak stanowi to, by nie dopuścić do zapomnienia, do pomniejszenia, starać się o utrzymanie sprawy Polski na porządku dziennym. W zależności od tego, jak sytuacja w Polsce będzie ewoluować, Zachód powinien zmieniać środki, jakimi się posługuje dla wpływania na tę ewolucję. Współpraca ekonomiczna z Moskwą i wszelkie układy wojskowo-strategiczne są nie do przyjęcia, jeśli sytuacja złamania układu w Helsinkach miałyby być kontynuowana. Zachód, tak jak Papież, powinien dawać sygnały zarówno ostrzegawcze, jak i zachęcające. Muszą być one jednak wiarygodne.

„Na wielkość tego pontyfikatu musimy pracować wszyscy, wszyscy musimy go chronić od głupich lub złych diabłów, z diabłem nacjonalizmu na czele”. Jest to zdanie znanego pisarza Andrzeja Kijowskiego.

Dominik MORAWSKI

Pisane 28 sierpnia 1984 r.

P.S. W tygodniku *Il Sabato*, w numerze z 10 sierpnia, organu dynamicznej, katolickiej organizacji młodzieżowej *Comunione e Liberazione*, bliskiej sercu Papieża, kardynał Siri, abp Genui, na pytanie o książkę „Sekrety Watykanu” (patrz *Kultura* nr 9 z ub. roku) odpowiada: „To co autor mi przypisuje jest wszystko prawdą, jest to najrzetelniejszy dziennikarz jakiego znam. Na temat przebiegu opisanych *conclave* nie wypowiadam się, by nie podpaść pod ekskomunikę. Jest jednak faktem, że istnieją kardynałowie — gaduły”.

## Sprawy i troski

### Pomyłki Prymasa i sprzężenie zwrotne

W kazaniu, wygłoszonym 15 sierpnia br. na Jasnej Górze, Prymas Polski, kardynał Józef Glemp, sformułował kilka uwag na temat opieki duszpasterskiej nad Niemcami pozostałymi w Polsce. Podkreślając wagę pojednania polsko-niemieckiego w duchu orędzia kardynała Wyszyńskiego i polskiego Episkopatu do biskupów niemieckich z 1965 roku, Prymas uznał równocześnie postulat organizowania nabożeństw w języku niemieckim za niezasadzony. Cudzoziemcom należy ułatwiać modlitwę w ich języku ojczystym. Jednak o wspólnocie narodowej decydują nie tylko odczucia osobiste, lecz także prawa danego kraju; nie sposób bowiem stosować norm prawnych jednego państwa do obywateli drugiego. A zatem nie można uważać za cudzoziemca (czyli za Niemca — Spr.) kogoś, kto się nim deklaruje po czterdziestu latach, a więc w drugim pokoleniu, kto nie zna obyczajów ani kultury swojej rzekomej ojczyzny, a „swój” język chciałby poznać przez liturgię.

W Republice Federalnej uwagi Prymasa wywołały — jak czytamy w prasie zachodnioniemieckiej — zdziwienie i krytykę ze strony katolickich kół kościelnych, a także ze strony rządu. Jeśli jednak rząd wstrzymał się od wszelkiej reakcji oficjalnej, to rzecznik prasowy zachodnioniemieckiej Konferencji biskupów podkreślił, iż biskupi niemieccy zwracali się zawsze do Episkopatu polskiego z prośbą o możliwość odprawiania mszy po niemiecku dla tych osób w Polsce, które mówią po niemiecku i pragną posług religijnych w tym języku. Z inicjatywy kardynała Wyszyńskiego — przypomnieli dalej biskupi niemieccy — osiągnięto jeszcze w roku 1980 porozumienie w sprawie nabożeństw w języku ojczystym zarówno dla Polaków w Niemczech, jak i dla Niemców w Polsce.

Po kazaniu na Jasnej Górze sekretarz konferencji biskupów niemieckich, prałat Schätzler, odwiedził prymasa Glempa w Za-

kopaniem i przywiózł jego list do przewodniczącego Konferencji, kardynała Höffnera. W liście tym prymas Glemp — zapewniając adresata, iż kontynuować będzie linię kardynała Wyszyńskiego, wyrażoną w orędziu z 1965 roku — zgodził się z poglądem o duszpasterskim obowiązku odprawiania mszy w języku ojczystym dla osób, które sobie tego życzą. Ponieważ jednak głosy, domagające się wprowadzenia liturgii niemieckiej, słyszał poza Polską, a nie w Polsce, przeto sprawa wymaga starannego zbadania. Prymas zaproponował powołanie do życia komisji mieszanej. Zadaniem jej będzie opracowanie kryteriów metodycznych i wysunięcie praktycznych propozycji w zakresie omawianej opieki duszpasterskiej.

List Prymasa Polski powitano w niemieckich kołach kościelnych z zadowoleniem. Prałat Schätzler oświadczył, że osiągnięto znaczny postęp. Na pismo prymasa Glempla odpowiedzieć ma kardynał Höffner.

Jak więc widać, w obu kościołach zarysowała się wyraźna tendencja do wyciszenia sporu i kierowania się stopniowo ku rozwiązaniom praktycznym. Oczywiście jednak rzecz na tym się nie kończy. W prasie, a także wewnątrz zainteresowanych środowisk, kontrowersja międzykościelna przetworzyła się natychmiast w polemikę polityczną, czemu dziwić się trudno, gdyż odpowiednie fragmenty kazania jasnogórskiego były od początku faktem politycznym.

Merytorycznie gazety zachodnioniemieckie i głosy opinii ze sobą się zgadzały: Mniejszość niemiecka w Polsce dotychczas istnieje; obywatelstwo nie jest równoznaczne z poczuciem przynależności narodowej, której kryterium — zwłaszcza w warunkach wytworzonych po wojnie — nie może stanowić znajomość czy nieznanostwo języka; osobom pochodzenia niemieckiego i czującym się Niemcami przysługuje więc prawo do opieki duszpasterskiej w języku niemieckim, jeśli tego pragną. Natomiast gdy idzie o *rozmiary* owej mniejszości i o rolę jaką obecnie problem ten odgrywa, względnie odgrywać powinien, w całości kształcie stosunków niemiecko-polskich, o ton wreszcie i stopień wyrażonych w nim emocji — opinia zachodnioniemiecka zareagowała w sposób zróżnicowany.

Głosy najbardziej zaostojące podniosły się w kierownictwach politycznych organizacji przesiedleńczych. W jednym z ich biuletynów (nazywającym *nota bene* do dziś tereny za Odrą i Nysą „Niemcami Wschodnimi”) oskarża się Prymasa Polski o nacjonalizm, pychę, cynizm i nieodpowiedzialną prowokację, oraz operuje się — jako pewnikiem — liczbą ponad miliona Niemców w Polsce. W innej publikacji tegoż biuletynu proponuje się — jako retorsję — odstąpienie od projektów fundacji na rzecz rolnictwa polskiego po to, by odpowiednie środki zużyć na fundację kulturalną i oświatową dla Niemców przybywających z Polski. Ani nazwy „Niemcy Wschodnie”, ani też prezentowania spornych co najmniej określeń liczby Niemców w Pol-

sce w postaci bezspornych danych statystycznych nie wyrzekła się również *Die Welt*.

Jednak liczne — a wśród nich najpoważniejsze — dzienniki i periodyki o przeciwstawnych zresztą tendencjach politycznych, nadały swojej merytorycznej polemice z Prymasem tonację zupełnie odmienną. Kilka komentarzy (*Frankfurter Allgemeine Zeitung*, *Frankfurter Rundschau*, *Süddeutsche Zeitung*) interpretowało zresztą odpowiednio fragmenty kazania jasnogórskiego jako wyraz przymusowej, ale niezręcznej taktyki kardynała Glempla, który w ten sposób zapłacił cenę za uchylenie się od udziału w globalnej kampanii propagandowej rządu polskiego przeciw rewanżyzmowi niemieckiemu. W tych odgłosach prasowych wskazać można głównie wątek wspólny: wielką ostrożność w określaniu *rozmiarów* mniejszości niemieckiej w Polsce. O „odpryskach” tylko dawnych mniejszości etnicznych (niemieckiej, ukraińskiej, białoruskiej) pisze *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, a tygodnik *Die Zeit* kwestionuje kategorycznie wygórowane szacunki liczby pozostałych w Polsce osób pochodzenia niemieckiego. (Dodajmy tu zresztą, że i prałat Schätzler, zapytany w wywiadzie radiowym, czy rzeczywiście jest jeszcze w Polsce tyle osób niemieckiego pochodzenia, by Kościół zobowiązany był do wprowadzenia niemieckiej liturgii, odpowiedział, że właśnie tego dokładnie się nie wie).

Jeśli idzie o Prymasa, nie skapitulował on przed uruchamianą od kilku miesięcy machiną propagandy krajowej przeciw rewanżyzmowi, nie dał się wciągnąć w straszenie Polaków, w uogólnianie zjawisk marginesowych, w konstruowanie na użytek wewnętrzny globalnie wrogiego obrazu Niemiec. Ale ugiął się niestety przed naciskiem ogólnej atmosfery w zakresie węższym i poniekąd wydzielonym: w sprawie mniejszości niemieckiej w Polsce.

W sprawie tej rząd polski od dawna już co innego mówi, a co innego robi. Mówi, że mniejszości takiej w ogóle nie ma — a po cichu udziela zezwoleń na stały wyjazd do RFN osobom poczuwającym się do narodowości niemieckiej. Zupełnie inne stanowisko reprezentuje opozycja polska. Przypomnieć trzeba, że z wnioskiem o przyznanie pozostałym w Polsce Niemcom praw mniejszości wystąpiła jeszcze w swym legalnym okresie „Solidarność”. A niedawno *Kultura* (nr 6/441, 1984) przedrukowała z podziemnego pisma polskiego *KOS* (nr 51) artykuł pt. „Kto mnoży rewizjonistów”. Sytuacja psychospołeczna, wytworzona w Polsce, ułatwia propagandzie Jaruzelskiego wrzucanie do wspólnego kotła i traktowanie jako zła absolutnego problemów odrębnych: mniejszości, granic i wreszcie zjednoczenia Niemiec na zasadzie samostanowienia narodu niemieckiego.

Polemika wokół kazania Prymasa Glempla ujawniła — nie ona pierwsza zresztą — coś na kształt sprzężenia zwrotnego w stosunkach między dwoma narodami. Wystarczy jeden fałszywy krok ze strony niemieckiej, by w odbiorze polskim skutki jego zostały natychmiast pomnożone wielokrotnie przez niepokój i

nieufność. Ale i odwrotnie: pomyłki ze strony polskiej, a przede wszystkim propagandowy do nich akompaniament, totalne uogólnienia, tworzenie atmosfery takiej, jak gdyby jutro miała wybuchnąć wojna i jak gdyby w społeczeństwie niemieckim od czterdziestu lat nic się nie zmieniło; podobne zabiegi utrudniają niewątpliwie bardzo już dziś licznym w Niemczech przyjaciółom Polski działalność na rzecz niemiecko-polskiego pojednania.

SPRAWOZDAWCA

11 września 1984 r.

## W obliczu bankructwa PRL

Obok właściwych kredytów bankowych i rządowych lub przez rządy państw zachodnich gwarantowanych, PRL pozyskała za pośrednictwem instytucji finansowych — przede wszystkim warszawskiego Banku Handlowego — inne jeszcze kredyty: bankowe krótko- i średnioterminowe, eksportowe, jak również — co właśnie ostatnio wyszło na światło dzienne — kredyty w obligacjach o stałym oprocentowaniu i tzw. „notes”, uplasowane w rękach osób i instytucji prywatnych.

W Szwajcarii, w roku 1979, emitowano pożyczkę obligacyjną która przyniosła PRL kwotę 41 mln fr. szwajc. Według układu konsolidacyjnego z bankami w 1981 ustalono, że tylko kredyty ściśle bankowe podlegają konwersji i rozłożeniu spłat na późniejsze lata. Spłata kapitału i oprocentowania papierów w rękach prywatnych (obligacje i „notes”) ma być dokonana w umówionym terminie.

Pożyczki obligacyjne o stałym oprocentowaniu i terminach spłaty kapitału są — jak wiadomo — „świętymi krowami” na rynku kapitałowym. Zaniechanie spłaty kapitału i oprocentowania jest w pojęciach zachodnich uznaniem dłużnika za bankruta. W tej sytuacji bankruta ustawił się Bank Handlowy w Warszawie, gdy — po regularnych spłatach dwóch pierwszych części wspomnianej pożyczki szwajcarskiej — od 2 maja 1984 nie dokonał spłaty ostatniej części w kwocie 12,3 mln fr. szwajc. Zażądano ujawnienia prywatnych posiadaczy obligacji, rzecz nie praktykowana na Zachodzie, deklarując gotowość zwrotu kapitału tylko części znajdującej się w rękach prywatnych i tylko dla wierzytelności sprzed daty zawarcia pierwszego układu oddłużeniowego w roku 1981.

Gwaranci pożyczki (Kreditbank-Suisse i Seditic SA) odmówiły temu żądaniu, argumentując: 1) Instytucje te nie podpisały umowy z 500 bankami zachodnimi; 2) Nie mogą zaakceptować ujawnienia posiadaczy obligacji, gdyż chodzi o papier wartościowy na okaziciela i ujawnienie oznaczałoby dyskryminację między „dobrymi” i „złymi” wierzycielami; 3) Przez zadośćuczynienie temu żądaniu cały rynek kapitałowy mógłby być zagrożony, tworząc precedens dla innych dłużników pożyczek obligacyjnych.

Skierowanie sprawy na drogę sądową jest interesującym wydarzeniem w dotychczasowej historii akcji oddłużeniowej. Ta droga, przesłanie dłuż-

nikowi mandatu zapłaty, jest w stosunkach prywatnych normalną dla odzyskania należności. Czy będzie jednak skuteczną w stosunku do Banku Handlowego, „ręki finansowej” państwa, w dodatku socjalistycznego, o którym notorycznie wiadomo, że jego kasy są puste. Dzienniki szwajcarskie nie wróżą wielkich nadziei.

Coup d'état małych instytucji finansowych genewskich, jak się wydaje, nie znajduje poparcia wielkich banków. Skarga spotka się zapewne z odwołaniem przez trybunał w Genewie, podobnie, jak to się już raz zdarzyło ze skargą jednego z banków amerykańskich przeciwko państwu Costa-Rica z powodu zaprzestania płacenia procentów od obligacji emitowanych w Szwajcarii w 1980 roku. W zachodnim świecie finansowym istnieje stale obawa uznania za bankrutów dłużników państwowych z pustymi kasami. Jak długo jeszcze...?

Janusz RAKOWSKI

Zurych, 6 września 1984

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE  
POLISH BOOKS & ARTS, INC.

97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009

Tel.: (212) 254-8457

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.  
Realizujemy zamówienia pocztowe.

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Specjaliści nie przestają się spierać o charakter ustroju sowieckiego, a to, kto jest winien (Lenin? Stalin? charakter narodowy?), a to, co robić (wracać do prawdziwego marksizmu?, do prawdziwego leninizmu?, do socjalizmu? — czy też zacząć coś całkiem innego?). Żaden specjalista jednak nie bierze pod uwagę irracjonalnego, mistycznego charakteru sowiectwa.

25 sierpnia ukazał się w *Prawdzie* oszałamiający dokument — uchwała KC KPZS o „dalszej poprawie usług transportu dla ludności”. Wszystkie w tym dokumencie jest niewiarygodne, zaczynając od twierdzenia, że wszystkie typy transportu przeznaczone są do przewozu pasażerów. W ślad za tym idzie dumne zapewnienie, że transport sowiecki (wszystkie typy) przewozi każdej doby „prawie 200 mln pasażerów”. Cyfra ta ma dowodzić, że transport działa nadzwyczajnie, dowodzi natomiast, że jest on w pełnej rozspyce. Potwierdza to zresztą spis „istniejących poważnych niedostatków”: „usługi transportowe nie całkiem zaspokajają potrzeby ludności”, „na niektórych liniach kolejowych zdarzają się odstępstwa od rozkładu jazdy”, „nie wszystko zrobiono celem uzyskania wysokiej jakości zestawów kolejowych gotowych do drogi”, „w szeregu miejsc transport miejski jest przeciążony. Autobusy, tramwaje, trolejbusy i metro są nierządnie przeładowane”, „przewóz na wsi rozwija się niedostatecznie”, „budowa, konserwacja i naprawa szos nie odpowiadają potrzebom” i tak dalej. W przekładzie na ludzki język znaczy to, że brak wagonów, lokomotyw, autobusów, tramwajów, a te które są — rozsypują się i wiecznie się spóźniają, a poza tym brak dróg.

Taki obraz odważyliby się przedstawić swym czytelnikom tylko ci spośród zachodnich dziennikarzy, którzy gotowi byłiby mężnie znosić piętno „antysowieckich”. Jak by jednak nie było dziwne stwierdzenie, że w siedemdziesiąt lat od początku budowy socjalizmu transport znajduje się w rozspyce, jeszcze

dziwniejsze wydają się proponowane środki zaradcze: KC KPZS poleca wszystkim ministerstwom, wszystkim radom deputowanych ludowych „rozpatrzyć stan transportu i usunąć ujawnione usterki”.

Mistyczny charakter uchwały KC polega na tym, że Najwyższa Instancja Partyjna zdaje się być przekonana, iż wystarczy nazwać chorobę i zaproponować leczenie, a chory stanie na równe nogi. Inna uchwała KC KPZS (*Prawda* z 1 sierpnia br.), która dotyczy „udziału kadr kierowniczych Estońskiej SSR w pracy polityczno-wychowawczej wśród robotników”, również dowodzi mistycyzmu szamańskich zaklęć Najwyższej Instancji. Praca ideologiczna w Estonii była już przedmiotem długiej rozmowy korespondentów *Prawdy* z pierwszym sekretarzem KC estońskiej kompartii, Karolem Wajno (3 kwietnia 1984). Pierwszy sekretarz zwrócił uwagę na specyfikę Estonii: „władzę rad” udało się wprowadzić dopiero w 1940 roku (czyli władza sowiecka istnieje tam dopiero od 44 lat), położenie geograficzne wysuwa republikę estońską na „pierwszą linię” wojny ideologicznej, gdzie „antysowiecki obstrzał z zachodnich ośrodków propagandowych jest szczególnie gęsty” (w Estonii dobrze słychać zachodnie radiostacje i udaje się nawet odbierać fińskie albo szwedzkie programy telewizyjne). Karol Wajno podał konkretny przykład działań „zachodniego jadu”: Któregoś pięknego dnia „niektórzy mieszkańcy” Tallina znaleźli w skrzynkach pocztowych apel, aby „określonego dnia przeprowadzili coś w rodzaju strajku”. Wielkich wysiłków wymagało od władz zapobieżenie „czemuś w rodzaju strajku”.

Zorganizowane akcje są jak dotychczas rzadkością. Być może K. Wajno bardziej obawia się popularności „zarazy” — zwłaszcza wśród młodzieży, gdyż jak się wyraził — „przeciwnik bynajmniej nie zawsze pracuje na darmo”. Główny estoński komunista przyznaje, że „ten i ów” ulega urokom zachodniego stylu życia, „temu i owemu” Zachód „zawrócił w głowie”, i to tak dalece, że „ten i ów” ubiera się w rzeczy, „na których widnieją obce nam symbole burżuazyjnej państwowości”. Wajno ma na myśli rozprzestrzeniającą się we wszystkich republikach modę na podkoszulki, swetry, wiatrówki czy spodnie z angielskimi nadrukami, podobiznami amerykańskich piosenkarzy, itp.

Żale estońskiego pierwszego sekretarza zostały wzięte pod uwagę i 1 sierpnia *Prawda* opublikowała uchwałę KC KPZS, która proponuje receptę. KC stwierdza mianowicie, że „kadry kierownicze estońskiej SSR” nie dość aktywnie uczestniczą w „polityczno-wychowawczej pracy wśród robotników”. To groźne oskarżenie odnosi się do całej estońskiej nomenklatury, uchwała podkreśla bowiem, że politycznym wychowaniem narodu powinno się zajmować całe kierownictwo: przede wszystkim partyjne, ale także administracja, działacze gospodarczy i inni.

W swym wywiadzie dla *Prawdy* K. Wajno złożył donos na kolegów: „Znam pewnych przywódców, którzy w czasie dni politycznych starają się nie występować przed audytorium młodzieżowym”. Po czym dodał: „Wiem, dlaczego. Dlatego, że tu, aby

wzbudzić entuzjazm, trzeba bardziej niż gdzie indziej samemu być zapalonym, oddanym bez reszty”.

KC KPZS domaga się więc od estońskich kadr przywódczych entuzjazmu, aby innych nim zarazić. Przede wszystkim domaga się, aby „przekonywująco podkreślali, że los narodu estońskiego jest nierozdzielnie związany z rozwojem i umocnieniem państwa sowieckiego”.

Uchwała KC, skierowana do określonego adresata, z reguły jest także przestrogą dla wszystkich. Jak zawsze też uchwała stawia diagnozę — w danym przypadku ryzyko zatrucia burżuazyjnym jadem — i proponuje magiczne panaceum. Uchwały KC KPZS nie mówią wprost o chorobach — zagrzewają do walki, każą pamiętać, że trwa nieubłagana, totalna wojna. K. Wajno podkreśla z uporem: „Ideologiczny front przechodzi dziś środkiem przez cały nasz byt, przez każdy dom”. Znaczy to, że bój toczy się — zdaniem przywódców partyjnych — w duszy każdego sowieckiego człowieka.

Począwszy od 1983 weszło w użycie nowe modne słówko — „kontrpropaganda”. W zabiegach „kontrpropagandowych”, czyli w wojnie ideologicznej, szczególnie miejsce zajmowali zawsze działacze kulturalni — „inteligencja twórcza”, jak ją nazywają uchwały KC: pisarze, malarze, filmowcy i muzycy. W sierpniu 1984 obchodzono w ZSSR 50-ciolecie pierwszego zjazdu pisarzy sowieckich, na którym „mistrzowie pióra” radośnie przywitani uchwałą o znacjonalizowaniu literatury i zaprzęgnięciu jej w służbę państwa sowieckiego. Walentin Katajew, jeden z nielicznych delegatów na zjazd, któremu udało się przeżyć do dzisiejszego dnia, wspomina w *Prawdzie*: „Tamtego sierpnia być może po raz pierwszy poczuliśmy wyraźnie i jasno, że jesteśmy żołnierzami wielkiej armii, której na imię Sowiecka Literatura”. Trudno o precyzyjniejszą formułę: w sierpniu 1934 ogłoszono likwidację literatury i powołanie na jej miejsce literatury sowieckiej: pojęcie „pisarz” zastąpiono pojęciem „żołnierz”.

Trudno przecenić znaczenie pierwszego zjazdu pisarzy. Arkaдій Bielinkow zatytułował swą książkę o Juriju Oleszy „Kapitulacja i zagłada sowieckiego inteligenta”. Jurij Olesza występował na zjeździe i przemówienie jego zrobiło największe wrażenie, bo z prawdziwym talentem oświadczył, że zdaje się na łaskę zwycięzców, że trzeba koniecznie zrezygnować z wszystkiego, co stanowiło kiedyś podstawę literatury i powołania pisarskiego.

Pierwszy zjazd pisarzy sowieckich, za którym posypały się zjazdy sowieckich filmowców, sowieckich muzyków itd. ważny jest dlatego, że mówcy (większość z nich) mieli z czego zrezygnować. Było wśród nich wielu autentycznych pisarzy, którzy oświadczyli, że pragną zostać pisarzami sowieckimi, a na dowód swej dobrej woli odżegnywali się od przeszłości. Na następnych zjazdach (drugi odbył się w 1954 roku) nie było się już od czego odżegnywać — wśród zebranych byli sami swoi: sowieccy literaci. Nie wiadomo dokładnie, ile czasu wymaga kompletna lik-

widacja literatury i zamiana jej na sowiecką. Cytowałem przed chwilą pierwszego sekretarza estońskiej kompartii, który niekiedy „negatywne zjawiska” tłumaczy tym, że jego republika dopiero od 40-tu lat jest sowiecka. Wiadomo dobrze, że nawet w sowieckiej literaturze nagle, z niewyjaśnionych do końca przyczyn, pojawiają się niekiedy autentyczne dzieła literackie. Nie ulega jednak wątpliwości, że są to przypadki, z którymi się walczy i że nie tego chcieli pisarze zebrani 50 lat temu w Sali Kolumnowej moskiewskiego Domu Związków.

Stenogram zjazdu, dziś biały kruk (wydano go w 20 tys. egzemplarzy), zawiera skrócone i przeredagowane teksty przemówień uczestników i jest jednym z najważniejszych dokumentów sowieckiej epoki. O pierwszym zjeździe pisarzy napisano wiele. Jednak badacze, i to nie tylko sowieccy (co byłoby normalne) ale też zachodni nie zwrócili uwagi na dwa posunięcia, które go poprzedziły: aresztowanie Osipa Mandelsztama w maju 1934 i zsynchronizowane ze zjazdem prace nad dziełem zbiorowym zatytułowanym „Białomorsko-Bałycki Kanał im. Stalina. Dzieje budowy”. Czegoś podobnego jeszcze w literaturze światowej nie było: 130 pisarzy przespacerowało się po największym wówczas obozie koncentracyjnym, a 35-ciu spośród nich dopuszczono do prac nad jedyną w literaturze światowej apologią łagrów i katorgi. Redaktorami książki, o której z dumą donieśli zjazdowi, byli Maksym Gorki i zastępca kierownika GUŁagu Siemion Firin.

Pierwszy na zjeździe wystąpił sekretarz KC Andriej Zdanow. Poinformował zebranych, że towarzysz Stalin nadał im nowe imię — „inżynierów dusz” — i że wprowadzona została obowiązująca metoda — socrealizm, polegający na „przedstawianiu życia w rewolucyjnym rozwoju”, czyli nie takiego, jakie jest, tylko takiego, jakim powinno być. Przede wszystkim jednak poinformował, jakie jest podstawowe zadanie literatury sowieckiej: „służba sprawie budowy socjalizmu”.

Partia zdecydowała, że literatura ma być na usługach jej i państwa. Tragedia literatury polegała na tym, że delegaci na zjazd przyjęli tę decyzję z radością, zachwytem i entuzjazmem. W zjeździe uczestniczyło 377 pełnoprawnych delegatów i 220 z doradczym prawem głosu. Ponieważ wszystkie uchwały zostały podjęte przed zjazdem, różnica między delegatami dowodziła, że związek pisarzy sowieckich zostanie oparty na zdrowej sowieckiej zasadzie: wszyscy pisarze są równi, ale niektórzy znacznie równiejsi. 597 delegatów tworzyło armię ludzi pióra tamtych czasów. Obecni byli — z małymi wyjątkami — wszyscy. Nie zaproszono Andrieja Płatonowa, Anny Achmatowej, Michaiła Bułhakowa, Nikołaja Zabołockiego...

W przedrewolucyjnym teatrze rosyjskim istniała praktyka „benefisów” — przedstawień na cześć najlepszego aktora trupy. Powierzano mu główną rolę, fetowano go po przedstawieniu i jemu przypadał dochód ze zbiórki. Na zjeździe pisarzy rolę „gwiazdy” odegrał Gorki. On otworzył zjazd, on wygłosił główne przemówienie i ostatnie słowo, on przerywał mówcom, którzy ani

razu nie zapomnieli wymienić jego nazwiska po nazwisku Stalina.

Można śmiało powiedzieć, że bez pomocy Gorkiego Stalinowi nie udałoby się tak łatwo ujarzmić literatury i kultury ani przekonać, że ujarzmienie jest wyższą formą wolności. Lat temu dwadzieścia Gustaw Herling-Grudziński wymienił w eseju „Siedem śmierci Maksyma Gorkiego” szereg przyczyn, dla których autor „Zwiastuna burzy” został niewolnikiem Stalina. To właśnie Gorki, największy pisarzy rosyjski, klasyk, narodowolec, buntownik, oświadczył na zjeździe: „Literatura sowiecka... musi być zorganizowana jako wspólna kolektywna sprawa, jako potężny oręż kultury socjalistycznej”. Właśnie Gorki otworzył zjazd słowami: „Występujemy w kraju, nad którym świeci geniusz Władimira Iljicza Lenina, w kraju, w którym niestrudzenie i cudotwórczo działa żelazna wola Józefa Stalina”. Co mogli powiedzieć pisarze, którzy występowali po Gorkim? Pozostawało im tylko starać się w miarę możliwości prześcignąć go w hymnach na cześć Stalina i wyrazach oddania partii. Co też robili. Jurij Olesza bił się w piersi i błagał o wybaczenie mu, że napisał wspaniałą powieść „Zawiść”, Wiktor Szklowski ubolewał, że na zjazd nie można wezwać Fiodora Dostojewskiego, którego należałoby oddać pod sąd jako zdrajcę. Bruno Jasiński dziękował za szczęście, jakiego dostąpił, oglądając na trybunie mauzoleum „najukochańszego wodza wszystkich czasów i narodów”. Tylko Boris Pasternak ostrzegał kolegów przed „niebezpieczeństwem, że staną się literackimi dygnitarzami”, ale i on zakończył swe króciutkie przemówienie słowami o „płodnej miłości do ojczyzny i jej obecnych wielkich ludzi”.

Zjazd jednogłośnie zatwierdził uchwałę o powołaniu związku pisarzy sowieckich i statut nowej organizacji, który podkreślał, że „sowiecki pisarz” nie jest pojęciem geograficznym, lecz ideologicznym. Mówi się, że kiedy król pruski Fryderyk II zażądał od Woltera, aby dał mu choć jeden dowód na istnienie Boga, francuski filozof odparł: Żydzi. Fakt, że przez pięćdziesiąt lat jakie upłynęły od zjazdu pisarzy sowieckich i mimo działalności ich związku na terytorium ZSSR pojawiały się i wciąż jeszcze (choć rzadko) pojawiają prawdziwi pisarze i prawdziwe książki, można uznać za cud, lub dowód, że duch ludzki jest niezniszczalny.

Mimo znaczenia tego wydarzenia obchody półwiecza pierwszego zjazdu pisarzy sowieckich zajmowały prasę sowiecką mniej, aniżeli codzienna sowiecka polityka. Telewizja oraz fotografie we wszystkich gazetach znowu — po długiej przerwie — pokazały obywatelom sowieckim Konstantyna Ustinowicza Czernienkę. Wygląda jeszcze gorzej niż w czerwcu, kiedy go widziano po raz ostatni, ale stoi o własnych siłach i nawet samodzielnie wyczął kosmonautom pudełeczka z orderami. Na przypięcie orderów sił mu już nie starczyło. Ale ostatnie wydarzenia zadają kłam nadziejom tych, którzy sądzą, że władza na Kremlu leży na ziemi i że nie ma jej komu podnieść. 6 września TASS nagle

i niespodziewanie wydał komunikat o zwolnieniu ze stanowiska szefa sztabu głównego armii sowieckiej marszałka Ogarkowa, na którego miejsce mianowano marszałka Wachromiejewa. Zachodni specjaliści, którzy od lat upierają się przy rosnącej roli i wpływach wojska odkryli, że przywódcę „lobby wojskowego” można zdmuchnąć jednym ruchem ręki ciężko chorego generalnego sekretarza. Teraz sowietolodzy kłócą się jedynie o to czy Ogarkowa wyrzucono za to, że był „gołębiem”, czy za to, że był „jastrzębiem”.

Należy sądzić, że kariera marszałka Ogarkowa zakończyła się rok temu, w chwili, kiedy mogło się wydawać, że właśnie się zaczyna. Rok temu Ogarkow wystąpił na konferencji prasowej dla zagranicznych dziennikarzy, którym tłumaczył dlaczego zestrzelenie południowokoreańskiego samolotu pasażerskiego było konieczne. Zachodni dziennikarze, nie wiedząc, że statut związku pisarzy sowieckich zabrania oddzielania formy od treści, zlekceważyli fakt, że marszałek łągał jak najęty, chwalili jednak bardzo formę tych kłamstw. Niewykluczone, że sława uderzyła marszałkowi do głowy. Niewykluczone, że generalnemu sekretarzowi albo całemu Biuru Politycznemu pokazano film, na którym widać, jak marszałek Ogarkow pyszni się przed zachodnimi dziennikarzami. Stawiam taką hipotezę tylko dlatego, że istnieje precedens. Nie Ogarkowa, ale marszałka Żukowa — bohatera wojny z Niemcami, który pomógł Chruszczowowi utrzymać się przy władzy w 1957 roku — usunięto z wszystkich stanowisk równie łatwo, jak Ogarkowa. Wystarczyło pokazać członkom KC dwa filmy: na jednym marszałek Żukow widoczny był na białym koniu koło Reichstagu (1945 rok!), na drugim na tymże białym koniu — koło Bramy Brandenburskiej. Na białym koniu! Członkowie KC nie mieli wątpliwości: won z pretendentem na Bonapartego!

Zmiana na czysto technicznym stanowisku szefa sztabu głównego była tylko jednym z posunięć niewidocznego generalnego sekretarza. Drugim był spektakl, jaki rozegrano wokół podróży Ericha Honeckera do RFN. O podróży tej zaczęto się mówić bodaj rok temu, i szef NRD zgodził się pojechać. Zapłacono mu za to dwa razy. W zeszłym roku dostał miliard marek, w bieżącym — 950 milionów. W ostatnich miesiącach — a zwłaszcza w ostatnich tygodniach — napięcie rosło jak w filmach Hitchcocka: RFN oczekiwała Honeckera jak stara panna, która wie, że to ostatnia okazja do zamążpójścia. Przeciekały — i narastały — pogłoski, że on (Honecker) chce, ale Moskwa nie pozwala. Erich Honecker w jednej chwili przeistoczył się w dysydenta, liberała i demokratę, któremu tylko moskiewskie jastrzębie nie dają rozwinąć skrzydeł.

I stało się nieszczęście. Kiedy *Die Welt* opublikowała opinię posła do Bundestagu, że losy Zachodnich Niemiec nie zależą od wizyty Honeckera i jego świty, NRD tak się obraziła, że wizytę oficjalnie anulowano. W RFN wszystkie partie, zarówno prawicowe jak opozycyjne, ogłosiły żałobę.



Charakterystyczne jest, że Honecker nie anulował wizyty definitywnie, ale odłożył ją. Berliński korespondent *New York Times'a* doniósł, że w RFN coraz silniej słychać głosy, że to nie nacisk Moskwy był przyczyną anulowania wizyty, tylko fakt, że w Bonn nie chciano zadowolić wszystkich żądań Honeckera. Można niebezpiecznie sądzić, że Bonn znowu słono zapłaci za przyjazd głowy NRD. Wobec tego spektakl, wyreżyserowany przez moskiewskich reżyserów, należy uznać za udany.

Adam KRUCZEK

12 września 1984

## Kronika niemiecka

Nakładem wydawnictwa *Neuer Malik Verlag* w Kilonii ukazała się książka Brunona Jasieńskiego — *Pałę Paryż* w przekładzie Klauza Staemmlera. ■ 14 polskich księży przebywa czasowo w NRD (lub dojeżdża) — i odprawia tam msze św. w języku polskim w 62 kościołach. ■ Oddział *Caritasu* w Essen zakomunikował, że na początku sierpnia br. kolejny transport (24 ton ubrań i leków) zatrzymany został na granicy PRL i po 7-godzinnej kontroli zawrócony do RFN bez podania przyczyn. ■ Konsorcjum banków zachodniemieckich przyznało NRD nowy kredyt w wysokości 950 mln marek, zaś rząd RFN udzielił odpowiedniej gwarancji państwowej. Nowa pożyczka zaciągnięta została na okres 5 lat. Minister stanu w *Urzędzie Kanclerskim*, P. Jenninger (*CDU*) oświadczył, iż RFN i NRD powinny tworzyć „koalicję rozsądku” oraz ponowić zapewnienie Bonn o woli „dobrosąsiedzkich stosunków”, mających służyć ludziom w warunkach „podziału Niemiec”. ■ *Wyższa Szkoła Pedagogiczna* w Zielonej wydała w małym nakładzie pracę Wiesława Hładkiewicza pt. *Polacy w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec 1945-1949*. Str. 193. ■ W Katowicach przebywała delegacja koncernu *Bayer AG* z Leverkusen k/Kolonii. Goście przekazali dar w postaci 5 sztucznych nerek, uroflometru i leków o łącznej wartości 500 tys. marek. W ub. roku koncern przekazał polskim szpitalom aparaturę i leki wartości ok. 100 tys. marek. ■ W ramach współpracy między uniwersytetami w Toruniu i Tybindze (RFN) w *Ośrodku Obliczeniowym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika* włączono do eksploatacji nowoczesną aparaturę składającą się z 8 komputerowych dysków pamięciowych wartości 15 mld zł. ■ Konserwatorzy polscy, pracujący we Wrocławiu nad odnowieniem *Panoramy Racławickiej*, otrzymali niedawno przenośne rusztowanie z RFN, wypożyczone bezpłatnie przez firmę *Mero-Raumstruktur* z Würzburga. Wobec olbrzymich rozmiarów *Panoramy* nowoczesne rusztowanie poważnie ułatwia i przyspiesza prace konserwatorskie. ■ Prof. Krzysztof Jan Skubiszewski z *Polskiej Akademii Nauk*, znany specjalista od prawa międzynarodowego, został wyróżniony jedną z tegorocznych nagród, przyznawanych przez *Fundację im. Alexandra von Humboldta*. Nagroda jest połączona z kilkuletnim pobytem w celach badawczych w zachodniemieckich instytutach naukowych. ■ Za udzielenie zezwoleń obywatelom NRD

na przesiedlenie do RFN i wykup ok. 1 tys. więźniów politycznych rząd boński zapłacił w tym roku Honeckerowi ponad 300 mln marek. ■ Kredyty banków zachodniemieckich udzielonych dotąd Polsce, które objęte są gwarancjami rządowymi opiewają na sumę 8.044 mld marek. Spłata tych długów przypada na lata 1988-1992. Jedyne płatność 1 mld kredytu, udzielonego PRL przez frankfurcki *Kreditanstalt für Wiederaufbau*, jest rozłożona na późniejsze lata. ■ Rektor *Akademii Spraw Wewnętrznych*, prof. Tadeusz Walichnowski na łamach warszawskich *Perspektyw*: „Na terenie RFN (...) powstało nawet Polskie Porozumienie Niepodległościowe, składające się z bez żadnego znaczenia garstki kosmopolitów, wywodzących się z Polski. Fakt ten był dla polityków zachodniemieckich oczywisty, niemniej PPN wykorzystywano dla własnych celów propagandowych. W programie ogłoszonym przez PPN zawarte były bowiem skandaliczne hasła rewizjonistyczne, na które mogą sobie dziś pozwolić tylko najbardziej skrajne siły w RFN. Mowa tam była między innymi o tymczasowości granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej (...)”. Widać, że prof. Walichnowski oparł swoją wypowiedź nie na tekstach *PPN-u*, a na komentarzach londyńskiej *Myśli Polskiej* i spokrewnionej z nią *Opoki*... Marcowy docent ciągle myśli o sprzyśnięciu różnych „kosmopolitów”, inni też. ■ W piśmie *Zeitschrift für die Geschichte und Altertumskunde Ermlands* (*Rocznik historii i archeologii Warmii*) została zamieszczona interesująca praca Hansa-Jürgena Karpa (Marburg) pt. *Ermland und Preussen im 19. Jahrhundert* (*Warmia a Prusy w XIX wieku*). ■ Kolońska rozgłośnia *Westdeutscher Rundfunk* (*WDR*) nadała w 40-tą rocznicę wybuchu *Powstania Warszawskiego* godzinną audycję dokumentalną Helgi Hirsch pt. *Wir haben nicht nur um die Ehre gekämpft* (*Walczyliśmy nie tylko o honor*). ■ List opublikowany przez krakowski *Tygodnik Powszechny* pt. *Dziesięciu sprawiedliwych*: „Ogłaszałem tu kiedyś że zbieram wspomnienia o Niemcach, którzy w czasie okupacji zachowywali się wobec nas życzliwie, czasem wręcz bohatercko. Apel mój spotkał się z zrozumieniem wielu Czytelników; dziękuję im bardzo za nadesłane teksty. Jednocześnie zawiadamiam, że podpisałem z *Biblioteką Więzi* umowę na książkę, w której znajdzie się znaczna część tych świadectw, oraz proszę o dalsze wypowiedzi, z góry za nie dziękując”. Podpisano: Jan Turnau, Czarnomska 17 m 192, 02-758 Warszawa. ■ Tadeusz Stachowski na łamach *Rzeczywistości*: „Niedawno spotkałem młodych ludzi, legitymujących się co najmniej średnim wykształceniem, których pojęcia i świadomość polityczna wprawiły mnie w osłupienie. Za największego przyjaciela uważali Republikę Federalną Niemiec”. ■ Walerij Marzenko, skazany przez sąd sowiecki w marcu br. (po raz drugi!) na 10 lat łagru i 5 lat zsyłki za prowadzenie „antyradzieckiej agitacji i propagandy”, został przyjęty w poczet honorowych członków zachodniemieckiego PEN-Clubu. ■ W Ambasadzie PRL w Kilonii odbyło się spotkanie przedstawicieli organizacji polonijnych z terenu RFN, na którym „uroczyście obchodzone 40-tą rocznicę powstania Polski Ludowej”. Na bankiet przybył m.in. o. Edmund Forycki, prezes *Związku Polaków w Niemczech RODŁO* w otoczeniu członków *Zarządu* — Marii i Edmunda Stefańskich, Franciszka Jankowskiego i Teodora Wesołowskiego. A na 50-tą rocznicę tzw. zaślubin *RODŁA* z *Wielą* do Polski udała się aż 150-osobowa grupa członków *ZPwN* pod przewodnictwem o. Edmunda Foryckiego oraz przedstawiciele innych organizacji polonijnych w RFN. Jak widać kolaboracja z reżimem kwitnie. ■ Organizacje handlowe w Zielonej Górze zamierzają jeszcze w br. zakupić w Okręgu Cottbus (NRD) towary o wartości ok. 120 mln zł. Wymiana handlowa („towar za towar”) między przygranicznymi regionami Polski i NRD odbywa się za aprobatą rządów obu krajów. W ub. roku zielonogórscy spółdzielcy zakupili w NRD towary za prawie 32 mln zł (obuwie, bielizna damska i męska, czajniki z gwizdkiem, garnki do mleka i żyłtki).

Zapłacono wyrobami z wikliny (różne kosze, stoliki i fotele), winem owocowym i pieczarkami w occie... ■ Dr Claus Richter, warszawski korespondent I programu zachodniemieckiej telewizji (ARD) i jego operator filmowy, Janusz Kieszkievicz, są tegorocznymi laureatami *Fundacji im. Eduarda Rheina* (Düsseldorf) w dziedzinie reportażu telewizyjnego. Nagrodę (20 tys. marek) przyznano za korespondencje telewizyjne z demonstracji w Warszawie, Nowej Hucie i Gdańsku. ■ W czwartą rocznicę podpisania pamiętnych porozumień w Gdańsku otwarto w salach *Biblioteki Publicznej* w Akwizgranie wystawę poświęconą *Solidarności* i opozycji demokratycznej w Polsce. Ciesząca się sporym zainteresowaniem ekspozycja została przygotowana przez ruchliwą *Grupę Roboczą Solidarność* w Eschweiler (Nadrenia-Westfalia). ■ Nowym „popisem” publicystycznym *Eugeniusza Guza (PAP)* jest książka wydana przez *KiW* pt. *Spotkanie z „wolną” prasą*. B. korespondent w Bonn stara się przekonać czytelników, że środki masowego przekazu w RFN są opanowane przez różne „grupy interesów, antypolskie elementy i siły rewizjonistyczne”. W ogóle doszło do „sprzysiężenia” prasy zachodniemieckiej jeśli chodzi o relacjonowanie przebiegu Olimpiady w Moskwie i wizyty papieża w Polsce. ■ W PRL przebywała delegacja *Związku Chłopów Niemieckich* pod przewodnictwem barona Constantina von Heeremana. Poza kontaktami z *Naczelną Radą Spółdzielczą v. Heereman* sondował stan przygotowań i szanse uruchomienia *Fundacji Rolnictwa*. ■ Coraz więcej „nieregularnych” przesiedleńców przybywa z Polski do RFN: chodzi o obywateli polskich niemieckiego pochodzenia, którzy po odwiedzinach u krewnych i znajomych w Republice Federalnej odmawiają powrotu do Polski. W pierwszej połowie br. w obozie przejściowym w Norymberdze zarejestrowano 800 osób, które przybyły do RFN bez oficjalnego zezwolenia na przesiedlenie. Liczba podobnych „nieregularnych” wzrosła w lipcu do 1.800 osób; do 20 sierpnia br. zarejestrowano dalszych 1.200 kandydatów do obywatelstwa RFN (większość otrzymuje papiery bez żadnych trudności). ■ Heidi Adele Albrecht, małżonka premiera Dolnej Saksonii Ernsta Albrechta, zebrała kwotę 550 tys. marek na rekonstrukcję renesansowych organów w gdańskiej katedrze. Prowadzona akcja ma być wkładem w dzieło pojednania z Polską. ■ W Baden-Baden, we wczesnych godzinach rannych, przyłapano na gorącym uczynku dwóch sowieckich dyplomatów, którzy skradli sprzed jednego z kiosków pliki świeżo dostarczonych gazet. Jednym z łakomych na niemiecką prasę był kpt. Smolenczew, zastępca szefa sowieckiej *Misji Wojskowej* w Baden-Baden. Prokuratura w Tybindze otoczyła całą sprawę tajemnicą, ponieważ „dyplomaci” sowieccy w miejscu popełnionego przestępstwa podlegają jurysdykcji wojsk francuskich stacjonujących w Badenii-Wirtembergii. ■ Z dobrze poinformowanych kół dowiadujemy się, że *Misja Katolicka* (Freising k. Monachium) stara się torpedować inicjatywę wydawniczą ks. Franciszka Blachnickiego (otwarcie dużej drukarni w Carlsbergu). Pewne koła emigracyjne obawiają się, że ks. Blachnicki będzie rywalizował z londyńskim *Veritasem*. Tymczasem założyciel ośrodka *ChSWN* i zakładu poligraficznego w Carlsbergu czyni rozpaczliwe zabiegi, żeby ratować dopiero co startującą placówkę. ■ *Zieloni* i inne odcienie lewackich ugrupowań wydały w Tybindze *Geschichte des KOR-u*. Jest to tłumaczenie oryginalnego francuskiego wydania, które ukazało się pt. *Le KOR: Du Comité d'autodéfense à une opposition démocratique en Pologne*. ■ W Warszawie gościła wschodniobrzeńska *Komische Oper*, dając na scenie *Teatru Wielkiego* dwa spektakle: balet *Nowy sen nocy letniej*, z muzyką Georga Katzera w choreografii Toma Schillinga oraz *Lear* Ariberta Rejmanna w reżyserii Harrego Kupfera. ■ W latach 1959-1983 *Fundacja im. Alexandra von Humboldta* udzieliła stypendiów 492 naukowcom z Polski. W tym samym okresie czasu polscy stypendiści otrzymali z *Fundacji* sprzęt badawczy o war-

tości 2,9 mln marek i dotacje na zakup książek na sumę 210 tys. marek. ■ Z odczytu Edmunda Osmańczyka wygłoszonego w *Institucie Śląskim* w Opolu (tekst w języku polskim nie został dotąd opublikowany, cytuję za hamburskim tygodnikiem *Die Zeit*): „Nasi sąsiedzi za Odrą i Elbą godzą lub pogodzili się z granicą na Odrze i Nysie. Nie pogodzą się jednak z istniejącym podziałem Niemiec. (...) My [Polacy] zaczynamy nareszcie rozumieć, że różnice systemów w NRD i RFN nie naruszają kwestii narodowej jedności”. ■ Ambasada RFN w Warszawie posiada kartotekę, w której ujęto ok. pół miliona osób, uznanych według zachodniemieckich kryteriów prawnych za obywateli RFN. ■ Jan Paweł II przyjął na prywatnej audyencji w Castelgandolfo Hansa Dietricha Genschera, ministra spraw zagranicznych RFN. Główną sprawą omawianą podczas tego spotkania był mający powstać w Polsce *Fundusz Rolnictwa*; rząd RFN i *Konferencja Biskupów Niemiec* intensywnie popierają tę inicjatywę, ale nie zdecydowano jeszcze jak wysoki będzie udział RFN w tym *Funduszu*; ma w nim partycypować także Kościół Ewangelicki. ■ W Kolonii otwarta została pierwsza polska księgarnia w Republice Federalnej o nazwie Wawel. Księgarnia, której właścicielem jest młody historyk Janusz Łątka, jest nie tylko dobrze zaopatrzona w polskie książki i czasopisma (prowadzi również antykwariat); na składzie zainteresowani znajdują także liczne publikacje w językach czeskim i rosyjskim oraz książki niemieckie i angielskie dotyczące spraw wschodnioeuropejskich. Kolońska placówka prowadzi siłą rzeczy sprzedaż wysyłkową, utrzymuje kontakty z bibliotekami uniwersyteckimi, organizuje odczyty, wystawy malarstwa i grafiki (5000 Köln 1, Stephanstr. 11). W kilka dni po otwarciu w księgarni pojawili się przedstawiciele ambasady PRL proponując „współpracę” w zamian za usunięcie karykatur Jaruzelskiego i biuletynów *Solidarności*...

Andrzej J. CHILECKI

## Litwa: veto Moskwy

Decyzja ujawnienia przez Jana Pawła II sprzeciwu Moskwy w związku z jego zamiarem udania się na Litwę, względnie wysłania tam Sekretarza Stanu jako legata papieskiego, nie jest bez precedensu. 15 maja 1966 roku Paweł VI wyraził publiczne ubolewanie, że nie mógł pojechać do Polski z okazji obchodów Tysiąclecia chrztu. „Nie zezwolono mi na odbycie tej pielgrzymki” — powiedział Paweł VI. Bardzo podobnie brzmiała ostatnia wypowiedź Jana Pawła II: „Nie było mi dane odbyć upragnionej pielgrzymki do Wilna”. Prawdę mówiąc, ani Papież, ani dyplomacja watykańska, ani litewscy kapłani w Rzymie, nie brali poważnie pod uwagę możliwości tej podróży Papieża w bieżącym roku. Rektor litewskiego kolegium św. Kazimierza, ks. prałat Tułaba, był od samego początku (tzn. od kwietnia 1983 roku, kiedy biskupi litewscy na audyencji w Watykanie zaprosili Papieża) przeświadczony, że ta podróż nie dojdzie do skutku. Jego zdaniem, na sprzeciw Moskwy wpłynęło to, co działo się w Polsce w okresie działania „Solidarności”. Władze sowieckie bowiem jeszcze bardziej od tego czasu wzmożyły na Litwie akcję antykościelną. Zaskoczenie wywołała natomiast odmowa, a faktycznie milczenie ambasady sowieckiej, wobec za-

miaru podróży Sekretarza Stanu. Kard. Casaroli, od 20 lat przecież główny negocjator w ramach tzw. watykańskiej *Ostpolitik*, był zawsze uważany przez Moskwę za rozmówcę uprzywilejowanego. W roku 1971 był podejmowany z honorami na Kremlu, gdzie złożył dokument o przystąpieniu (naturalnie symbolicznym, moralnym) Stolicy Apostolskiej do traktatu przeciwko proliferacji broni atomowych. W latach 1973-1975 uczestniczył w negocjacjach w Helsinkach. W tych samych latach odbył podróże na Kubę, do Pragi, Berlina Wschodniego i Sofii. „Jest to człowiek, który zna drogi wiodące na wschód” — tak go określił Jan Paweł II w Częstochowie w 1979 roku. Okazało się tym samym ponownie, że Casaroli w misji dyplomatycznej w Moskwie jest i byłby nadal gościem mile widzianym — natomiast jest niepożądany w misji pasterskiej w Wilnie. W Watykanie — jak się wydaje — nie brano pod uwagę, że lęk przed „polską zarazą” jest aż tak silny w Moskwie, iż odmowa podróży obejmie również osobę kardynała Casaroliego. Przekonano się ponadto, że obecna ekipa rządząca z chorym Czernienko na czele zastrzyła kurs także w dziedzinie religijnej i sytuacja Kościoła pogorszyła się w porównaniu z okresem Breżniewa, a zwłaszcza Andropowa, który rokował pewne nadzieje. Znany rusycysta i członek PCI, Vittorio Strada, pisze na łamach *Corriere della Sera*, że Moskwa lękała się, by „pustka pod pancierzem oficjalnego marksizmu-leninizmu (kompletnie wyjałowionego) nie została spenetrowana przez odmiennie idee... Z tego punktu widzenia ZSSR jest jeszcze bardziej narażony niż Polska”. Korespondent *Unità*, organu PCI, pisze z Moskwy: „przewrażliwienie sowieckie dotyczy także następującego szczegółu: w *Annuario Pontificio* diecezja wileńska nadal jest zaliczana do diecezji polskich” (chodzi o część tej diecezji w granicach PRL, tj. administrację apostolską w Białymstoku).

Dlaczego Jan Paweł II postanowił ujawnić fakt sowieckiego veta? Moskwa *nota bene* nie spodziewała się tego — sądziła, że Stolica Apostolska postąpi tak, jak do tej pory, tzn. nie ujawni tego, co zaszło w toku poufnych kontaktów dyplomatycznych. Decyzja watykańska jest niewątpliwie obliczona na presję dyplomatyczną, która powinna przynieść spodziewane „rozmiękczenie” w skali długofalowej, poprzez wykazanie Moskwie:

1. nieskuteczności oddzielania oceny stanowiska Watykanu w sprawie pokoju od oceny postawy wobec problematyki praw człowieka i wolności religijnej;

2. nieskuteczności wygrywania rzekomych rozbieżności w strategii i taktyce pomiędzy Papieżem i Kurią Rzymską, a w szczególności Sekretarzem Stanu i aparatem dyplomatycznym.

Watykan — innymi słowy — zdemaskował grę sowiecką i rzucił wyraźny sygnał uniemożliwiający kontynuowanie dotychczasowych praktyk. Oprócz samego ujawnienia sowieckiego veta, Watykan zachował przezorność w tej sprawie i także Moskwa (przynajmniej jak dotąd) powstrzymała się od wszelkiej polemiki. Dyplomacja watykańska nie zamierza rezygnować ze starań w kierunku wznowienia dialogu z Moskwą, aczkolwiek na odmiennych niż dotychczas podstawach. Zakłada się, że kryzys w stosunkach z Moskwą zostanie przezwyciężony do 1986 roku. Rozpoczną się wówczas na Litwie obchody jubileuszowe związane z 600-ną rocznicą chrztu. Papież liczy na to, że będzie mógł wtedy odbyć upragnioną podróż. Kardynał Casaroli oświadczył: „to, co jest niemożliwe obecnie, może stać się prawdopodobne w przyszłości”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 września 1984

## Kronika kulturalna

### Nabokowa lekcja literatury

Ostatnim dziełem Władimira Nabokowa (1899-1977) jakie dotarło do jego czytelników jest pośmiertnie wydany zbiór wykładów o literaturze. Po opuszczeniu Francji w 1940 roku, tuż przed inwazją niemiecką, autor „Daru” i „Błatego ognia” (wymieniam dwie jego najwspanialsze dla mnie powieści) przez prawie dwadzieścia lat wykładał w Ameryce literaturę rosyjską i zachodnioeuropejską (w Wellesley College w latach 1941-1948 i na Cornell University w latach 1948-1958). Dopiero światowy sukces „Lolity” uwolnił go od zajęć pedagogicznych i pozwolił na zamieszkanie w Montreux w Szwajcarii, gdzie pozostał już do śmierci. Jeszcze za życia myślał o opublikowaniu swych notatek wykładowych, ale rozliczne inne prace sprawiły, że nie mógł doprowadzić tego zamiaru do końca. Dwuczęściowy zbiór ukazał się dopiero w latach 1980-1981, pod redakcją Fredsona Bowersa\*.

Zważywszy dokładność (by nie rzec: pedanterię) Nabokowa, a równocześnie fakt, że jego notatki stanowiły podstawę wykładów nieustannie powtarzanych — a więc zmienianych, modyfikowanych i ulepszanych — praca redakcyjna musiała być trudna. Materiał stanowiło parę tysięcy zapisanych stron (Nabokow nigdy nie improwizował na katedrze i jego słowa były *in extenso* zapisane na fiszkach, poukrywanych za stosami książek — tak nawet wyglądał jego ostatni wywiad telewizyjny, jakiego udzielił na krótko przed śmiercią francuskiej telewizji i jaki szczęśliwie udało mi się obejrzeć), ale nie tylko: wydawca musiał też uwzględnić notatki, rysunki i uwagi w tekście i na marginesach egzemplarzy książek, jakimi zmarły autor się posługiwał. Nie

\* Vladimir Nabokov, *Lectures on Literature*, ed. F. Bowers, introduction by John Updike (First published in Great Britain 1980 by G. Weidenfeld & Nicholson Ltd.), Picador edition 1983, 385 p.; *Lectures on Russian Literature* (Weidenfeld & Nicholson 1982), Picador 1983, 335 p. Cytaty w tekście według wydania Picador; skróty: L. = cz. I, R. = cz. II.

wszystkie tematy zostały zamknięte w sensie wydawniczym; niekiedy teksty sprawiają wrażenie luźnego eseju, bez wyraźnych przejść pomiędzy jedną częścią a drugą; niekiedy szczegółowa analiza przytłacza wnioski i refleksje na temat całości omawianych dzieł. Niemniej jest to lektura fascynująca i jakkolwiek można się nie zgadzać z pewnymi ocenami (dla mnie wysoka ranga, jaką Nabokow nadał Tołstojowi jest czymś trudno zrozumiałym), obie części pracy czyta się z zapartym tchem — niemal dosłownie.

Już od roku noszę się z myślą o napisaniu o tych dwóch książkach do *Kultury*, ale za każdym razem gdy zabierałem się do ich omówienia, kapitulowałem wobec ogromu zadania. Mój dzisiejszy „kawałek” jest też w pewnym sensie kapitulacją: postanowiłem przedstawić czytelnikom tylko składankę wyjątków tekstu samego Nabokowa i ograniczyć mój własny komentarz do minimum. Nie jest to więc recenzja, lecz raczej zachęta do lektury dla tych, którzy mają okazję sprokurować sobie tekst, a rodzaj zastępczej i oczywiście niedoskonałej antologii dla tych, którzy nie mają czasu lub okazji na przeczytanie tych książek samemu.

Ułożyłem teksty w coś w rodzaju trzech tematów: literatura w ogóle, interpretacja dzieł literatury zachodniej, spojrzenie na literaturę rosyjską. Mimo wrywkowej metody prezentacji i niedoskonałego tłumaczenia (Nabokow pewno przeklina mnie w zaświatach — wiadomo, jak był wymagający wobec tłumaczy: wszystkie jego wykłady w Ameryce zaczynały się od szczegółowej listy poprawek, jakie studenci musieli wnieść do swych tekstów) mam nadzieję, że nie jest to praca daremna i że coś ze spojrzenia na sprawy „piękna i żalu” — jak Nabokow definiował sztukę, zwłaszcza pisarską — w tych urywkach uda się przekazać.

Najlepszym chyba sformułowaniem ogólnego stanowiska Nabokowa wobec sztuki jest jedna z jego uwag wstępnych do analizy „Przemiany” Kafki:

„Oczywiście niezależnie od tego jak wnikliwie, jak pięknie jakieś opowiadanie, utwór muzyczny czy obraz zostaną omówione i przeanalizowane, zawsze znajdą się umysły, których nietkniętej gładzi nic nie zmąci i stopy pacierzowe, których żadna iskra nie rozogni. (...) Biednemu człowiekowi zrabowano płaszcz (Gogola „Płaszcz”, a ściślej „Szuba”); inny nieszczęśnik zostaje zamieniony w żuka (Kafki „Przemiana”) — no to co? Na „no to co?” nie ma sensownej odpowiedzi. Możemy rozłożyć opowiadanie na kawałki, stwierdzić jak poszczególne części pasują do siebie, jak jeden fragment wzoru odpowiada drugiemu; ale trzeba mieć jeszcze w sobie jakąś komórkę, jakiś gen czy zarodek, które by zaczęły wibrować reagując na wrażenia, których nie można ani zdefiniować, ani się ich pozbyć. Piękno i żal — to najbardziej przybliżona definicja sztuki, jaką da się sformułować. Gdzie jest

piękno tam jest żal z tego prostego powodu, że piękno musi umrzeć: piękno zawsze umiera, kształt umiera z materią, świat umiera z jednostką. Jeśli „Przemiana” Kafki stanowi dla kogoś coś więcej niż tylko entomologiczną fantazję to gratuluję mu, gdyż wstąpił w szeregi dobrych, wielkich czytelników” (L., str. 251).

Temat idealnego czytelnika powraca u Nabokowa wielokrotnie; poniższa definicja pochodzi z tomu „rosyjskiego”, z wstępnego eseju pt. „Rosyjscy pisarze, cenzorzy i czytelnicy”:

„W epoce obecnej, w której opinia publiczna w Rosji została całkowicie zmiażdżona przez rząd, istnieje tam może jeszcze dobry czytelnik, w jakimś Tomsku czy Atomsku, ale jego głosu nie słychać, jego dieta jest ściśle nadzorowana, a umysł odcięty od umysłów jego braci za granicą. Jego braci — o to właśnie chodzi: bo tak jak powszechna rodzina utalentowanych pisarzy wykracza poza granice państwowe, tak też utalentowany czytelnik jest postacią uniwersalną, nie podlegającą prawom czasu i przestrzeni. To on — ten dobry czytelnik — ratował zawsze artystę od zagłady, jaką gotowali mu imperatorzy, dyktatorzy, księża, purytanie, filistrzy, polityczni kaznodzieje, policjanci, pocztmistrzowie i obłudnicy. Chciałbym zdefiniować takiego wspaniałego czytelnika. Nie należy on do żadnej określonej nacji ani klasy. Żaden kierownik sumień ani żaden klub książkowy nie dyryguje jego duszą. Jego podejście do utworu literackiego jest wolne od owych niedojrzałych odczuć, które sprawiają, że pośledni czytelnik utożsamia się z jakimś bohaterem i „pomija opisy”. Dobry, wspaniały czytelnik utożsamia się nie z chłopcem czy dziewczyną w książce, lecz z umysłem, który książkę począł i skomponował. Wspaniały czytelnik nie szuka w rosyjskiej powieści informacji o Rosji, ponieważ wie, że Rosja Tołstoja czy Czechowa nie jest konwencjonalną Rosją historii, lecz szczególnym światem wyobrażonym i stworzonym przez indywidualnego geniusza. Wspaniały czytelnik nie interesuje się poglądami: interesuje go określona wizja. (...) powieść podoba mu się, ponieważ chłonie i rozumie każdy szczegół tekstu, cieszy go to, co w autorskim zamierzeniu miało cieszyć, promieniuje radością wewnętrzną i zewnętrzną, fascynują go magiczne obrazy stworzone przez sztukmistrza, rzeźbiarza bajki, czarownika, artystę. Zaiste, najlepszymi ze wszystkich postaci jakie wielki artysta stwarza są jego czytelnicy” (R., str. 10-11).

Dla Nabokowa dobra literatura jest namacalnym zaprzeczeniem ciasnej postawy utylitarnej, tego co nazywa naprzemiennie „(drobno)mieszczaczką” i „filisterstwem”. Niezły ekskurs na ten temat wtopiony został w wykład o Flaubercie:

„Mówi się, że postaci 'Madame Bovary' są mieszczańskie. Rzeczą którą musimy tu wyjaśnić raz na zawsze jest znaczenie, jakie Flaubert nadaje słowu *bourgeois*. O ile nie oznacza ono po prostu „mieszkańca miasta”, jak to często się zdarza w użyciu francuskim, termin *bourgeois* u Flauberta oznacza „filistrów”, ludzi zaprzątniętych tylko materialną stroną życia i uznających jedynie wartości potocznie przyjęte. Nie używa on nigdy słowa *bourgeois* z jakąkolwiek marksistowską konotacją polityczno-ekonomiczną. Flaubertowska mieszczańskość jest stanem umysłu, nie kieszeni. W sławnej scenie książki, w której spracowana stara kobieta otrzymując medal za to, że harowała jak wół na swego gospodarza, staje wobec komitetu, złożonego z zamożnych mieszczuchów, którzy się do niej uśmiechają łaskawie — podkreślam, że w tej scenie obie strony są filisterskie, zarówno łaskawie uśmiechnięci politykierzy jak i przesądna stara wieśniaczka — obie strony są mieszczańskie w sensie flaubertowskim. Wyjaśnię ten termin ostatecznie gdy dodam, że na przykład dzisiaj, w komunistycznej Rosji, sowiecka literatura, sowieckie sztuki piękne, sowiecka muzyka i sowieckie aspiracje są zasadniczo i z głębi przekonania mieszczańskie. Jest to koronkowa kurtyna za żelazną. Funkcjonariusz sowiecki niskiego czy wysokiego stopnia jest doprowadzonym do perfekcji typem umysłowości mieszczańskiej, filisterskiej. U Flauberta kluczem do terminu „filister” jest jego Monsieur Homais. By rzecz wyjaśnić jeszcze lepiej dodam, że Marks nazwałby Flauberta mieszczańszaninem w sensie ekonomicznym, a Flaubert nazwałby Marksa mieszczańszaninem w sensie duchowym; i obaj mieliby rację, ponieważ Flaubert był zamożnym panem w życiu fizycznym, a Marks był filistrem w swym nastawieniu wobec sztuki” (L., str. 126-127).

Wykłady Nabokowa z literatury zachodniej na Cornell University miały oficjalny tytuł „Mistrzowie powieści europejskiej”; ich opis w sylabusie uniwersyteckim, niewątpliwie pióra samego wykładowcy, brzmiał następująco: „*Lektura wybranych powieści i nowel z XIX- i XX-wiecznej literatury angielskiej, rosyjskiej, francuskiej i niemieckiej. Szczególną uwagę zwraca się na indywidualny geniusz i zagadnienia struktury. Wszystkie utwory obcojęzyczne będą czytane w angielskich przekładach*”. Wśród książek zachodnioeuropejskich, omówionych przez Nabokowa figurują: „Mansfield Park” Jane Austina, „Bleak House” Dickensa, „Madame Bovary” Flauberta, „Dr. Jekyll i Mr. Hyde” Stevensona, „Przemiana” Kafki, „W stronę Swanna” Prousta i „Ulisses” Joyce'a.

Przytoczę uwagi Nabokowa o tych dwóch ostatnich powieściach, ponieważ obie są bardzo popularne wśród polskich czytelników, a równocześnie stopień ich trudności dopuszcza wiele interpretacji, a więc interpretacja Nabokowa jest czymś w ro-

dzaju oryginalnego głosu z zewnątrz, w powszechnej dyskusji literackiej. Poprzedzę te wyjątki krótkim fragmentem „ogólnym”, który daje dobre wyobrażenie o perspektywie, z jakiej Nabokow patrzy na to, co nazwał w opisie swego wykładu „geniuszem indywidualnym” i zagadnieniami struktury:

„Literatura to zmyślenie. *Fiction is fiction*. Nazwanie opowiadania „prawdziwym” jest obelgą zarówno wobec sztuki jak prawdy. Każdy wielki pisarz jest wielkim mistyfikatorem, ale jest nim też arcy-oszustka Przyroda. Przyroda zawsze zwodzi. Poczynając od prostego fortelu rozmnażania, a kończąc na czarodziejsko skomplikowanej iluzji barw ochronnych u motyli i ptaków, przyroda dysponuje cudownym systemem sztuczek i ułudy. Powieściopisarz idzie tylko śladem Natury” (L., str. 5).

Przejdźmy do Prousta:

„Proust jest pryzmatem. Jedyńm jego — Prousta czy też pryzmatu — zadaniem, jest załamywanie światła i odtwarzanie tym sposobem pewnego świata z przeszłości. Sam ów świat, mieszkańcy tego świata nie mają żadnego społecznego czy historycznego znaczenia. Tak się złożyło, że są oni tym, co gazety nazywają „ludźmi z towarzystwa”, osobami nie potrzebującymi pracować, bogatymi bezrobotnymi. Jedyne zawody jakie nam się ukazują w działaniu czy w wynikach to zawody artystyczne i naukowe. Pryzmatyczni ludzie Prousta nie mają posad: ich posadą jest bawienie autora. Mogą oddawać się konwersacji czy rozrywce równie swobodnie jak owi legendarni ludzie starożytności, których tak wyraźnie widzimy rozłożonych wokół stołów uginających się od owoców czy spacerujących w trakcie abstrakcyjnej dyskusji po mozaikowych tarasach, ale których nigdy nie przedstawiamy sobie w biurze czy w stoczni” (L., str. 208).

Analiza stylu Prousta zajmuje u Nabokowa wiele stron; przytaczam tu tylko jego uwagę o proustowskiej technice dialogu:

„U dawniejszych pisarzy istniała wyraźna różnica między fragmentami opisowymi i dialogiem: kawałek opisu, po czym następowała rozmowa i tak w kółko. Ta metoda istnieje oczywiście nadal w konwencjonalnej literaturze, której okazy stopnia 'dobrze' i 'dostatecznie' dostarcza się nam w butelkach, a niestopniowaną resztę w kanistrach. Ale u Prousta konwersacja i opis łączą się w jedno tworząc nową całość, w której kwiat, liść i owad stanowią jednolitą część jednego i tego samego kwitnącego drzewa” (L., str. 214).

Prawie stustronicowy esej-wykład Nabokowa o „Ulissiesie”

jest absolutnym majstersztykiem krytyki literackiej i powinien być umieszczany jako obowiązkowe wprowadzenie do tej trudnej książki we wszystkich jej popularnych wydaniach. Dla wszystkich, którzy borykali się kiedykolwiek z ogromną łami-główką Joyce'a niewiele z niej rozumiejąc (mój wypadek), tekst Nabokowa jest użyteczną lekcją, lub nawet więcej: objawieniem rzeczywistości. Przytaczam dłuższy fragment z myślą o innych ofiarach mody, snobizmu czy też ambicji joyce'owskiej:

„Ulisses' jest wspaniałą i trwałą konstrukcją, ale jego zna-czenie zostało z lekka przesadzone przez ten rodzaj krytyków, których bardziej interesują idee, ogólniki i aspekty ludzkie, niż dzieło sztuki jako takie. Muszę szczególnie ostrzec przed dopa-trywaniem się w chaotycznych wędrówkach i drobnych przygo-dach Leopolda Blooma w ciągu jednego letniego dnia w Dublinie szczegółowej parodii „Odyssei”, w której to parodii agent reklama-wy Bloom grałby rolę Odyseusza, inaczej Ulissea, mistrza for-telu, cudzołożna żona Blooma występowałaby jako cnotliwa Pe-nelopa, a Stephen Dedalus utożsamiałby Telemacha.

Jest oczywiste, że w odniesieniu do Blooma istnieje, jak sugeruje tytuł powieści, bardzo mgliste i słabe homeryckie echo motywu wędrówki i że wśród wielu innych aluzji w toku książki znajduje się też pewna ilość aluzji klasycznych, ale byłoby kompletną stratą czasu doszukiwać się ścisłych paralelizmów dla każ-dej postaci i każdej sceny tej książki (...).

Co więc jest głównym tematem książki? To bardzo proste.

1. Beznadziejna przeszłość. Małeńki synek Blooma zmarł był dawno temu, ale jego obraz trwa w jego krwi i mózgu.

2. Śmieszna i tragiczna teraźniejszość. Bloom nadal kocha swoją żonę Molly, ale pozwala działać Losowi. Wie, że po południu o wpół do piątej tego czerwcowego dnia Boylan, pewny siebie impresario Molly, złoży jej wizytę — i Bloom nie robi nic, żeby temu zapobiec. Usiłuje świadomie pozostawić Losowi wolny bieg, ale w rzeczywistości przez cały dzień o mało nie spotyka Boylana.

3. Budząca współczucie przyszłość. Bloom stale też spotyka innego młodego człowieka — Stephena Dedalusa. Bloom zwolna uświadamia sobie, że może to również jest pewnym zamierzeniem Losu. Jeśli jego żona *musi* mieć kochanków, to wrażliwy, zajęty sztuką Stephen byłby lepszy w tej roli, niż pospolity Boylan. Istotnie, Stephen mógłby Molly dawać lekcje, poprawiając jej włoską wymowę, ważną w jej zawodzie śpiewaczki, krótko mówiąc mógłby mieć wpływ uszlachetniający, jak wzruszająco rozu-muje Bloom.

To jest główny temat: Bloom i Przeznaczenie” (L., str. 287-288).

„Postacie nieustannie stykają się ze sobą w ciągu swych pe-regrynacji poprzez dubliński dzień. Joyce nigdy nie traci kontroli nad nimi. Przeciwnie: pojawiają się i znikają, spotykają się i rozchodzą i znów spotykają jak żywe części zamierzonej kompozycji, w czymś w rodzaju powolnego tańca losu. (...) Cały „Ulisses”, jak się stopniowo przekonamy, jest zaplanowanym układem powracających motywów i synchronizacją pospolitych zdarzeń.

Joyce pisze w trzech głównych stylach:

1. Autentyczny Joyce: bezpośredni, jasny, logiczny i swobodny (...).

2. Niepełne, błyskawiczne, urwane sformułowania, oddające tzw. strumień świadomości, lub ściślej: punkty zaczepienia świadomości (...).

3. Parodie rozmaitych form niepowieściowych: tytuły dzien-nikarskie, muzyka, dramat mistyczny i bulwarowy, pytania i od-powiedzi egzaminacyjne w stylu katechizmowym (...).

W każdej chwili, zmieniając jeden styl na drugi lub też po-zostając w obrębie tej samej kategorii Joyce potrafi wzmocnić dany nastrój wprowadzając muzyczne napięcia liryczne poprzez aliteracje i rytmizacje, zazwyczaj dla oddania uczuć tęsknoty (...).

Ale też w każdej chwili Joyce potrafi wprowadzić najrozmaitsze sztuczki językowe, dowcipy, zniekształcenia słów, przedrzeź-nianie, monstrialne zdwojenia czasowników i wyrazy dźwięko-naśladowcze. To wszystko plus nadmiar lokalnych aluzji i obcych wyrażen stwarza niekiedy zbędną niejasność, gdyż szczegóły nie są uwypuklone dość wyraźnie, lecz jedynie zasugerowane na użytek wtajemniczonych” (L., str. 290).

Przejdźmy do literatury rosyjskiej. Wybrane fragmenty dają pewne wyobrażenie o spojrzeniu na nią Nabokowa, choć oczywiście nie są w stanie oddać bogactwa jego spostrzeżeń i analiz szczegółowych; szczególnie ubogo w tym wyborze wypada Gogol, któremu Nabokow poświęcił osobną monografię. Uszeregowałem wyjątki dotyczące poszczególnych pisarzy w tej „kolejności wielkości”, jaką przyjmował sam wykładowca:

„Tołstoj jest największym rosyjskim pisarzem w dziedzinie prozy powieściowej. Abstrahując od jego poprzedników Puszkina i Lermontowa, moglibyśmy największych artystów rosyjskiej prozy uszeregować jak następuje: pierwszy Tołstoj, drugi Gogol,

trzeci Czechow, czwarty Turgieniew. Przypomina to stawianie stopni na wypracowaniach studenckich i nie wątpię, że Dostojewski i Sałtykow czekają już pod drzwiami mego gabinetu, by przedyskutować niskie oceny jakie otrzymali.

Trucizna ideologiczna, *message* — by użyć terminu wymyślnego przez reformatorów-szarlatanów — zaczęła atakować powieść rosyjską w połowie ubiegłego stulecia, a zabiła ją w połowie obecnego. Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że powieści Tołstoja są mocno zainfekowane jego naukami. W rzeczywistości jednak ideologia jego była tak niegroźna, tak mglista i tak odległa od polityki, z drugiej zaś strony jego sztuka jest tak potężna, tak tygryσιο wyrazista, tak oryginalna i uniwersalna, że bez trudu przerasta kazanie. W ostatecznym rachunku to co interesowało go jako myśliciela to Życie i Śmierć, a ostatecznie żaden artysta nie może uniknąć traktowania tych tematów (...).

Wielu ludzi podchodzi do Tołstoja z mieszanymi uczuciami. Uwielbiają w nim artystę, a nudzi ich śmiertelnie kaznodzieja; równocześnie jednak jest rzeczą prawie niemożliwą oddzielić Tołstoja kaznodzieję od Tołstoja artysty — to ten sam głęboki, spokojny głos, te same potężne barki wydzwigające w górę chmurę obrazów lub ładunek idei. Człowiek miałby ochotę wykopać tę sławetną skrzynkę od mydła spod jego ułapcionych stóp i zamknąć go w kamiennym domu na bezludnej wyspie z butlami atramentu i ryzami papieru — z dala od wszelkich spraw etycznych i pedagogicznych, które odciągały jego uwagę od obserwowania, jak ciemne włosy Anny Kareniny wiążą się na jej białej szyi. Ale nie da się tego zrobić: Tołstoj jest jednolity, jest jeden jedyny i walka tocząca się — szczególnie w późniejszych latach — pomiędzy człowiekiem, który pochłania oczyma piękno czarnej ziemi, białego ciała, błękitnego śniegu, zielonych pól i fioletowych obłoków, a człowiekiem, który utrzymuje, że fikcja literacka jest rzeczą grzeszną, a sztuka czymś niemoralnym — ta walka mimo wszystko toczy się w jednym i tym samym człowieku” (R., str. 137 i str. 140).

#### O Gogolu:

„Proza Puszkina jest trójwymiarowa; proza Gogola jest co najmniej czterowymiarowa. Można go przyrównać do współczesnego mu matematyka Łobaczewskiego, który wysadził w powietrze Euklidesa i odkrył sto lat temu wiele teorii, które później rozwinął Einstein. Jeśli dwie równoległe nie stykają się to nie dlatego, że nie mogą, tylko dlatego, że mają coś innego do roboty. Sztuka Gogola, taka jak objawia się ona w „Płaszczu” sugeruje, że równoległe nie tylko mogą się zetknąć, ale też zakręcić i spleść

się w najbardziej nieoczekiwany sposób, tak jak dwie kolumny odbite w wodzie zaczynają wyczyniać najdziwniejsze harce w momencie, gdy pojawia się niezbędna zmarszczka na powierzchni. Geniusz Gogola to właśnie ta zmarszczka — dwa i dwa daje pięć, o ile nie pierwiastek z pięciu, a wszystko to przebija całkowicie naturalnie w gogolowskim świecie, w którym ani racjonalna matematyka, ani nawet nasze pseudofizyczne umowy co do naszej tożsamości nie istnieją naprawdę” (R., str. 58).

#### Czechow:

„Zasadniczą ideą najbardziej pozytywnych i najbardziej negatywnych postaci Czechowa zdaje się być stwierdzenie, że dopóki do mas rosyjskich nie dotrze prawdziwa kultura moralna i duchowa, prawdziwe zdrowie fizyczne i zamożność, dopóty wysiłki najszlachetniejszych i mających najlepsze intencje inteligentów budujących mosty i szkoły, w sytuacji w której knajpa i wódka trwają nadal, będą zawsze spełzały na niczym. Uważał on, że bezinteresowna sztuka, bezinteresowna nauka i bezinteresowne wykształcenie, nie pozostające w bezpośrednim związku z masami, w ostatecznym wyniku dadzą więcej, niż niezdarne i wichrowate usiłowania rozmaitych dobroczyńców. Należy podkreślić, że Czechow sam był rosyjskim inteligentem czechowowskiego typu.

(...) Rosyjscy krytycy zauważyli, że styl Czechowa, jego dobór słów itp., nie wykazuje żadnej specjalnie artystycznej troski z rodzaju tych, które były obsesją na przykład Gogola, Flauberta czy Henry Jamesa. Jego słownictwo jest ubogie, jego zestawienia wyrazów wręcz pospolite — szkarłatna plama, soczysty czasownik, cieplarniany przymiotnik, określenie *crème-de-menthe*, podane na srebrnej tacy: wszystko to było mu obce. Nie był wynalazcą językowym w tym sensie, w jakim był nim Gogol; jego styl literacki chodzi na przyjęcia w codziennym ubraniu. Tak więc Czechow jest dobrym przykładem na jaki można się powołać chcąc wykazać, że pisarz może być doskonałym artystą, mimo że nie ołśniewa szczególnie w dziedzinie techniki słownej i specjalnie nie troszczy się o sposób, w jaki układają się jego zdania. Gdy Turgieniew zasiada by porozmawiać o krajobrazie, widać, że dba o dobrze zaprasowany kant swojej frazy; zakłada nogę na nogę, by podkreślić kolor swych skarpetek. Czechow o to nie dba, nie dlatego, by te sprawy były nieważne — dla niektórych pisarzy są one ważne w sposób naturalny i bardzo piękny, gdy natrafiają na właściwy temperament — lecz Czechow o nie nie dba, ponieważ jego temperamentowi wynalazczość słowna jest całkowicie obca.

(...) Co naprawdę pociągało rosyjskich czytelników to to, że w czechowskich bohaterach rozpoznawali oni typ inteligenta rosyjskiego, rosyjskiego idealisty, dziwacznej i wzruszającej figury, mało znanej za granicą i która nie może istnieć w Rosji sowieckiej. Inteligent Czechowa był istotą łączącą w sobie najwyższy rodzaj ludzkiej przyzwoitości do jakiej człowiek jest zdolny z niemal śmieszną nieumiejętnością wprowadzenia swych ideałów i zasad w życie; człowiekiem oddanym sprawie piękna moralnego, dobra bliźnich, dobra świata, ale nie będącym w stanie zrobić w swym życiu prywatnym niczego użytecznego; marnującym swą prowincjonalną egzystencję w mgłę utopijnych marzeń; wiedzącym doskonale co jest dobre, co jest warte życia, a równocześnie brnącym coraz głębiej w bagno bezsensownego istnienia, nieszczęśliwym w miłości, beznadziejnie nieudolnym we wszystkim — dobrym człowiekiem, który nie potrafi tworzyć dobra.

(...) Zachęcam gorąco do jak najczęstszego brania do ręki książek Czechowa (nawet w okropnych tłumaczeniach, jakie stały się ich udziałem) i do marzenia za ich pomocą tak, jak były zamierzone, by poprzez nie marzyć. W epoce nieokrzesanych Goliatów użytecznie jest czytać o delikatnych Dawidach. Te ponure krajobrazy, te zwiędłe szarzyzny wzdłuż beznadziejnie błotnistych dróg, szare wrony ciągnące po szarym niebie, nagły powiew jakiegoś zadziwiającego wspomnienia na najzwyczajszym rogu ulicy — całe to wzruszające stonowanie, cała ta cudowna słabość, cały ten gołębio szary świat Czechowa zasługują na przygarnięcie do piersi w obliczu okrutnego blasku owych twardych, zamkniętych w sobie światów, jakie obiecują nam bałwochwalcy państw totalitarnych” (R., str. 250, str. 252-253, str. 255).

Znając niechęć Nabokowa do Dostojewskiego (w jego komentarzu do „Eugeniusza Oniegina”, który jest barwną encyklopedią rusycystyki, odnośnik związany z autorem „Zbrodni i kary” zaczyna się następująco: „Fiodor Dostojewski (1821-1881) — *przeklamanym, sentymentalnym powieściopisarzem rosyjskim*...) z zaciekawieniem przeczytałem rozdział poświęcony temu autorowi. Oto uzasadnienie opinii Nabokowa:

„Moje stanowisko wobec Dostojewskiego jest dziwne i trudne. We wszystkich moich wykładach podchodzę do literatury z jedyne go punktu widzenia nieprzemijającej sztuki i indywidualnego geniuszu. Z tego punktu widzenia Dostojewski nie jest pisarzem wielkim, lecz raczej poślednim — z przebłyskami doskonałego humoru, ale niestety też z ugorami literackiego banału zalegającymi pomiędzy nimi” (R., str. 98).

Musimy rozróżnić pomiędzy określeniami „sentymentalny” a „wrażliwy”. Osoba sentymentalna może być w wolnych chwilach skończoną bestią. Osoba wrażliwa nigdy nie jest okrutna. Sentymentalny Rousseau, który potrafił płakać nad postępową ideą, poutykał swoje liczne nieślubne dzieci po różnych sierocińcach i przytułkach i nigdy się nie troszczył o nie ani o grosz. Sentymentalna stara panna potrafi rozpieszczać swoją papugę i otruć swoją siostrzenicę, sentymentalny polityk potrafi pamiętać o Dniu Matki i bezwzględnie zniszczyć swego rywala. Stalin kochał dzieci. Lenin łkał na operach, szczególnie na *Traviacie*. Całe stulecie autorskie wychwalało skromny tryb życia biedaków, i tak dalej. Należy pamiętać, że gdy mówimy o autorach sentymentalnych, jak np. Richardson, Rousseau czy Dostojewski, mamy na myśli nieartystyczną przesadę w zakresie znanych uczuć obliczoną na automatyczne sprowokowanie tradycyjnego współczucia u czytelnika.

Dostojewski nigdy nie wyzwolił się naprawdę spod wpływu, jaki wywarły nań europejskie powieści sensacyjne i sentymentalne. Wpływ sentymentalny zakładał ten rodzaj konfliktu, jaki lubił — umieszczanie cnotliwych ludzi w sytuacjach budzących współczucie, a następnie wygrywanie patosu tych sytuacji aż do ostatniego grama. Kiedy po powrocie z Syberii jego zasadnicze poglądy zaczęły dojrzewać — idea zbawienia, które osiąga się przez występki, etyczna wyższość cierpienia i pokory nad walką i oporem, z apologią wolnej woli nie jako danej metafizycznej, lecz moralnej i ostateczne sformułowanie schematu: egoizm-Antychryst-Europa po jednej stronie i braterstwo-Chrystus-Rosja po drugiej — kiedy poglądy te (wszystkie omówione na wszelkie możliwe sposoby w niezliczonych podręcznikach) wypełniły jego książki, sporo wpływów zachodnich w nich nadal pozostało, tak iż ma się ochotę powiedzieć, że w pewnym sensie Dostojewski, który tak nienawidził Zachodu, był najbardziej zeuropeizowanym spośród pisarzy rosyjskich” (R., str. 103).

„Bracia Karamazow’ są najlepszym przykładem techniki powieści kryminalnej, jaką Dostojewski stale stosuje w swych powieściach (...). Książka ta jest typową historią detektywistyczną, burzliwym dreszczowcem — w zwolnionym tempie” (R., str. 133).

Krótki rozdział o Gorkim pod koniec części „rosyjskiej” wykładów Nabokowa stanowi rodzaj wstępu do cierpkiej oceny współczesnej literatury sowieckiej, z którą już się zetknęliśmy powyżej. Podsumowaniem tej oceny jest ostatni z przytoczonych tu fragmentów:



„Jako twórca Gorki nie ma wielkiego znaczenia. Ale jako barwne zjawisko w strukturze społecznej Rosji nie jest pozbawiony cech interesujących.

(...) Musimy tu podkreślić, że schematyczne postaci i mechaniczna struktura opowiadania u Gorkiego są podszyte takimi martwymi formami jak średniowieczna przypowieść czy moralitet. Musimy też podkreślić jego niski poziom wykształcenia — to co w Rosji nazywamy „półinteligencją” — który ma katastrofalne skutki w wypadku pisarza, którego prawdziwą naturą nie jest wizja i wyobraźnia (a które to dary potrafią dokonać cudów nawet jeśli autor nie ma wykształcenia). Wywód logiczny i pasja rezonerska wymagają dla swej skuteczności formatu intelektualnego, którego Gorki był całkowicie pozbawiony. Czując, że musi zaprezentować coś, co by skompensowało ubóstwo jego artyzmu i chaos poglądów, szukał zawsze jakiegoś jaskrawego tematu, kontrastu, konfliktu, czegoś gwałtownego i brutalnego — a ponieważ to co recenzenci nazywają ‘mocną anegdotą’ odwraca uwagę subtelny czytelnik od właściwej oceny utworu, Gorki wywierał wrażenie silnego i egzotycznego na czytelnikach w Rosji, a następnie na czytelnikach za granicą. Sam słyszałem, jak inteligentni ludzie utrzymywali, że całkowicie fałszywe i sentymentalne opowiadanie ‘Dwudziestu sześciu i dziewczyna’ jest arcydziełem. Tych dwudziestu sześciu nędznych wyrzutków pracuje w piekarni w suterenie; brutalni, prymitywni i ordynarni mężczyźni otaczają niemal religijną czią dziewczynę, która codziennie przychodzi po chleb — następnie zaś obrzucają ją przekleństwami, gdy zostaje uwiedziona przez jakiegoś żołnierza. To z d a w a ł o s i ę być czymś nowym, ale bliższe przyjrzenie się ujawnia, że historia ta jest tak tradycyjna i banalna jak najgorsze okazy sentymentalnego i melodramatycznego pisarstwa starej szkoły. Nie ma w niej jednego żywego słowa, jednego zdania, które nie byłoby stereotypem; wszystko to jest zrobione z różowego lukru z taką akurat przymieszką sadzy po wierzchu, by rzecz zwracała na siebie uwagę.

Stąd już tylko krok do tak zwanej literatury sowieckiej” (R., str. 304-306).

„Wspaniały wiek XIX skończył się. Czechow zmarł w 1904, Tołstoj w 1910. Wyrosła nowa generacja pisarzy, ostatni przeblask słońca, gorączkowa zamieć talentu. W dwóch ostatnich dziesięcioleciach przed Rewolucją modernizm w prozie, poezji i malarstwie rozkwitł olśniewająco. Na oświetlonej scenie pojawił się Andriej Biełyj, prekursor Joyce’a, symbolista Aleksander Błok

i szereg innych awangardowych poetów. Gdy w niecały rok po rewolucji liberalnej przywódcy bolszewicy obalili demokratyczny rząd Kiereńskiego i zapoczątkowali rządy terroru, większość pisarzy rosyjskich wyjechała za granicę; nieliczni, jak np. futurystyczny poeta Majakowski, pozostali. Cudzoziemscy obserwatorzy błędnie utożsamiali radykalną literaturę z radykalną polityką, a nieporozumienie to zostało ochoczo podchwyczone, rozdmuchane i podtrzymane przy życiu przez sowiecką propagandę za granicą. W rzeczywistości w sprawach artystycznych Lenin był filistrem, mieszczańskim i rządy sowieckie od samego początku położyły podwaliny pod literaturę prymitywną, zaściankową, polityczną, kontrolowaną przez policję i skrajnie konserwatywną i konwencjonalną. Rząd sowiecki z cudowną otwartością, odbiegającą zupełnie od niemrawych, niezdecydowanych i niezdatnych prób w tym względzie poprzedniej władzy, oświadczył że literatura jest narzędziem państwa; i przez czterdzieści ostatnich lat to szczęśliwe porozumienie poety i policjanta wdrażane było z niezwykłą inteligencją. Jego rezultatem jest tzw. literatura sowiecka, literatura konwencjonalnie drobnomieszczańska w swym stylu i beznadziejnie monotonna w swej roli pokornej interpretatorki takiego czy innego stanowiska rządowego.

Interesujące jest uwypuklenie faktu, że nie ma żadnej istotnej różnicy pomiędzy tym, czego od literatury wymagali na Zachodzie faszyści, a czego domagają się bolszewicy. Pozwolę sobie zacytować: „Osobowość artysty winna rozwijać się swobodnie i bez ograniczeń. Jednej rzeczy jednak wymagamy: uznania naszej ideologii”. Tak oświadczył jeden z ważnych nazistów, dr Rosenberg, minister kultury w Niemczech hitlerowskich. Drugi cytat: „Każdy artysta ma prawo swobodnie tworzyć; ale my, komuniści, musimy kierować nim zgodnie z wymaganiami planu”. Tak oświadczył Lenin. Oba cytaty są autentyczne i ich podobieństwo byłoby niezmiernie zabawne, gdyby cała sprawa nie była taka smutna” (R., str. 7).

Gdy powstał projekt zaproszenia Nabokowa na Cornell University, jeden z konsultowanych w tej sprawie sławistów (podobno Roman Jakobson) miał oświadczyć: „*To, że Nabokow jest świetnym pisarzem nie stanowi jeszcze wystarczającej kwalifikacji na wykładowcę literatury. Nie angażuje się słońca na profesora zoologii*”. Praktyka i pozostałe po wykładach teksty wykazały, że Nabokow zachował swój wielki format także jako nauczyciel. Ze wspomnień jego słuchaczy wynika, że dla wielu jego wykłady były otwarciem nowej perspektywy na literaturę; uczył nie tyle podręcznikowych faktów, co wrażliwości, spostrze-

gawczości i samodzielności umysłowej. Mój wybór fragmentów miał za zadanie uwypuklenie tej „słoniowej” strony wykładów, tzn. zasadniczych linii jego koncepcji literatury. Nie znaczy to bynajmniej, że w książce nie ma sądów szczegółowych, krytycznych „*muszek, bukaszek, tarakaszek*”. Wręcz odwrotnie — i z żalem musiałem z wielu zrezygnować. Na zakończenie chcę jednak przytoczyć jedną — mojego faworyta: typowy dla Nabokowa morderczy nawias. Wspominając mimochodem zachodnią modę na Dostojewskiego Nabokow wyniośle dodaje, że pojawiło się wielu „*drugorzędnych jego naśladowców, jak na przykład Jean-Paul Sartre (taki francuski dziennikarz)...*”.

Przygotowując ten artykuł chciałem tę „bukaszkę” odszukać, ale gdzieś umknęła mimo, że przewertowałem od nowa oba tomy. Gdyby któryś z czytelników zachęcony do lektury oryginału ją znalazł, byłbym wdzięczny za podanie mi tomu i strony.

M. BRONSKI

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG  
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22  
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:  
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00  
SOBOTA / SAMTAG 9.00 - 12.00  
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND  
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

**PIĘĆ LAT POLSKIEJ KSIĄŻKI  
W NIEMCZECH ZACHODNICH**

Stodiek's Buchhandlung  
KSIĘGARNIA POLSKA  
RICHARD-WAGNER-STRASSE 39  
D - 1000 BERLIN 10  
Tel.: 030-341-10 40.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na życzenie!

## Książki

### Nad Wigrami

Jest to śliczna książka\* o nieco mylącym tytule, jako że można się po nim spodziewać jeszcze jednej wymiany diagnoz politycznych. Naprawdę opisuje ona wakacje nad jeziorem Wigry i ma za tło, a może nawet za główny temat, przyrodę suwalszczyzny, tudzież jej przeszłość. Polityka, jakże by inaczej, ciągle powraca w rozmowach, jakie *alter ego* autora, pan Mareczek, toczy z panem Stefanem, z Witkiem-Jankiem, z panem Rysiemiem, z panią Mareczkową, z panią Żabką, ale wymiar jej inny, szerszy niż słowo „polityka” narzuca: wymiar wielkiego „być albo nie być” jednostek i narodów. Gdyż książka została napisana przez poetę o filozoficznym usposobieniu i filozoficznym przygotowaniu. Zarazem jednak ten poeta, dostatecznie przemyślny żeby unikać suchego filozoficznego dyskursu, wypowiada się językiem najprostszych spostrzeżeń np. przy zbieraniu malin czy łowieniu raków, albo medytuje nad przeszłością — tutaj, w suwalszczyźnie, także nad losem pierwotnych mieszkańców tej ziemi, doszczętnie wytępionych Jadzwingów.

Książka ta ucieszyła mnie i pokrzepiła, z powodów tyleż ogólnych co osobistych. Przyjemnie jest zobaczyć, że długa zaprawa w pisarskim rzemiośle — a śledziłem rozwój J. M. Rymkiewicza-poety od jego pierwszych tomików — może tak ładnie zaowocować. Bo żeby wpaść na podobny styl prozy, na przedziwną mieszankę humoru, powagi, bliskości do rzeczy i zarazem dystansu, trzeba nie tylko talentu. „Czesław, pisz dla ludzi!”, mawiał mój niezjący przyjaciel Zygmunt Hertz. No, nie zawsze umie się i nie zawsze można. Tutaj autor naprawdę „pisze dla ludzi” czyli jasno i zrozumiale, a dzieje się tak dlatego, że jest

\* Jarosław Marek Rymkiewicz, *Rozmowy polskie latem 1983*. Instytut Literacki, 1984.

z ludźmi, złączony z nimi więzami solidarności, jak też Solidarności z wielkiej litery. Czyli że jego styl dojrzał wskutek wielkiego zbiorowego przeżycia Polaków, porywu, który stopił bariery pomiędzy słowem dla nielicznych awangardowo wtajemniczonych i słowem dla zwykłych śmiertelnych. I oto, po długim okresie (jak daleko sięgającym wstecz?) pojawia się literatura ogólnonarodowa.

Powody osobiste mego zadowolenia z tej książki. Podejmuje ona wątki, które całymi latami mnie zaprzątały i nawet stanowią sam rdzeń mojej poezji. Są to, w wielkim skrócie: tajemnica śmierci czyli możliwość albo niemożność obcowania z niepoliczonym tłumem istnień minionych i minionych pokoleń; wezwanie zwracane do nas przez ludzi i rzeczy o utrwalenie w słowie ich bytu; niedostateczność słowa, które zawsze więzi nas w pojęciach, skoro na przykład mówiąc „dąb” posługujemy się ideą, a nie znakiem na zasygnalizowanie tego, konkretnego, drzewa; wreszcie, potęga, jaką rozporządza Książę Tego Świata, pan na sile ciążenia, na wszelkim bezwładzie i ślepej konieczności, wielki realista. Powiniennem tedy Rymkiewiczowi zazdrościć sztuki nadania tym wątkom, rzeklibyśmy metafizycznym, nowego, powszedniego sensu, przez włączenie ich w nocne i dzienne Polaków rozmowy, z których zresztą wynika, że historia ich zmusza do pytań obcych mieszkańcom szczęśliwszych krain. A zamiast zazdrości bierze się z tego dla mnie dużo pociechy: że nigdy nie trudzimy się na darmo, że ciągłość zostaje zachowana.

Ale jest jeszcze ziemia, teraz już oglądana — dla mnie — przez potomnych, chodzących po niej ponad pięćdziesiąt lat później. Oczywiście znam Wigry, kajakowałem tam i obszedłem raz pieszo całe jezioro, w jeden dzień, choć to ponad trzydzieści kilometrów. Znam całe te okolice, a Sejny, o których autor czyta w poradniku turystycznym z 1935 roku, ukazują mi się takie jak wtedy czy nawet wcześniej, przy końcu lat dwudziestych, kiedy przyjechałem po raz pierwszy do Krasnogrudy. Widzę też występującą nieraz na kartach książki mamę Fliegeltaub, właścicielkę jedynej w Sejnach zajazdu-restauracji. A trzeba dodać, że są to rodzinne strony mego dziadka. Co nie jest bez związku z niepokojącymi Rymkiewiczą Jadźwingami, po których języku zostało jedynie trochę nazw miejscowości i kilka odnoszonych do tego plemienia nazwisk. Wymienia je autor za książką wydaną w roku 1859, Aleksandra Połujańskiego *Wędrowki po Guberni Augustowskiej w celu naukowym odbyte*: „Komiąt lub Kunat albo Skumand, tudzież Smurło, Borzym lub Berzym, Koc, Skiłądź (po litewsku Skilondis), Kierbedź (Kierbedis) i inne”.

Krasnogruda była dziedzicznym majątkiem Bronisława i Zygmunta Kunatów, a Zygmunt to mój dziadek. Według legendy,

kiedy Polacy i Krzyżacy wspólnymi siłami zniszczyli plemię w bitwie nad rzeką Nurzec, nie oszczędzając kobiet ni dzieci, małoletni syn wodza ocalał i stąd w polskich herbarzach rodzina Kunat, już za Kazimierza Wielkiego, przyjęta do herbu Topór. Nie są to dla mnie sprawy jasne — jakie były dzieje rodziny, jak długo siedzieli pod Sejnami? Ale bałtyckie pochodzenie nazwiska jest niewątpliwe. Mój dziadek wyemigrował pod Kiejdany, tam ożenił się i osiadł, a później, po pierwszej wojnie, miał pewne fory w niepodległej Litwie wrażliwej na szacowną przeszłość: Kunatas brzmi arystokratycznie, *kunas* znaczy ciało, pewnie tak samo było po jatwiesku. Kunatas to krzepki, tęgi — dobre nazwisko dla wodza. Nie ma już jednak Kunatów, ja i mój brat jesteśmy ostatni, po kądzieli. Mój dziadek miał dwie córki, dwie też córki miał jego brat Bronisław, Gabrielę i Janinę. Syn Gabrieli, też Zygmunt, został wywieziony z ojcem w roku 1939 do Sachsenhausen w wieku lat piętnastu i umarł tam w rok później. Cmentarz w Sopocie ma grób Kunatów. Leżą tam moja matka Weronika, Gabriela, jej mąż Władysław Lipski i Janina. Żeby uniknąć nieporozumień: nazwisko Kunat jest dość pospolite w tamtym regionie, po Białystok, ale to nie ta rodzina z herbarzy.

Przez kilka lat spędzałem wakacje w Krasnogrudzie, nad jeziorem Hołny. Stamtąd często chodziłem drogą przez pagórki (która dotychczas występuje w moich snach) nad wielkie jezioro Gaładuś, przecięte polsko-litewską granicą. Suwalszczyzna jest prawie cała jak te pagórki — wietrzna, wyżynna, polodowcowo naga, a dlaczego, wskazuje przykład Krasnogrudy. Jeszcze za młodości mego dziadka na trzech kilometrach aż po Gaładuś i wioskę Żegary (nie Żagary!) ciągnął się zwarty las starodrzewia.

Tedy Jadźwingowie. A od nich refleksja nad znikaniem bez śladu plemion i całych narodów. Czy nie to samo czeka Litwinów? A nawet, czy nie to samo czeka Polaków?

„— Powiedz mi — mówi pan Mareczek — dlaczego nam ciągle ktoś robi coś strasznego? Dlaczego są takie narody, których inne narody w ogóle nie męczą i męczyć nie chcą, które więc przez stulecia żyją sobie, mogą sobie żyć spokojnie i takie jak my czy Litwini, z którymi ciągle coś okropnego się wyrabia? To dzielą nas na troje, to zabierają nam nasze święte miasta, w których urodzili się nasi najwięksi poeci, to wymordowują nam połowę inteligencji, to próbują nas wynarodowić i zniszczyć naszą religię, to znów zabierają nam jedną trzecią naszej ziemi i pół narodu przesiedlają ze wschodu na zachód. Dlaczego coś takiego ciągle nas spotyka?”

Ani pan Mareczek ani jego przyjaciel Witek-Janek, który

urodził się w roku 1948 i dlatego nie śnią mu się już Niemcy, nie znajdują odpowiedzi na to pytanie, jako że odrzucają wy tłumaczenie mesjanistyczne — „że to Bóg tak nas męczy, bowiem chce, abyśmy cierpiąc uduchowali się, wyszlachetniali, a następnie mogli zostać użyci do Jego tutaj tajemniczych celów”. Czy jednak wszyscy, którzy toczą rozmowy na stronicach książki nie są, na swój sposób, mesjanistami? W Polsce dręczonej przez czerwonych reprezentują inteligencję, tę nową, inną niż przedwojenną, a jednak podobnie wierną idei niepodległości, równie też pewną, że istnieje wyraźna granica pomiędzy dobrem i złem. Czytając Rymkiewicza znajdujemy wyjaśnienie zjawiska niepokojącego cudzoziemców: jak to jest, że kościoły w Polsce są pełne, że chodzą do nich wierzący i niewierzący, jak również że i jedni i drudzy biorą udział w pielgrzymkach na Jasną Górę? Ależ Bóg i diabeł, pojęcia dla cudzoziemców niejasne, są najzupełniej jasne, wyraźne, dotykalne dla narodu, który zna działania hitlerowców i czerwonych, który o sobie mówi „my” a o rządzących „oni”. Można nawet przypuścić, obserwując nikłość zainteresowań teologicznych u Polaków, jak też żaden, zaiste, wpływ zaleceń głowy katolickiego Kościoła na ich obyczaj seksualne, że ich wiara niewiele ma wspólnego z katechizmowym *credo*, że więc sojusz wierzących i niewierzących przychodzi sam przez się, bez konieczności pokonywania światopoglądowej bariery. Co bynajmniej nie znaczy, jak by chcieli niektórzy cudzoziemcy, że przywiązanie Polski do Kościoła jest czysto politycznej natury. Owszem, wyraża wolę oporu, ale ta właśnie wola zakotwiczona jest w optymistycznym sędzi moralnym: może zło być nie wiem jak potężne, może wygrywać, ale świat jest tak urządzony, że zło wreszcie musi przegrać.

*„Oni są przecież naprawdę potężni. I — w przeciwieństwie do Amerykanów — nigdy nie mieli, więc i mieć nie będą, żadnych skrupułów natury moralnej — żeby tam kogoś czy coś oszczędzić — co oczywiście powiększa ich szanse. No więc jak się wreszcie ruszą i jednak wygrają, jednak zdobędą całą Europę, a potem i całą kulę ziemską, to co będzie? Myślał pan kiedyś o takiej perspektywie dla ludzkości?”*

*— Tak — przyznaje niechętnie pan Mareczek. — Myślałem. Wtedy trzeba się będzie modlić do Boga, żeby zniszczył tę planetę. Bo wtedy okaże się, że ludzkość nie jest godna tego, żeby w ogóle istnieć.*

*— A jak się wtedy okaże — ciągnie dalej swoją myśl pan Stefan — że Boga nie ma? Albo jak się okaże, że ta nasza planeta nic go nie obchodzi? To co wtedy pocniemy, jak będziemy żyć?*

*— Niech mnie pan nie męczy — błaga pan Mareczek. — Daję panu słowo honoru, że Bóg jest. Ma pan też moje słowo honoru na to, że smok nie pożre całego świata, ponieważ niebawem już pęknie. Przecież już pęka. Nie czuje pan zapachu siarki?”*

Czterdzieści lat po podboju ich kraju przez smoka tak rozmawiają Polacy. I piszą książki takie jak ta. Wbrew wszelkim realistycznym kalkulacjom. Wbrew przepowiedniom rzekomo nieuniknionej sowietyzacji. Dziwne jednak myśli nasuwa taka rozmowa. Czujemy, że chodzi tutaj o coś bardzo głębokiego, o sam, być może, rdzeń szczególnie polskiego sposobu istnienia w świecie. Jest to zawsze mocne przekonanie, poza-rozumowe, że świat jest dobry, ponieważ po każdym zakłóceniu ładu sam wraca do równowagi na zasadzie homeostazji. Jak w tej anegdocie o turyście, który, zrozpaczony ciągłym deszczem psującym mu wakacje, zapytał górala: „Gazdo, czy dalej będzie łało?” Na co góral, patrząc na wezbrany potok: „Nie będzie”. I poparł to nie lada argumentem: „Bo by się przelało”.

Skąd ten ład? Kto go podtrzymuje? Bóg? Czy właśnie dlatego Bóg jest potrzebny, że podtrzymuje, że bez niego nie byłoby nadziei? I rzeczywiście trudno sobie przedstawić dlaczego ludzkość nie miałaby zostać zniszczona, albo popaść w totalitarną niewolę, nie zakładając, że istnieje jakiś zbawczy fundament ładu, nazywany albo nie nazywany Bogiem. Zważmy jednak, że można wierzyć w Boga, a zarazem całkowicie odrzucać boską interwencję w dziejowe przypadki. Tak postępowała np. Simone Weil, dla której Bóg „wycofał się” zostawiając ziemię matematycznym koniecznościom, będącym domeną Księcia Tego Świata. Sobie zostawił jedynie wpływ na dusze, jeżeli tego pragną. Żeby więc sobie wytłumaczyć skąd u Polaków tak silna wiara w kosmiczny ład moralny, należałoby przyjąć dodatkowe przesłanki.

Polacy nie lubią diabła. Nie mają zrozumienia demonizmu i pewnie są niezdolni do stworzenia literatury demonicznej. Ich diabeł jest głupi — przegrywa w zakładzie z chłopem, albo zagrzebuje ziarna w ziemi, żeby człowiek ich nie znalazł, nie wiedząc, że wykiełkują, nie pomaga mu paplanie po francusku, ani znajomość niemieckiego, kwiczy, przewraca koziołki, kopie się z kamratami, głośno puszcza powietrze. Rzeklibyśmy, nie zachowuje nawet pozorów równej Panu Bogu potęgi, usadowionej na jednym z dwóch biegunów, Dobra i Zła. Przez to ilustruje całkiem nieźle klasyczną doktrynę teologii, zgodnie z którą zło jest jedynie brakiem dobra, rodzajem dziury czy raczej wielu dziur w tkaninie bytu. Samo istnienie diabła jest pograniczne, na krańcu nicości i celem jego jest pomnażać nicość, rozszerzać dziury

w tkaninie rzeczy istniejących, co jednak zawsze kończy się jego klęską ponieważ to, co jest, ma przewagę nad tym, co jest puste, co jest niczym.

I z takim usposobieniem mieć demonicznych sąsiadów zaprawionych od wieków w różnych diabelskich paktach... Kto wie czy brak chętnych do kolaboracji z Niemcami nie pochodził w Polsce także z poczucia śmieszności. Gdyż germański demon, przerażający i bezlitosny, jest śmieszny przez swoją sztywność, to drewniany pajac w mundurze *feldgrau*, który rusza się mechanicznie, podnosi rękę dlatego, że ktoś go ciągnie za sznurek, wydaje z siebie nieludzkie wrzaski jakby nie w piersi żywej istoty poczęte. A jego wręcz przeciwieństwem jest rosyjska nieczysta siła, która kocha ludzkość, zachowuje się dobrodusznie, mówi cichym głosem i zabija *gumanno*, strzałem w tył głowy. Jej plan urządzenia światowego gospodarstwa przedstawił Iwan Karamazow opowiadając swemu bratu Alioszy „Legendę o Wielkim Inkwizytorze”. Niezwykle złożony to utwór ale treść jego można przedstawić zwięźle. Ten duch, który kusił trzy razy Chrystusa na pustyni, jest duchem ziemi to znaczy jej niezłomnych praw. Chrystus odrzucając trzy pokusy wystąpił przeciwko tym prawom. Co ma robić ktoś, komu żal patrzeć jak cierpi ród człowieczy? Jeżeli naśladować Chrystusa mogą tylko nieliczni wybrani, z czego nic dla ogółu śmiertelnych nie wynika, przyjaciel ludzkości niech działa w zgodzie z matematyką ziemskich praw czyli, jak to zrobił Inkwizytor, niech uzna, że rację ma diabeł, niech z nim współpracuje — ze współczucia, ze świętego współczucia dla ludzi.

Polakom ta słowiańska nieczysta siła ukazuje się przede wszystkim pod jej mało zaszczytnym imieniem, jako Książę Kłamstwa. Gdyż głównym, łatwym do zauważenia wynikiem jej działań jest rozpad bytu, maskowany przy pomocy propagandy. Mieszkańcom krajów zachodnich należałoby długo tłumaczyć co „rozpad bytu” znaczy, doświadczalnie tylko można się o sensie tych słów przekonać. Dlatego pan Mareczek w książce Rymkiewicza nazywa władcę na nicości Księciem Psujem.

„— Pokaż mi swoje dzieła — woła pan Mareczek w lipcowym słońcu, na rozgrzanych deskach pomostu, nad półprzezroczystą, zielonkawą wodą zmagając się w sobie, barując się w sobie z Księciem Psujem — pokaż mi twoje poematy, twoje symfonie, twoje pałace, ale żeby to było choć cokolwiek warte, no pokaż mi, coś stworzył, a uwierzę w ciebie”.

Psuj niczego nie pokaże, z tej samej przyczyny, dla której oglądając fotografie dzieł sztuki hitleryzmu czyli Narodowego

Socjalizmu kiwamy smętnie głową. Za to Psuj ma w zanadrzu niemało rozkosznych pokus i biedny pan Mareczek broni się jak umie.

Najpierw Psuj ofiarowuje mu śliczną dwudziestolatkę w kaku, na którą pan Mareczek, owszem, ma ochotę, byle nie z pomocą Psuja.

„A ta ci się podoba? — pyta teraz Psuj i panu Mareczkowi, gdyby stał na pomoście, nogi ugiętyby się w kolanach i musiałyby usiąść z tej słabości, która go ogarnia, ale na szczęście leży już na plecach. To śliczne, które właśnie weszło na pomost, ubrane jest w czerwony kostium kąpielowy, ale albo ten kostium jest trochę za mały albo to śliczne opalało się przedtem w nieco większym kostiumie, bowiem, choć tak ślicznie to prześliczne jest już opalone, choć błyska złotą i brązową skórą, tam gdzie kostium się kończy, ponad piersiami, na brzuchu, na udach widać wąskie paski biało-różowej skóry i na myśl o tym, że to, co kostium zakrywa, jest też takie właśnie, biało-różowe — o biało-różowe! o rozkoszne prawo utrzymania gatunku! o miły popędzie! o miał Darwin rację! o jak słodko pochodzić od włochatej matpy! — panu Mareczkowi robi się słabo i zdaje mu się, że zaraz rzuci się z krzykiem na to złotawe i brunatne, na to biało-różowe tyskające, no i oczywiście odwiozł go do czubków jako wariata i zbożca”.

Już-już więc gotów jest pan Mareczek szukać ratunku u Psuja.

„Tu Książę Psuj odziewa się w garnitur z bielskiej wełny i koszulę non-iron, zaciska wokół szyi krawat kupiony w Paryżu, pod nosem, na obrzękłej od wódeczki twarzy, występują mu krople potu i powiada: — Mamy dla was taką propozycję. Napiszecie, że Adam Michnik jest manipulowany przez niemieckich odwetowców i że bierze pieniądze od CIA — Psuj wymawia ten skrót jak się należy, po polsku, nie si-aj-aj, ale właśnie c' a — oraz od niejakiemu Hupki z RFN-u, który to Hupka trudni się zawodowo politykierstwem i działalnością antypolską”.

Nie, to śliczne w czerwonym kostiumie kąpielowym nie będzie dla pana Mareczka. I dalsze pokusy — choć cenę Psuj obniża — udaje mu się odeprzeć. A z tych scen kuszenia moralną pewien wynika, nieprzyjemny dla sług Księcia Psuja: że Polska to taki kraj, w którym siła państwa, choćby przebrana, jako miłość ludzkości, nie jest najwyższym argumentem, czym właśnie Polska różni się od Rosji. Inaczej mówiąc, oni do Polaczyszków z tankami, z realizmem, z obietnicą kariery i wódeczką i dziewczynką, a ci furt to samo, ze swoją wiarą w cud, bo raz już był cud nad Wisłą.

Ale co to znaczy jeżeli cały naród stawia na słabe Dobro przeciwko silnemu Złu? Czy nie jest to naród naznaczony, wybrany, gotów cierpieć tylko dlatego, że są rzeczy, których się nie robi? Z jakich pokładów przeszłości to się bierze? Jakie tu odbywa się misterium, jakim przymierzem są złączeni żywi i umarli? Jeżeli cud dla nich należy do naturalnego porządku świata i musi się zdarzyć, żeby przywrócić naruszoną ład moralny? I czy kto uczestniczy w takiej wspólnoty nie zakłada, automatycznie niejako, nieświadomie, że jest ona obdarzona szczególną misją, „u Pana Boga na ordynansach”?

Niepokojące. Jak również niesłuchanie silna obecność minionych pokoleń, które w książce Rymkiewicza o sobie przypominają, uczestniczą, zupełnie inaczej niż np. w Ameryce, gdzie nie mają ochoty przybywać na zakłęcie.

Tutaj przyznaję, że porwany dialogami z Wielkim Psujem odbiegłem trochę od tego, co stanowi główny urok opowieści rozłożonej na głosy z dziś, wczoraj i z ubiegłych stuleci. Określiłbym to jako żywe odczucie, że cenna jest chwila, że czas ją porywa, ale tym bardziej powinniśmy być wdzięczni za blask wody, kolory nieba, zapachy traw. Jak i smak tego, co dzisiaj jem na obiad, na przykład pierogów.

Żeby potwierdzić co powiedziałem o filozoficzności autora, zacytuję jeden z najbardziej filozoficznych dialogów, kiedy to pan Mareczek na próżno usiłuje pierogi dla potomnych opisać:

- „— *A kształt ich był jaki, kolor jaki?*  
 — *Były — odpowiada pan Mareczek — kształtu pierogowego, koloru też pierogowego.*  
 — *A smaku też pierogowego?*  
 — *Pierogowego.*  
 — *I zapach ich cudowny też był pierogowy?*  
 — *Pierogowy.*  
 — *A to dziękuję — mówi czytelnik przyszłości. — Już wiem wszystko. Jesteś wybitnym realistą. Szkoda tylko, że mózg twój jest pierogowy i talent twój też pierogowy, ty ruski pierogu”.*

Tak mówiąc, czytelnik przyszłości złożyłby dowód karygodnej niewiedzy o wielkich przygodach ludzkiego umysłu w jego spotkaniu z rzeczywistością. O czym można by rozprawić nieskończenie używając zawiłych szkolarskich terminów, ale znacznie lepiej jeżeli uda się, tak jak tutaj, powiedzieć co trzeba na sposób pogodnie-pierogowy.

Czesław MIŁOSZ

*Post Scriptum.* Po namyśle coraz bardziej jestem zaniepokojony poczuciem bezgrzeszności narodu-baranka. W powieści o XIX wieku, *Sam wśród ludzi* St. Brzozowskiego, oficer rosyjski krzyczy do Polaków: „Nienawidzę was, niewinna krwi Abłowa!”. Więc znowu to samo?

## Nowe książki

Tytuł artykułu „Komunizm kontra komputery. Czy Związek Sowiecki może przeżyć technologię informatyki?”<sup>1</sup> doskonale oddaje główne zagadnienia, które będą tematem przyszłych książek. Autor artykułu, angielski dziennikarz Rex Malik, stwierdza fakt oczywisty: przeżywamy nową rewolucję — społeczeństwo przemysłowe zmienia się w społeczeństwo z informatyzowane. Autor wylicza trzy główne przyczyny, które nie pozwolą społeczeństwu sowieckiemu na przestawienie się na informatykę. Są to: relacje między 1. ideologią a systemem zarządzania, 2. ideologią a społeczeństwem i 3. ideologią a informacją. Związek między ideologią a systemem zarządzania polega na tym, że partia wszystko kontroluje, o wszystkim decyduje, a komputer może jej się przydać tylko wtedy, jeśli będzie umacniał i rozszerzał jej władzę. Związek między ideologią a społeczeństwem wyraża się w tym, że kariera każdego obywatela ZSSR zależy nie od jego kwalifikacji zawodowych, lecz od jego „ideowości” i przynależności do partii. Wreszcie związek między ideologią a informacją polega na tym, że informacja jest przywilejem, a dostęp do niej zależy od kryteriów ideologicznych. Zresztą informacja jest z reguły fałszywa, a — jak mawiają Amerykanie — jeśli w komputer włożyć gówno, wyjdzie z niego również gówno. A jeśli nawet komputer da prawidłowe rozwiązanie, nie będzie można go zastosować, jeśli nie było przewidziane w planie.

O głębi przepaści w dziedzinie komputeryzacji między Związkiem Sowieckim a krajami rozwiniętymi świadczą dwie cyfry: zgodnie z planem w 1990 roku każda sowiecka szkoła ma posiadać jeden komputer, a w Wielkiej Brytanii każda szkoła dysponowała komputerem już w roku 1983. Jeszcze jaskrawiej stosunek do informatyki ilustrują telefony. Komputery to rzecz nowa i można by powiedzieć, że jak naród sowiecki się uprze, to sobie zbuduje tyle komputerów, ile zechce. Ale aparat telefoniczny to przyrząd od dawna znany i całkiem prosty. Jak wiadomo, książka telefoniczna stanowi w Związku Sowieckim po dziś dzień ściśle reglamentowane źródło informacji, dostępne nielicznym wybrańcom. W 1982 roku jeden telefon przypadał w ZSSR na 10 mieszkańców, a np. w Wielkiej Brytanii — na 2-ch. Nie jest to jednak tylko przypadek, wynikający z technicznego zacofania Związku Sowieckiego. Zdaniem Rexa Malika specjaliści uważają, że istnieje coś, co można by nazwać masą krytyczną telefoniczacji: jeśli co trzeci człowiek ma telefon, rząd z najwyższym

1. Rex Malik, *Communism vs The Computer. Can the Soviet Union Survive Information Technology?* „Intermedia”, maj 1984, vol. 12, N 3 (Londyn).

trudem może narzucić społeczeństwu swoją wolę. Telefon staje się instrumentem swobód demokratycznych. Nieprzypadkowo w Polsce — gdzie sieć telefoniczna nie osiągnęła jeszcze „masy krytycznej” — po ogłoszeniu stanu wojennego przerwano połączenia telefoniczne. Jak wiadomo, Związek Sowiecki zmienił automatyczne połączenia telefoniczne z zagranicą na połączenia przez centralę.

Nieprzypadkowo też szczególnym strachem napawają przywódców sowieckich prywatne komputery do instalowania w domu, które mogłyby otworzyć dostęp do bibliotek, statystyk i różnego typu informacji, a także same drukować i przedrukowywać.

Równocześnie jednak przemysł, zwłaszcza wojskowy, nie może się obejść bez komputerów. Związek Sowiecki kupuje albo kradnie potrzebne mu urządzenia: pozwala mu to obejść się bez własnego rozwiniętego przemysłu elektronicznego, ale — jak podkreśla Rex Malik — uzależnia go od Zachodu.

Angielski dziennikarz uważa, że zmierzch ustroju sowieckiego jest nieuchronny, przyznaje jednak, że schyłek będzie powolny. Nie ulega dlań jednak kwestii, że „ZSSR i związane z nim państwa nie mogą przeżyć szerokiego zastosowania technologii informatycznej”. Albo przyjmą ją i zmieniają się, albo ją odrzuca i — zachowując ustrój — znajdują się o dziesiątki lat w tyle.

Książki o łagrach sowieckich zawsze są do siebie zarazem podobne i niepodobne. „Zostaw łzy w Moskwie”<sup>2</sup> to historia litewskiej chłopki Barbary Armonas, której życie zniszczyła najpierw wojna, a potem przekształcenie Litwy w republikę sowiecką. W 1948 roku Barbarę Armonas deportowano na Sybir wraz z dziesiątkami tysięcy Litwinów; na zesłaniu skazano ją z donosu na 25 lat. Na Litwę wróciła dopiero w 1956 roku. Nie zastała już ani swojego domu, ani krewnych. Los Barbary Armonas, o której można by napisać powieść, tym różni się od losu innych Litwinek, że mężem jej był Amerykanin litewskiego pochodzenia. W 1939 roku, kiedy groźba wojny w Europie stała się oczywista, mąż Barbary z córką wyjechał do USA, a ona z małym synkiem została, gdyż Amerykanie uzależnili zezwolenie na jej wyjazd z mężem od dostarczenia dodatkowych dokumentów.

Mąż Barbary nie zapomniał. Przez dwadzieścia lat pisał do niej przy każdej sposobności listy i posyłał paczki, dzięki którym żyła. Kiedy w 1960 roku Chruszczow z zachwytem oglądał kukurydziane pola Iowy, córka Barbary przedarła się do cara

2. Barbara Armonas, A. L. Nasvytis, *Lass die Tränen in Moskau*, Monachium 1966.

Nikity i wybłagała zgodę na przyjazd matki i brata do Stanów. Historia kończy się szczęśliwie.

Najcenniejsza w tych wspomnieniach jest moim zdaniem szczerść autorki, spod której przebijają niezwykle cechy charakteru niezłomnej kobiety i narodu litewskiego. Książka Barbary Armonas pokazuje, że chociaż jest to bardzo trudne, naciskowi totalitarnej władzy można się oprzeć. Znalazłszy się w obozie Barbara „nie potrafi źle pracować” — od urodzenia jest przekonana, że pracować należy dobrze. Ale czy także w obozie? Uczy się. I kiedy dochodzi już do walki o życie — i ona i jej litewskie przyjaciółki „zaczynają oszukiwać”. Kiedy po blisko dwudziestoletniej nieobecności Barbara wraca na Litwę, od razu widzi, co przyniosła jej ojczyźnie władza sowiecka: ludzie boją się siebie, unikają rozmów o polityce i o wiele gorzej pracują.

Amerykański historyk Joseph Finder spróbował rzucić światło na całkowicie nieznaną historię stosunków handlowych między kapitalistami a komunistami i jako przykład wzięt biografie pięciu najbogatszych amerykańskich biznesmenów, Armanda Hammera, Averella Harrimana, Cyrusa Eatona, Davida Rockefellera i Donalda Kendalla<sup>3</sup>, zwracając szczególną uwagę na ich handlowe stosunki z ZSSR. Wymienieni handlowcy różnią się charakterami, pochodzeniem a także dziedziną, w której zdobyli pieniądze. Łączy ich natomiast po pierwsze ogromne bogactwo, a po drugie wieloletnie więzy ze Związkiem Sowieckim. Najwięcej miejsca Joseph Finder poświęca Armandowi Hammerowi, który dorobił się na handlu ze Związkiem Sowieckim miliardów. Syn jednego z założycieli komunistycznej partii Stanów Zjednoczonych, Armand Hammer jest od 1922 roku blisko związany z Moskwą. Inni bohaterowie książki mają do teorii i praktyki komunizmu stosunek raczej wrogi, ale i oni nie szczędzili wysiłków w handlu z Moskwą.

Po zaznajomieniu się z biografiami pięciu milionerów dochodzi się do wniosku, że do Moskwy gnała ich (z wyjątkiem być może Hammera) przede wszystkim chęć zysku, a ponadto przyjemne uczucie, że pertraktują z ludźmi, dysponującymi niebywałą, totalną władzą. Wykorzystując te dwa potężne uczucia, chciwość i próżność, Moskwa konsekwentnie zmierza do swoich celów. Już w 1920 roku Lenin po spotkaniu z amerykańskim kapitalistą powiedział: „I oto w osobie tego kapitalistycznego rekiną zyskaliśmy propagatora stosunków handlowych z Rosją Sowiecką”.

Dziś stosunki poszły znacznie dalej. J. Finder cytuje amerykańskiego dziennikarza, który w 1974 roku pisał: „Niezależnie od rządów i przywódców szczególnego typu wzajemne przenikanie... i rosnące uczucie sympatii wiąże pewnych Rosjan z niektórymi Amerykanami”. Wiadomo doskonale, jakie uczucia na-

3. Joseph Finder, *Red Carpet*, Nowy Jork 1984.

prawdę żywią do kapitalistów moskiewscy „niezależni” działacze, prowadzący z nimi handel. Tym niemniej amerykański dziennikarz niewątpliwie ma rację, mówiąc o sympatii amerykańskich biznesmenów (w każdym razie tych, których dotyczy książka Findera) do sowieckich przywódców.

Byłoby niesprawiedliwością, gdybyśmy nie wspomnieli o zainteresowaniu niektórych bohaterów książki Polską. Przede wszystkim dotyczy to Armanda Hammera. W 1973 roku należący do niego koncern Occidental Petroleum sprzedał Polsce technologię dla fabryki, a potem współpraca jeszcze bardziej się zacieśniła. W trudnym okresie „Solidarności” A. Hammer pospieszył generałowi Jaruzelskiemu na ratunek, oświadczając, że zaufa mu i okaże pomoc ekonomiczną.

A. K.

## Nadesłane nowości wydawnicze

KURON (Jacek). *Polityka i odpowiedzialność*. Str. 211 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1984, cena £ 4.00).

WYRWA (Tadeusz). *Prasa konspiracyjna w imieniu Polski Walczącej 1940-1945*. Str. 137 i 7 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1984).

ERDMAN (Jan). *Droga do Ostrej Bramy*. Str. 441 i 7 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1984, cena £ 12.00).

ZINOWIEW (Aleksander). *Homo sovieticus*. Tłum. Stanisław Deja. Str. 234 i 6 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1984).

ZIMAND (Roman). „*Wojna i spokój*”. *Szkice trzecie*. Str. 201 i 7 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1984).

MACZEK (Stanisław). *Od podwoły do czółga. Wspomnienia wojenne 1918-1945*. Str. 304. (Wyd. Orbis Books, Londyn 1984, cena £ 6.00).

BARAŃCZAK (Stanisław). *Uciekinier z utopii. O poezji Zbigniewa Herberta*. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1984).

*Polska po 13 grudnia 1981. Pejzaż poetycki*. Str. 181 i 1 nlb. (Wyd. Independent Polish Agency, Lund, Szwecja 1984).

*Przechodniu powiedz Polsce...* (W czterdziestą rocznicę bitwy o Monte Cassino). Str. nlb. (Wyd. Dom Polski Jana Pawła II, Rzym 1984).

*Kalendarz młodej Polonii światowej 1985*. (Kalendarz i 3 kartki świąteczne z opłatkiem na sianie — \$ 6; 24 kartki z opłatkiem na sianie — \$ 12; trzy kalendarze — \$ 12; zamówienia należy kierować do: Ewa Gierat — „Domek”, Flanders Road, Box 126 A, Bethlehem, Ct. 06751, USA).

*Biblioteka Polska w Kanadzie — pierwsze pięciolecie*. Str. 34. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1984).

DAUBENTON (Annie). *La Pologne — un pays dans la tête*. Str. 214 i 2 nlb. (Wyd. Encre, Paryż 1984, cena F. 79,00).

BRUS (W.), KENDE (P.), MLYNAR (Z.). *Les systemes sovietiques apres Brejnev*. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Index, Kolonia 1984, jako 5-ty zeszyt projektu badawczego „Les crises des systemes de type sovietique”).

DAVIES (Norman). *Heart of Europe. A Short History of Poland*. Str. 511 i 3 nlb. (Wyd. Clarendon Press, Oxford 1984, cena £ 17.50).

## KRAJ — BŁOK WSCHODNI

1-8-84

*Życie szkoły wyższej*, w Nr. 5 z br. podaje, że w Katowicach odbył się zjazd absolwentów uczelni sowieckich. W samym tylko województwie katowickim pracuje ich ponad 500. Absolwenci ukończyli studia z różnych specjalności na uniwersytetach Moskwy, Leningradu i Doniecka. Na zjeździe powołano wojewódzką komisję absolwentów uczelni sowieckich przy Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Postanowiono także powołać komisje terenowe absolwentów przy Zarządach Miejskich TPRR w miastach, w których pracuje większa ilość b. studentów uczelni sowieckich. ■ Z okazji obchodów *Dni Gdańska* odbywa się w ich ramach jarmark dominikański — już po raz 13-ty z rzędu. Impreza ta wzbudza duże zainteresowanie. Jarmark odwiedziło już ponad pół miliona osób i sprzedano na nim towary za 40 milionów zł. Jarmark dominikański, podobnie jak inne takie imprezy, jest odbiciem sytuacji ekonomicznej w kraju. Np. ceny książek na tzw. perskim rynku przyprowadzają o zawrót głowy. Poezje Słowackiego oferowane są za 3 tys. zł, „Seks partnerski”... Starowicza za nieco mniej bo za 2,5 tys. zł, a „Trzy wojny”... za 3 tys. zł. Inne atrakcje jarmarku po bajajskich cenach — to elektryczne młynki do kawy 25 tys. zł i porcelana z Miśni, prywatny import... w cenie od 40 do 68 tys. zł.

16-8-84

*Pracownicy wymiaru sprawiedliwości w PRL*. Podstawowa kadra resortu sprawiedliwości liczy 4572 osoby. W tym: 885 sędziów sądów wojewódzkich, 2312 sędziów sądów rejonowych, 192 sędziów sądów pracy i ubezpieczeń społecznych, 652 asesorów sądowych, 475 notariuszy i 56 asesorów notarialnych. Ponadto zatrudnionych jest w sądach 652 aplikantów etatowych i 71 aplikantów notarialnych. 716 osób odbywa aplikację pozaetatową. Są to dane Ministerstwa Sprawiedliwości za 1983 rok.

25-8-84

W ZSSR przygotowuje się nową redakcję programu KPZS. Powołano także komisję w sprawie ewentualnego wprowadzenia pewnych zmian do statutu KPZS. ■ Moskiewski dziennik *Izwestia* dopomina się o produkcję na skalę masową mini-ciągników wraz z sprzętem przeznaczonym dla działek przyzagrodowych. ■ *Polityka* informuje (za *Monitorem Polskim*): od 1 stycznia 1985 roku wynagrodzenie Prezesa Rady Ministrów, marszałka Sejmu i przewodniczącego Rady Państwa będzie wynosić 68 tys. zł miesięcznie (obecnie 56 tys. zł), wicemarszałkowie Sejmu, wicepremierzy otrzymywać będą 61 tys. zł (obecnie 50.500 zł), ministrowie, prezes PAN, prezes Radiokomitetu, szef URM — 54,5 tys. zł (obecnie 45 tys. zł), wiceministrowie, wojewodowie, prezydenci miast wydzielonych — 47 tys. zł (obecnie 40 tys. zł).

29-8-84

Kazimierz Koźniewski, redaktor tygodnika *Tu i Teraz*, przedstawiając katastrofalny stan szkolnictwa w PRL (na 35. 500 szkół w Polsce połowa budynków pochodzi sprzed wojny i wymaga stałej konserwacji, 1.400 budynków w ogóle nie nadaje się do użytku; po akcji prowadzonej w swoim czasie pod hasłem „tysiąc szkół na tysiąclecie” wybudowano 1.400 szkół, z których połowa wymaga kapitalnego remontu) domaga się nie tylko zniesienia bezpłatnego nauczania, ale skłonienia rodziców i społeczeństwa do ofiar i pracy przy budowie nowych lokali.



30-8-84

Wojciech Ziemiński został skazany na trzy miesiące aresztu za to, że 15 sierpnia br. „kierował nielegalnym zgromadzeniem przy grobie Nieznanego Żołnierza i w wygłoszonym przemówieniu publicznie i demonstracyjnie okazał lekceważenie dla PRL i jej naczelnych organów”.

31-8-84

Zmarł w Warszawie w wieku 85 lat prof. Mieczysław Brahmer, wybitny romanista i teatrolog.

1-9-84

PRL zdewałowowała złotego o 10,6% w stosunku do dolara, który w wymianie oficjalnej wart będzie obecnie zł 132. Jest to już czwarta dewaluacja złotego po grudniu 1981 tj. od czasu wprowadzenia stanu wojennego.

2-9-84

Nowa instytucja „Jeleni”. Tygodnik *Panorama* podaje za *Ziemię Gorzowską*: „Cena dla jelenia jest — obok powszechnie znanych i akceptowanych cen urzędowych, regulowanych i umownych — zjawiskiem nienowym, specyficznym dla naszej długości i szerokości geograficznej. Jelenie to my, klienci, którzy dajemy się oszukać, by zdobyć atrakcyjny artykuł czy usługę. Kilka przykładów z listy towarów objętych tą ceną. Miejsce w kolejce po meble — 20 tysięcy zł, założenie telefonu — 100 tysięcy, dobranie w miarę sprawnego samochodu FSO 125 — 15 tysięcy, a dobór koloru — 5 do 10 tysięcy, opieka pielęgniarska przy chorym — 1.000 zł za noc, znieczulenie przy porodzie — 10 tysięcy plus koniak i kwiaty, przyjęcie dziecka do przedszkola — 20 tysięcy. Oczywiście może się zdarzyć, że z zawałem dostaniemy się do szpitala bezpłatnie lub że spodoba nam się kolor samochodu produkowany aktualnie przez FSO. — *Ziemia Gorzowska*”.

3-9-84

Rząd polski zamierza wprowadzić do kodeksu karnego karę „czasowej banicji” w przypadku „ciężkich przestępstw przeciwko państwu”. Projekt znajduje się na razie „w fazie wstępnej” w rękach zespołu prawników. Karę banicji stosowano w Polsce po raz ostatni w XVIII wieku. ■ W numerze 36 *Tu teraz* z dnia 5 września br. ukazał się list do redakcji prof. Władysława Serczyka, w którym pisze m.in.: „A przy okazji współczesny kwiatek do owej łączki. W maju przestało ukazywać się czasopismo „Nasze Słowo”, wydawane przez Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne od 1956 roku. 300-tysięczna społeczność ukraińska mieszkająca w Polsce została pozbawiona w ten sposób swojego czasopisma, podobno ze względu na brak cecera, który potrafiłby składać teksty cyrylicą. To bardzo smutne i nas, Polaków, zawstydzające. Przecież ukazują się publikacje w bardziej egzotycznych językach, składane bardziej (bez porównania!) egzotycznymi czcionkami... — Piszę o jednym i drugim z wielkim żalem, gdyż rozróżniam spokojne mówienie prawdy o przeszłości w ubiegłych latach i stuleciach niechęci”. ■ Reporter *Sztandaru Młodych*, który odwiedził województwo zamojskie, stwierdził że w tym rejonie grozi klęska zbożowa. Zboża nie jest za dużo, ale za ciasne są magazyny. Jeśli zamojskie nie otrzyma pomocy, jeśli nie opróżni się tutejszych elewatorów i nie przewiezie przynajmniej 30 tys. ton zboża do innych regionów kraju, skup zostanie w ogóle wstrzymany, a całą sprawą zajmie się prokurator.

9-9-84

Telewizja warszawska nadała program „Z minionych lat” z udziałem wdowy po gen. Kazimierzu Sosnkowskim, p. Jadwigi Sosnkowskiej, która opo-

wiadała swoje wspomnienia z okresu drugiej wojny światowej, oraz przedstawiła poglądy Generała na sprawę Powstania Warszawskiego i jego odwołania ze stanowiska Naczelnego Wodza. Telewizja zapowiedziała następne programy z udziałem p. Sosnkowskiej. Francuzi mają na to doskonałe określenie — *une veuve abusive*.

13-9-84

Zmarł w Poznaniu w wieku 86 lat prof. Henryk Łowmiański, jeden z wybitniejszych polskich historyków, autor ponad 300 dzieł naukowych, związany w dużym stopniu z pracami nad genezą państw słowiańskich. Wieloletnie studia poświęcił dziejom społeczno-gospodarczym Wielkiego Księstwa Litewskiego i Białorusi.

14-9-84

Episkopat polski zwrócił się do francuskiej organizacji charytatywnej Secours Catholique o pomoc w zorganizowaniu kolonii letnich dla dzieci w Polsce. Ostatniego lata na kolonie letnie i obozy wakacyjne wyjechało 200 tys. dzieci ze szczególnie ubogich rodzin. Dzieci te i młodzież trzeba było wyżywić. Secours Catholique, który zobowiązał się do uczestniczenia w kosztach i pokrycia części wyżywienia, wysłał więc do Polski w lipcu br. siedem 22-tonowych ciężarówek z 154 tonami żywności (konserwy mięsne, zupy w proszku, różne konserwy, w tym rybne, budynie itp.).

## ZACHÓD — EMIGRACJA

17-8-84

Prezydent Reagan wydał uroczysty lunch, na który zaproszono około 25 akowców i 100 wybitnych przedstawicieli Polonii, z kardynałem Królem i prezesem Mazewskim na czele. Uroczystość odbyła się pod hasłem 40-lecia Powstania Warszawskiego. Jej celem było pośmiertne nadanie przez prezydenta Reagana odznaczenia *Legion of Merit* trzem czołowym dowódcom AK — generałowi S. Grot-Roweckiemu, generałowi T. Bór-Komorowskiemu i generałowi L. Okulickiemu. W imieniu rodziny gen. Grot-Roweckiego odznaczenie przyjął Jan F. Morelewski, dla gen. Bora-Komorowskiego jego syn Adam z Londynu, a w imieniu p. Okulickiej z Londynu, p. Zdzisław Dziekoński z Waszyngtonu. S. Korboński — ostatni delegat rządu R.P. w Kraju — nadał prezydentowi Reaganowi Krzyż AK.

30-8-84

W obszernym artykule *Financial Times* omawia sytuację gospodarczą Polski. Perspektywy są ciemne. Nie wymieniony z nazwiska ekonomista polski powiedział autorowi artykułu, że statystyki są skierowane do „tych, którzy wierzą w drukowane słowo”. On sam należy do „większości oceniającej sytuację gospodarczą na podstawie zaopatrzenia sklepów”. I dodał: „Wiemy bez rządowych statystyk, że sytuacja jest bardzo zła”. Prof. Cezary Ambroziak woli nie uczestniczyć w oficjalnych planach rozwoju przemysłu elektronicznego, gdyż „planowanie oparte na *wishful thinking* nie ma sensu”. Prof. Leszek Balcerowicz sądzi, że tylko gruntowna reforma rynkowa i „polityczna rekoncylacja” mogłyby przynieść w przyszłości pewne wyniki. Na bliższą metę, zdaniem Balcerowicza, „żaden system ekonomiczny nie może tutaj przynieść wyników dodatnich”.

1-9-84

Wydany w Polsce przez Interpress słownik biograficzny *New York Times* porównuje z wydanym w Zurychu dwa lata temu — przy współdziałaniu

tegoż Interpressu — tomem angielskim *Who's Who in Poland*. W wydaniu angielskim Wałęsa występuje jako „elektryk i przywódca związkowy”; w wydaniu polskim tylko jako „elektryk”. W wydaniu angielskim Kuroń i Michnik występują jako „profesorowie historii i założyciele KOR”; w wydaniu polskim nie ma ich w ogóle. W wydaniu angielskim Bogdan Lis występuje jako „mechanik i przywódca związkowy”; w wydaniu polskim nie ma go w ogóle. W obu wydaniach brak Konwickiego. W wydaniu polskim usunięto hasło o nim, gdy odmówił zgody na skreślenie dwóch tytułów w spisie swoich książek: „Kompleks polski” i „Mała Apokalipsa”. ■ British Empire Medal otrzymał w Australii Feliks Dangel, prezes Związku Polaków w Maitland, za swe prace dla Commonwealth Dept. of Housing Construction. ■ Prezsem Instytutu J. Piłsudskiego w Londynie został inż. arch. M. Stachiewicz.

**2-9-84**

Znany historyk prof. Norman Davies omawia w *New York Times Book Review* amerykańskie wydanie „Ziemi Ulro” Miłozsa. Nazywa Miłozsa „mesjanistą *manque*” i twierdzi, że jest on „bardziej polski niż przyznaje”.

**3-9-84**

Zmarł we Francji w wieku 83 lat Gaston Palewski, przewodniczący Rady Konstytucyjnej, parokrotny minister, bliski współpracownik gen. de Gaulle'a. Palewski był pochodzenia polskiego i do spraw polskich odnosił się z wielką życzliwością.

**6-9-84**

Z różnych źródeł w Paryżu, Rzymie i Warszawie wiadomo o bezskutecznych interwencjach Watykanu i Episkopatu polskiego przesyłanych pół-oficjalnymi kanałami rządowi francuskiemu, aby nie zgodził się na nominacje na ambasadora PRL w Paryżu Janusza Stefanowicza, pośła na Sejm PRL z ramienia PAX-u. Według informacji AFP Kościółowi chodziło o to, aby władze polskie nie mogły wykorzystywać w propagandzie wewnętrznej i zewnętrznej faktu, że na tak prestiżowe stanowisko zagraniczne została mianowana osoba nie należąca do partii i przypisująca sobie, co więcej, przynależność do katolicyzmu. Rząd PRL starał się najpierw o zgodę rządu włoskiego na nominację J. Stefanowicza na ambasadora w Rzymie. Włochy nie wyraziły zgody na tę propozycję, zasięgnąwszy — zgodnie ze zwyczajem Kwirynału — opinii Watykanu oraz Episkopatu polskiego. Francja natomiast, której stosunki z Polską od czasu ogłoszenia stanu wojennego i delegalizacji „Solidarności” są raczej chłodne, najwidoczniej wolała nie pogarszać ich dodatkowo. Zresztą francuskie MSZ tradycyjnie uważa, że nominacja ambasadora jest wewnętrzną sprawą państwa, które go wysłała, i sprzeciwia się kandydatom jedynie w bardzo wyjątkowych wypadkach.

**10-9-84**

Zmarł w Watykanie w wieku 92 lat kardynał Josip Slippyj, patriarcha Kościoła grekokatolickiego, arcybiskup Lwowa. Aresztowany przez Sowiety w 1945 roku spędził w więzieniach i łagrach 18 lat do roku 1963, wypuszczony na wolność i na Zachód na skutek zabiegów Watykanu.

**11-9-84**

Zmarł w Londynie w wieku 87 lat generał brygady Gustaw Łowczowski, żołnierz I Brygady Legionów, dowódca III Brygady Strzelców Karpackich. ■ Redakcja tygodnika *Lud* w Brazylii wydaje nowy słownik portugalsko-polski w opracowaniu prof. Mariana Kawki. Słownik można zamawiać w Redakcji *Ludu*: Jornal Polones „Lud”, Alameda Cabral 846, Caixa postal 155.000, Curitiba — Parana.

**16-9-84**

W Centre du Dialogue w Paryżu została odprawiana msza św. za duszę śp. Jerzego Zagórskiego, a 30 września br. za poległych i pomordowanych w czasie Powstania Warszawskiego. Po przerwie wakacyjnej Centre du Dialogue wznowia działalność odczytową: 28 września br. Władysław Bartoszewski wygłosi odczyt pt. „Refleksje w 40-tą rocznicę Powstania Warszawskiego”; 5 października br. Jerzy J. Lerski będzie miał prelekcję „Spowiedź historyka emigracji polskiej”. ■ 17 listopada br. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie będzie uroczystie obchodził 20-lecie swego istnienia.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

## INCYDENT W DNIU ŚWIĘTA PRACY W NOWYM JORKU

W dniu Święta Pracy — „Labor Day” — odbyła się w Nowym Jorku doroczna defilada. Jej tradycyjnymi organizatorami są amerykańskie Związki Zawodowe AFL-CIO. Tak było i w tym roku w dniu 3 września. W parady zamierzała wziąć udział 20-osobowa grupa członków SOLIDARNOŚCI internowanych w okresie stanu wojennego w Polsce.

ALF-CIO, która popiera Partię Demokratyczną i jej kandydata na prezydenta Stanów, Waltera Mondale, postanowiła wykorzystać defiladę dla celów wyborczych. Poza kilkoma transparentami, politycznie obojętnymi dla organizatorów pochodu, „solidarnościowcy” nosili jeden: „Jesteśmy wdzięczni Ronaldowi Reaganowi i AFL-CIO za ich poparcie dla „Solidarności”.

Brian McLaughlin z Federacji Związków Zawodowych w Nowym Jorku, który przyjął zgłoszenie Polaków do udziału w defiladzie, zapewnił ich że treść transparentów nie będzie cenzurowana. W istocie nie była. Ale stało się o wiele gorzej niż gdyby była. Polacy biorący udział w pochodzie w koszulkach z napisem „SOLIDARNOŚĆ”, niosący transparent wyrażający wdzięczność nie tylko związkom zawodowym Stanów ale również i prezydentowi Reaganowi zostali zaatakowani przez tzw. milicję porządkową AFL-CIO. Transparent został zniszczony a kilku polskich uczestników pochodu zostało tak pobitych, że wymagali pomocy ambulatoryjnej. Policja nowojorska wprawdzie interweniowała, ale nikt z napastników nie został zaaresztowany. Oczywiście Polacy wycofali się z defilady, tracąc ochotę do udziału w całej imprezie, która nie miała nic wspólnego ani ze świętem ani z pracą. Był to najwzyczajniej w świecie pochód propagandowy dla spopolaryzowania kandydatury Waltera Mondale. Należy sądzić, że metody „milicji porządkowej” AFL-CIO, które przypominają najgorsze tradycje bojówkarskie, nie przysporzą głosów kandydatom Partii Demokratycznej. Cały incydent rzuca też światło na politykę wyborczą AFL-CIO. Wbrew bowiem temu, co twierdzą bonzowie związków zawodowych, poparcie dla Mondale'a nie jest poparciem amerykańskiego świata pracy ale biurokracji związkowej. Ta chce zachować wpływy polityczne, liczne funkcje często subsydiowane z funduszy federalnych, a przede wszystkim dochody płynące ze składek członkowskich, nawet gdy straci dalsze miliony członków wśród stale kurczących się organizacji związkowych. Pomocy ma jej w tym udzielić, w wypadku dojścia do władzy, administracja demokratyczna.

Z. B.

## JUBILEUSZ „GWIAZDY POLARNEJ”

75-lecie *Gwiazdy Polarnej* upamiętniła reakcja wydaniem książki pamiętkowej, zredagowanej przez obecnego redaktora Alfonsa Heringa, wydanej

pod firmą A. Poray Book Publishing — New York 1983 jako 14 tom Biblioteki „Country”.

Za najcenniejszy trzeba uznać dłuższy ale bardzo treściwy szkic historyczny o *Gwiazdzie Polarnej*. Dowiadujemy się że, nieco dziwną nazwę nadano pismu w wyniku konkursu ogłoszonego przez redakcję (czytelnicy proponowali właściwie *Gwiazdę Północną*). Dowiadujemy się też, jakim cudem pismo powstało właśnie w mieście *Stevens Point*, w samym prawie sercu rolniczego stanu Wisconsin. Początkowo *Gwiazda Polarna* była tylko dodatkiem do wychodzącego tam wcześniej tygodnika *Rolnik*, ale usamodzieliła się po 50 numerach i trwa na stanowisku już całe 75 lat. Nakład pisma osiągnął swój szczyt — 90 tysięcy — w latach 1929-1930, by później, w dobie wielkiego kryzysu gospodarczego (1933 r.) i w drugiej wojnie światowej spaść bardzo poważnie. Obecny nakład przekracza 25 tysięcy, wykazując co roku wzrost w miesiącach zimowych, a spadek w miesiącach letnich (wyjazdy na wakacje itd.).

Red. Hering podaje krótkie biogramy redaktorów naczelnych. Byli nimi: Paweł Klimowicz przez pierwsze 44 lata, Wacław Gąsiorowski tylko pół roku, Adam Bartosz w latach 1953-1972, Frank Kmiotowicz 1973-1977, i Alfons Hering od 1977 do chwili obecnej.

Wydawcami byli bracia Worzałowie — od początku do chwili obecnej (trzy pokolenia).

*Gwiazda Polarna* ukazuje się raz na tydzień, ale stosując się do warunków polonijnych jest właściwie czymś pośrednim między tygodnikiem a dziennikiem, i w ten sposób służy Polakom rozrzuconym po całej Ameryce i Kanadzie, znajduje nabywców i dalej.

Nakład mógłby być większy, gdyby nie trudności z dostarczaniem pisma pocztą, która niestety nieraz bardzo zawodzi zarówno w Stanach Zjednoczonych jak w Kanadzie. Wśród odbiorców jest dużo przedstawicieli nowszej i najnowszej emigracji. Gdy chodzi o tak zwany poziom, redaktor opowiada się za unikaniem górnych lotów: tygodnik musi być dostosowany do większej liczby odbiorców. Z życzeniami czytelników i poziomem ich wykształcenia redakcja zaznajamia się przede wszystkim przez wymianę listów. Poziom językowy uległ ostatnio dużej poprawie, tak samo dobór tematów.

Większość materiału w książce jubileuszowej podaje czytelnikom wyjątki z dawniejszych roczników *Gwiazdy*, kilka artykułów na tematy polonijne, a na końcu poezje poetów współczesnych i urywki prozy artystycznej. Na kilku stronach rozrzucone są dowcipne urywki z listów od czytelników — humor przeważnie „mimowolny”. To tak dla okras.

Całość daje dobre pojęcie o treści tygodnika. Nie ma jednak analizy ideologicznej czy socjologicznej. Książka dla czytelników *Gwiazdy*, nie dla badaczy prasy polonijnej.

Ks. W. SOJKA

## KRONIKA FRANCUSKA

Z rozmowy Krzysztofa Talczewskiego z księdzem Eugeniuszem Platerem-Zyberkiem, kierownikiem paryskiego Biura Koordynacji z Komisją Charytatywną Episkopatu Polski, zamieszczonej w *Tygodniku Powszechnym* z dnia 12 sierpnia 1984 roku, dowiadujemy się wielu interesujących danych na temat zakresu pomocy dla Polski, prowadzonej przez społeczeństwo francuskie. W chwili obecnej istnieje we Francji ponad 300 komitetów organizujących pomoc, każdy wysyła przeciętnie jedną 20-tonową ciężarówkę rocznie. W roku ubiegłym komitety francuskie wysłały do Polski około siedmiu tysięcy ton żywności, ubrań, lekarstw i środków medycznych. Od przeszło dwóch lat pomoc utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie:

500-600 ton miesięcznie. W samym miesiącu lipcu paryskie Biuro Koordynacyjne z KCEP wysłało trzy ciężarówki zawierające łącznie 36 ton konserw mięsnych do Kielc, Olsztyna i Warszawy. Pomoc dla Polski organizują również inne charytatywne instytucje, takie jak Francuski Czerwony Krzyż czy Secours Catholique. Ta ostatnia zaapelowała jeszcze przed latem o wsparcie w zorganizowaniu kolonii letnich dla 200 tysięcy dzieci w Polsce. Efektem tego apelu było wysłanie do Polski siedmiu ciężarówek z żywnością — do Warszawy, Wrocławia, Łodzi, Opola, Tarnowa, Gniezna i Katowic. Adres Stowarzyszenia św. Wincentego — jednego z największych komitetów pomocy dla Polski: 7, rue de Poitiers, 75007 Paris. ■ W lokalu redakcji miesięcznika *Kontakt* odbyło się kolejne spotkanie, tym razem gościem redakcji był znany pisarz i publicysta — Michał Heller. ■ W dniach 15 i 16 września w Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyła się kolejna, doroczna sesja Stałej Konferencji Muzeów i Bibliotek Polskich na Zachodzie poświęcona m.in. opracowaniu programu dalszych wspólnych działań.

W. SIKORA

## KRONIKA KANADYJSKA

Rządząca od 1963 roku — z krótką 9-ciomiesięczną przerwą — Partia Liberalna poniosła w wyborach 4 września br. drugociągą klęskę, nie notowaną w dziejach politycznych Kanady. Partia Postępowo-Konserwatywna zdobyła 211 mandatów na ogólną ilość 282 i otrzymała 50 % oddanych głosów. Liberalowie otrzymali 40 mandatów, Nowa Partia Demokratyczna 30 mandatów a jeden mandat uzyskał niezależny konserwatysta. Dwaj posłowie polskiego pochodzenia i związani z Polonią, dr Stanley Hudecki z Hamiltonu i Jesse Flis z Toronto — obaj liberałowie — nie zostali wybrani. Duża to strata dla grupy polskiej. Pochodzenia polskiego są również dwaj wybitni posłowie konserwatywni z Alberty: Don Mazankowski i Steven Paprocki, ale nie utrzymują żadnej łączności z Polonią. Obaj byli ministrami w krótkotrwałym rządzie konserwatywnym Joe Clarka. ■ Po rezygnacji Leszka Mecha redaktorem naczelnym *Głosu Polskiego* został Paweł Jedlewski, który był członkiem zespołu redakcyjnego od 6-ciu miesięcy, tj. od chwili kiedy pismo zaczęło ukazywać się dwa razy tygodniowo. Wydawnictwo apeluje do czytelników, by wypowiedzieli się w sprawie formy pisma: to jest powrotu do tygodnika, czy też wydawania *Głosu* dwa razy na tydzień. ■ Do Zygmunta Augustyniaka, jednego z trojga Polaków, prowadzących od 39 dni strajk głodowy w Toronto, przybyła z Polski rodzina, którą na lotnisku witał ojciec i liczne grono Polaków. ■ W Toronto zaczął ukazywać się miesięcznik ilustrowany *Pielgrzym*, czasopismo katolików polskich. Stopką podaje, że wydawcą jest polsko-kanadyjska grupa katolicka, a patronat sprawuje Konferencja Księży Polskich w Kanadzie, której delegatem jest ks. Teofil Szendzielorz; redaktorem naczelnym *Pielgrzyma* jest Tadeusz Wielgolawski. ■ Dyrektor kanadyjskiego Wydziału Imigracyjnego, Ralph Girard, zwrócił się do rządu kanadyjskiego o pozytywne rozpatrzenie podań i emigrację do Kanady 119 obywateli PRL pochodzenia ukraińskiego, którzy „wybrali wolność” w Austrii. Wspólnota Ukraińska w Toronto, która także zabiegała o przyznanie im prawa emigracji do Kanady, oświadczyła gotowość pokrycia kosztów przyjazdu całej grupy z Wiednia do Kanady. ■ Bezpośrednio po prywatnej audiencji u Papieża w Ottawie odleciał do Polski zespół lekarsko-ortopedyczny, złożony z doktorów: Bobeczko, Relhona i Hajdasza oraz wyspecjalizowanej pielęgniarki p. Ashworth. Dr Bobeczko jest naczelnym chirurgiem wydziału ortopedycznego w szpitalu dziecięcym w Toronto i najwybitniejszym specjalistą w

zakresie operacji kręgosłupa. Operował m.in. sprowadzoną z Polski dziewczynkę, Urszulę Ledwoń. Koszt jej operacji i pobytu pokryto ze zbiórki polonijnej, prowadzonej pod auspicjami specjalnego komitetu — Funduszu Jana Pawła II przy parafii św. Stanisława Kostki w Toronto. Z sumy pozostałej z tej zbiórki Fundusz postanowił sfinansować wyjazd do Polski wyżej opisanego zespołu lekarzy-specjalistów, który przeprowadzi w Zakopanem, w dziecięcym szpitalu rehabilitacyjno-ortopedycznym kilka operacji i zapozna polskich ortopedów ze swymi metodami; ponadto wygłoszony zostanie cykl wykładów. Wszystkie instrumenty lekarskie, przywiezione z Kanady, pozostaną w Polsce. Pobyt zespołu obliczony jest na dwa tygodnie. ■ W pierwszym tygodniu września, wraz z rozpoczęciem roku szkolnego we wszystkich szkołach publicznych, rozpoczyna się zajęcia w szkołkach prowadzonych przez organizacje polonijne. Prasa polonijna apeluje do rodziców by zapisywali dzieci na naukę języka polskiego. Lekcje prowadzone będą przez fachowych nauczycieli bodajże we wszystkich ośrodkach polonijnych, a niektóre w budynkach szkolnych.

B. H.

## KRONIKA SZWEDZKA

Wbrew intencjom rządu szwedzkiego stosunki tego kraju ze Związkiem Sowieckim nadal nie są dobre. W okresie sprawozdawczym zdarzały się wypadki naruszania wód szwedzkich przez sowieckie łodzie podwodne. Tym razem nie nadawano tym incydentom takiego rozgłosu jak dawniej. Zdarzył się jednak incydent bardziej brutalny. 9 sierpnia wojskowy myśliwiec sowiecki, Suchoj 15, „nękał” nad szwedzkim terytorium powietrznym szwedzki samolot cywilny ze szwedzkimi turystami na pokładzie i zawrócił dopiero nad szwedzkiej wyspy Gotland. Wypadkowi nadano rozgłos dopiero na przełomie sierpnia i września. Wstrząsnął on szwedzkim społeczeństwem. Według szwedzkiego szefa sztabu lotnictwa, Sven-Olof Olssona, cały incydent jest dobrze udokumentowany i sfilmowany. Tym niemniej Rosjanie odrzucili protest szwedzki, stwierdzając cynicznie: „Kompetentne czynniki nie mogą potwierdzić naruszenia szwedzkiej przestrzeni powietrznej”. Zdaniem opinii szwedzkiej (m.in. *Svenska Dagbladet*) rząd sowiecki chciał zbadać jak Szwecja zareaguje na ów incydent. Brak reakcji mógłby oznaczać, że Szwedzi zaakceptowali pogląd sowiecki, że Bałtyk łącznie ze Szwecją jest strefą interesów Sowietów. Warto przy okazji zaznaczyć, iż szwedzki obszar powietrzny był naruszony w maju br. przez polski samolot wojskowy. Szwedzkie myśliwce musiały czterokrotnie przepędzać intruza, który wracał. Sztab przypuszcza, że lotnictwo polskie miało za zadanie wypróbować czujność szwedzkiej ochrony radarowej. Prasa rosyjska rozpoczęła gwałtowne ataki na szwedzkie środki masowego przekazu, insynuując, że był to samolot NATO. ■ Daniel Tarschye, wybitny szwedzki publicysta i politolog, jest zdania, iż politykę sowiecką wobec krajów skandynawskich można streścić wyrażeniem *emulate the neighbour* (gorliwie naśladowaj swojego sąsiada). Autor ma na myśli zwykłą sowiecką metaforę o marszu: jedni znajdują się na czele frontu, inni dopiero na jego tyłach. Znaczy to, że Islandczycy, Duńczycy i Norwegowie winni zachowywać się jak Szwedzi, a Szwedzi jak Finowie, ci ostatni zaś powinni zastanowić się, czy dla nich nie byłoby najlepiej zachowywać się jak kraje wschodnioeuropejskie bloku sowieckiego. Tego rodzaju opinia o strategii Sowietów wobec północy jest rozpowszechniona wśród naukowców. Najpoczytniejszy dziennik poranny, liberalny *Dagens Nyheter* stwierdza: „Bałtyk nie może stać się w praktyce wewnętrznym morzem sowieckim”. EAP (Europejska Partia Robotnicza) rozpoczęła w Szwecji kampanię informacyjną i zebrania dyskusyjne w związku z agre-

sywną polityką Związku Sowieckiego wobec Szwecji. Kampania odbywa się pod hasłem: „Jedynie sojusz z Zachodem może uratować Szwecję”. Ruch ten, co prawda na razie nieliczny, byłby jeszcze nie tak dawno nie do pomyślenia w tym kraju, który ostatni raz wojował za czasów Napoleona. Neutralność była swego rodzaju „świętą krową” tutejszego społeczeństwa. W kampanii udział biorą nawet niektórzy dość znani socjaldemokraci, sprzeciwiający się oficjalnej linii swojej partii. Wielką niespodzianką dla opinii publicznej była ogłoszona w fachowym czasopiśmie *Jane's Fighting Ships* wiadomość, że działalność sowieckich łodzi podwodnych na szwedzkich wodach terytorialnych uprawiana jest od przeszło 20-tu lat. ■ PRL nie miało w ostatnich miesiącach dobrej prasy w Szwecji. Ostatnie wybory w Polsce zostały zgodnie określone jako porażka reżymu, a wyniki oficjalne poddawano w wątpliwość. Szeroko i pozytywnie natomiast komentowano cyfry podawane bądź przez działaczy „Solidarności”, bądź przez różne niezależne grupy badania opinii publicznej. Środki masowego przekazu nie dały się także wprowadzić w błąd przez tak zwaną amnestię. Uważa się na ogół, że decyzja o jej wprowadzeniu była podyktowana chęcią uspokojenia opinii międzynarodowej i spowodowania chociażby częściowego zniesienia sankcji ekonomicznych Zachodu. Toteż ponowne aresztowanie i skazanie paru amnestionowanych za udział w demonstracjach odbiło się tu szerokim echem. ■ Opieka jakiej udzielają władze szwedzkie uchodźcom niewątpliwie nie ma sobie równej w Europie, a może i w świecie. Utworzenie wspólnego rynku pracy dla całej Skandynawii, wreszcie liberalna polityka socjalna, to wszystko razem stworzyło paradoksalną sytuację, w której jeden z najbardziej narodowościowo jednolitych krajów Europy, prawie nie zamieszkały przez obcych, zaczyna dzisiaj także borykać się z problemem emigrantów. Jedna dziesiąta mieszkańców dzisiejszej Szwecji nie jest już urodzona w tym kraju. Przy pogarszającej się sytuacji ekonomicznej (bezrobocie we wszystkich prawie zawodach) restryktywna polityka rządu szwedzkiego wobec nowych fal emigrantów staje się zrozumiała. Z samego tylko Libanu i Pakistanu przyjeżdża tu kilkadziesiąt i więcej osób dziennie, z których większości odmawia się azylu. Po jakim takim ustabilizowaniu się sytuacji w Polsce a zwłaszcza po tzw. amnestii nie należy się już liczyć z gremialnym przyznaniem Polakom prawa pobytu w Szwecji, jak to miało miejsce w dniu wprowadzenia w PRL stanu wojennego. Obecnie na azyl, i to z wielkimi trudnościami, liczyć mogą jedynie Polacy, którzy mają tutaj powiązania rodzinne pierwszego stopnia oraz osoby, które z powodu swych przekonań politycznych, religijnych czy rasowych narażone są na bardzo poważne prześladowania (np. więzienie), co należy jednak udowodnić (tak mówi ustawa). W wyjątkowych wypadkach bierze się pod uwagę względy humanitarne. Dostanie się ze Szwecji do USA, Kanady, Australii czy nawet Afryki Południowej jest ogromnie utrudnione względnie w ogóle niemożliwe. ■ Kilku Polaków uzyskało w okresie letnim azyl po dość dramatycznych ucieczkach z PRL. Tak 25 lipca polski samolot typu Antonow 2, służący do rozpylania nawozów sztucznych, wylądował na lotnisku Eweröd w pobliżu Kristianstad, z 7 pasażerami, w tym z trojgiem dzieci. W jeszcze bardziej dramatycznych okolicznościach uciekł z wybrzeża Litwy do Szwecji na pontonie Rosjanin Walery Dutschack. W stanie wyczerpania został uratowany przez szwedzkich rybaków, którzy zawieźli go 8 sierpnia na łód szwedzki. Ponton z całą zawartością został następnie zakupiony przez Muzeum Marynarki w Karlskronie. ■ Szczególną sensację wywołała ucieczka *via* Finlandia do Szwecji estońskiego urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości i szefa wydziału kultury komsomołu Estonii, Valdo Randpere, który wraz z żoną, śpiewaczką Leilą Miller, poprosił o azyl w Szwecji (ucieczki z Estonii są niesłychanie rzadkie). W Estonii pozostawili swoją roczną córeczkę; obecnie starają się o jej wypuszczenie do Szwecji. ■ W lipcu

i sierpniu 6 Polaków demonstrowało przed ambasadą PRL domagając się przyjazdu swoich rodzin. Przez jakiś czas zastosowali nawet głodówkę. Zarówno Ministerstwo Spraw Zagranicznych jak i Szwedzki Czerwony Krzyż zajęły się tą sprawą, domagając się wypuszczenia rodzin demonstrujących Polaków, zgodnie z międzynarodową umową o łączeniu rodzin, podpisaną także przez władze PRL. Zachowanie się rządu PRL, a zwłaszcza jej ambasady i konsulatu w Sztokholmie w stosunku nie tylko do demonstrujących ale i do Szwedzkiego Czerwonego Krzyża było skandaliczne. Odmówiono przyjęcia listu Czerwonego Krzyża podpisanego przez sekretarza generalnego. Dopiero po zażądaniu przez ambasadę zmian w treści, na co sekretarz generalny wyraził zgodę dla dobra sprawy, cztery rodziny otrzymały promesę na przyjazd. Ostatni dwaj Polacy, Wiesław Piasta i Leszek Dąbrowski, wciąż czekający na decyzję, zagrozili w dniu 17 sierpnia samospaleniem przed ambasadą PRL; zrobił się wielki pośpóch, bo mieli ze sobą benzynę. Przybyła policja, prasa, ludzie. Obydwaj zdążyli przeciąć sobie żyły, ale do samospalenia nie doszło. Policja zabrała ich do szpitala na opatrunek; demonstrację przerwano. W końcu władze PRL obiecały rozpatrzyć sprawę pozytywnie, nie podając jednak terminu.

Norbert ŻABA

Wrzesień 1984

## KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM  
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:  
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,  
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety  
i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.

**Skład elektroniczny** — także „na wynos” —  
zapewniający najwyższą jakość druku.

**Solidne wykonanie** — ceny umiarkowane!

## Dokumenty

### Sprawa polska w Międzynarodowej Organizacji Pracy

Z końcem czerwca bieżącego roku opublikowany został w Genewie raport Komisji Badawczej Międzynarodowej Organizacji Pracy (w dalszym ciągu: MOP), datowany 2 maja 1984, w sprawie stosowania przez PRL konwencji nr 87 o wolności związkowej i ochronie praw związkowych oraz konwencji nr 98 o zasadach prawa organizacji i o rokowaniach zbiorowych. Raport stanowi wydarzenie olbrzymiej wagi i dlatego powinien być przedstawiony polskiej opinii publicznej. Wymaga to przede wszystkim omówienia, choćby w najogólniejszych zarysach, organizacji w ramach której został opracowany i która jest za niego odpowiedzialna<sup>1</sup>.

#### I. Organizacja

##### 1. Powstanie organizacji

MOP powstała po pierwszej wojnie światowej w wyniku presji organizacji robotniczych, zarówno zawodowych jak politycznych, domagających się umiędzynarodowienia problematyki świata pracy i wbudowania jej w nowy ład powojenny. Pod wpływem tych postulatów powołana została w ramach konferencji pokojowej komisja ustawodawstwa społecznego. Już sam jej skład był bez precedensu w tradycji dyplomatycznej i zapowiadał dalszy rozwój wydarzeń: obok ministrów, dyplomatów i profesorów-ekspertów zasiadali w niej bowiem przedstawiciele

1. Omówienie takie jest tym potrzebniejsze, że Polacy — i nie oni jedni — mogą słusznym tytułem nie żywić szczególnego nabożeństwa do organizacji międzynarodowych. Wystarczy przypomnieć raport w sprawie polskiej Komisji Praw Człowieka ONZ, z którym czytelnicy *Kultury* mieli okazję się zapoznać w znakomitej wersji Leopolda Ungera (*Kultura* nr 6/429, 1983). Optymiści mogli przypuszczać że dno zostało osiągnięte. Aliści w rok później onaże Komisja wysmażyła nowy raport, bijąc własne rekordy indolencji i nieprzyzwoitości. Wreszcie niedawno dyrektor UNESCO odwiedził PRL, gdzie mu się wszystko bardzo podobało.

związków zawodowych Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji i Włoch<sup>2</sup>. Przewodniczącym był Samuel Gompers z American Federation of Labor.

Komisja, o której pracy i kompetencji technicznej historycy przedmiotu wyrażają się z najwyższym uznaniem, opracowała w ciągu dwóch miesięcy projekt konstytucji przyszłej organizacji. Tekst ten został z drobnymi tylko poprawkami przyjęty przez konferencję pokojową i na równi z Paktem Ligi Narodów włączony do traktatu wersalskiego. Identyfikując operację przeprowadzoną w pozostałych trzech traktatach pokojowych, z Austrią, Bułgarią i Węgrami. „Umiedzynarodowienie” spraw świata pracy stało się faktem, w oparciu o dwie tezy sformułowane w *préambule*: po pierwsze, że sprawiedliwość społeczna jest niezbędnym warunkiem realizacji pokoju powszechnego, po drugie, że odrzucenie przez jakikolwiek kraj prawdziwie ludzkiej organizacji pracy stanowi przeszkodę jej urzeczywistnienia w innych krajach. Od urodzenia więc organizacja wiązała sprawy świata pracy ze sprawą pokoju w świecie i proklamowała uniwersalizm swoich celów.

Skoro mowa o powstaniu organizacji, nie sposób pominąć legendarnej postaci pierwszego dyrektora generalnego jej Biura. Albert Thomas, wybitny socjalista francuski, przyjaciel i współpracownik Jaurès'a, historyk z wykształcenia (wyspecjalizowany w historii pracy i ruchu związkowego), parlamentarzysta, w czasie wojny minister w gabinecie Brianda, zaważył jak nikt inny na obliczu i roli organizacji. Tchnął życie w teksty, podniósł i ustalił autorytet Biura, rozbudował i zdynamizował organizację, a nade wszystko nazaczył ją piętnem swego nieustępliwego acz realistycznego idealizmu w służbie świata pracy. Nie będzie przesadą twierdzenie, że po formalnym utworzeniu MOP przez traktaty pokojowe Albert Thomas stworzył ją po raz drugi w płaszczyźnie rzeczywistości. Jakikolwiek trudności miała przynieść dalsza ewolucja, do której wypadnie wrócić, duch Alberta Thomasa ciągle jeszcze unosi się nad pałacem Biura w Genewie, stanowiąc wzór i drogowskaz dla najlepszych jego przedstawicieli. Słusznym tytułem pomnik ku jego czci stoi przed dawnym gmachem genewskiego Biura.

MOP jest więc nieporównanie starsza od ONZ i jej rozmnażających się do nieprzysłowności przybudówek. Powstała w innej

2. Francję reprezentował wybitny przywódca związkowy, Léon Jouhaux, który miał w przyszłości stać się jedną z czołowych postaci organizacji. Czynelnika polskiego zainteresują więzy przyjaźni, jakie łączyły Jouhaux z Zygmuntem Żuławskim i z polskim ruchem związkowym. Zainteresuje go także fakt, że Jouhaux był pierwszym przed Wałęsą robotniczym laureatem pokojowej nagrody Nobla w roku 1951.

atmosferze, ma inne korzenie i inną tradycję. Są to imponderabilia, które się liczą.

W latach 1945-1946, wobec zmienionej sytuacji politycznej i likwidacji Ligi Narodów, MOP przeprowadziła konieczne zmiany konstytucji które, nie naruszając jej celów ani struktury, stworzyły z niej instrument autonomiczny, bez powiązań ze starymi traktatami pokojowymi i z Ligą.

Dorobek organizacji wyraża się dzisiaj cyfrą 159 konwencji i 169 rekomendacji dotyczących olbrzymiego wachlarza spraw, jak warunki i czas pracy, higiena i bezpieczeństwo, polityka społeczna, ubezpieczenia, płace, pośrednictwo pracy, ochrona kobiet i młodocianych, polityka zatrudnienia, wolność związkowa, zakaz pracy przymusowej etc. etc.

## 2. Charakter organizacji

Na mapie niezliczonych dziś organizacji międzynarodowych<sup>3</sup> MOP zajmuje miejsce jedyne i wyjątkowe. Wynika to przede wszystkim z jej struktury, ale również z niezwykle rozbudowanego systemu kontroli.

a) **Struktura.** Organizacje międzynarodowe są w zasadzie wyłączną domeną państw czyli, praktycznie biorąc, rządów. Zasiadają w nich wyłącznie przedstawiciele tychże rządów, związani ich instrukcjami i prowadzący ich politykę. Wyłącznie rządy zajmują stanowisko, głosują i decydują. Od nich i tylko od nich zależy działalność organizacji.

W tej zasadzie konstytucja MOP dokonała całkowitego przewrotu, opierając organizację na tzw. „strukturze trójstronnej”. Czteroosobowe delegacje państw członkowskich na Konferencję Ogólną — którą można by przyrównać do parlamentu w państwach demokratycznych — składają się z dwóch tylko delegatów rządowych, podczas kiedy z dwóch pozostałych jeden reprezentuje pracobiorców, jeden zaś pracodawców. Analogiczny skład trójstronny wykazuje Rada Administracyjna, którą z kolei można by przyrównać do egzekutywy w państwie. W komisjach, spełniających ogromnie ważne funkcje w organizacji, stosunek sił jest

3. Sygnalizuję, że używam terminu „organizacje międzynarodowe” wyłącznie w znaczeniu technicznym: idzie więc jedynie o organizacje między państwowe powstałe na podstawie traktatu międzynarodowego, z wyłączeniem wszelkich organizacji nie państwowych i nie opartych o traktat, jak np. wielkie centrale związkowe czy stowarzyszenia kulturalne, zawodowe, sportowe, etc. — nie mówiąc już o Międzynarodowym Komitecie Czerwonego Krzyża, któremu część uporzędkowanej nieświadomości przypisuje charakter międzynarodowy, a który jest instytucją czysto szwajcarską.

jeszcze korzystniejszy dla czynnika społecznego, bowiem zarówno rządy, jak pracodawcy i pracownicy mają w nich po jednym przedstawicieli. (Struktura trójstronna nie dotyczy oczywiście Biura, będącego „administracją” organizacji i tym samym odpowiadającego np. sekretariatowi generalnemu ONZ). Po raz pierwszy i, jak dotąd, jedyny w historii przełamany został monopol rządów w dziedzinie stosunków międzypaństwowych. Udział porządkowego czynnika społecznego jest najważniejszą i najbardziej decydującą cechą organizacji.

Rzecz sprowadza się nie tylko do satysfakcji ornamentacyjno-moralnej. Struktura trójstronna nadała organizacji jej własne, odrębne oblicze, wyznaczyła jej charakter i przesądziła o jej funkcjonowaniu. Podziały wewnątrz organizacji nie przebiegają po linii państw. Przeciwnie, powstały w niej grupy, które w literaturze przedmiotu przyrównywano do ugrupowań stronnictw politycznych w parlamentach krajowych: grupa rządowa, grupa pracodawców, grupa pracowników. Te dwie ostatnie działają samodzielnie, nie reprezentują punktu widzenia rządowego, nie są związane rządowymi instrukcjami<sup>4</sup>. Znajduje to szczególnie dobitny wyraz zarówno w uchwalaniu konwencji pracy, jak i w systemie kontroli, o czym za chwilę.

Konwencje pracy nie są niczym innym jak traktatami międzynarodowymi. Jest truizmem przypomnienie, że traktaty międzynarodowe należą zawsze i wszędzie do wyłącznej kompetencji państw. Zawsze i wszędzie, z wyjątkiem właśnie MOP, która zbulwersowała dotychczasową technikę ich zawierania. Konwencje pracy bowiem nie rodzą się z rokowań międzypaństwowych. Są wynikiem głosowania delegatów na Konferencję ogólną, którzy uchwalają konwencję większością dwóch trzecich głosów delegatów obecnych na sesji. Inaczej mówiąc, konwencja pracy może dojść do skutku dzięki decydującemu udziałowi czynnika społecznego, wbrew stanowisku nawet połowy delegatów rządowych. Oczywiście ratyfikacja zastrzeżona jest dla państwa, które w ten sposób zachowuje ostatnie słowo w debacie; niemniej konstytucja nakłada na nie obowiązek starań o ratyfikację, a w braku jej uzyskania obowiązek informowania Biura o postępach ustawodawczych w materii będącej przedmiotem konwencji nieratyfikowanej. Nawet z tym zastrzeżeniem, udział czynnika społecz-

4. Podobna sytuacja powstała w tzw. Parlamencie Europejskim, co nie uprawnia do fałszywych analogii. Parlament nie jest organizacją, a tylko organem, i to najniższym, organizacji. Traktat rzymski przyznaje mu kompetencje minimalne. Kompetencje które arogował sobie sam (jak sam arogował sobie nieprzewidzianą w traktacie nazwę) niewiele podniosły jego efektywność. Europejska Wspólnota Gospodarcza jest i pozostaje domeną rządów.

nego w stanowieniu traktatów międzynarodowych jest do dziś dnia zjawiskiem zupełnie wyjątkowym.

Struktura trójstronna *ipso facto* stawia przed MOP zagadnienie, którego nie zna żadna inna organizacja międzynarodowa, a które należy tutaj od razu i z maksymalnym naciskiem podkreślić. Idzie o sprawę autentyczności reprezentacji czynnika społecznego, sprawę kluczową, która przewija się jak *leitmotiv* przez całą historię organizacji. Idzie więc o efektywną obecność w organizacji autentycznych przedstawicieli pracodawców i pracowników, nie zaś zamaskowanych delegatów rządowych. Autentyczność taka zakłada wolność zrzeszania się wewnątrz państw członkowskich, zakłada w szczególności wolności związkowe (albowiem, koniec końców, dla robotników, nie dla pracodawców została stworzona MOP), czyli, w ostatecznej analizie, zakłada demokrację, która jedyna może te wolności zapewnić. Konstytucja i misja MOP predestynują ją zatem do ciężkiej i żmudnej roli szermierza demokracji w skali międzynarodowej.

b) System kontroli. Nie wystarczy zawrzeć traktatu międzynarodowego, trzeba go jeszcze wykonać. Nie tu miejsce na wywody o słabości mechanizmu kontroli wykonania, nie tylko w prawie międzynarodowym ogólnym, ale również w ramach tzw. uniwersalnych organizacji międzynarodowych. (Inaczej rzecz się przedstawia w wysoce zainteresowanych organizacjach regionalnych, ale to jest inna sprawa, która nas tutaj nie dotyczy). Na tym tle system kontroli MOP prezentuje się jako wyjątkowo rozbudowany i efektywny. Wobec ogromu tematu, trzeba tu poprzestać na jego charakterystyce ogólnej i na omówieniu kilku tylko jego mechanizmów.

Przede wszystkim jest to system ewolucyjny. Oznacza to, że niezależnie od dyspozycji kontrolnych zawartych w samej konstytucji, organizacja stale i konsekwentnie stwarza nowe instancje, nowe mechanizmy i nowe środki działania, wychodząc naprzeciw nowym potrzebom. Po wtóre, system operuje wszystkimi możliwymi elementami: prawnymi, dyplomatycznymi, politycznymi i administracyjnymi. Daje to w sumie stale rozwijające się i niezwykle bogate instrumentarium, jakim nie może poszczycić się żadna inna organizacja międzynarodowa.

W ramach samej konstytucji należy rozróżnić procedurę kontrolną sporną i niesporną. Ta ostatnia stanowi stałą a zasadniczą element działalności MOP, jest niejako jej chlebem powszednim. Państwa członkowskie mają obowiązek składania corocznych sprawozdań o wykonywaniu przez nie zobowiązań płynących z konwencji. Sprawozdania te przechodzą przez podwójne sito: Komisji ekspertów, złożonej z osobistości niezależnych powołanych

przez Radę Administracyjną i trójstronnej komisji wyłonionej przez Konferencję Ogólną, której raport jest przedmiotem dyskusji i głosowania na Konferencji. Kontrola regularna znajduje się więc w przeważającej mierze w rękach czynników pozarządowych, a wykonywanie konwencji odbywa się w pełnym świetle reflektorów, co samo przez się stanowi presję moralno-polityczną. Presja okazuje się skuteczna: ocenia się, że w 75 % wypadków państwa poddane krytyce podjęły kroki zmierzające do naprawy sytuacji.

Od kontroli stałej i regularnej należy odróżnić kontrolę w sytuacjach, kiedy państwo członkowskie staje pod konkretnym zarzutem pogwałcenia konwencji. Konstytucja przewiduje tutaj dwie procedury sporne: procedurę reklamacji, otwartą organizacjom zawodowym pracodawców i pracobiorców i procedurę skargi, której wypada przyrzeć się bliżej.

Skarga formalna może być wniesiona przeciw państwu członkowskiemu o pogwałcenie ratyfikowanej przez nie konwencji. Rada Administracyjna może wówczas powołać Komisję Badawczą, której zadaniem będzie przestudiowanie sprawy i opracowanie raportu. Rzecz pozornie prosta wymaga jednak komentarza, bowiem raz jeszcze mamy do czynienia z sytuacją bezprecedensową i jedyną w prawie międzynarodowym.

Aby to ocenić, trzeba sobie jasno zdać sprawę z dwóch klasycznych zasad dotyczących sporów międzynarodowych. Po pierwsze, żaden spór międzynarodowy nie może zostać poddany żadnej procedurze (mediacyjnej, koncyliacyjnej, arbitrażowej czy sądowej) bez zgody obu stron czyli, praktycznie rzecz biorąc, państwa obwinionego. Po drugie, stronami w sporze międzynarodowym mogą być tylko i wyłącznie państwa.

I tutaj znowu konstytucja MOP dokonała jedyne w swoim rodzaju przewrotu, obalając oba te tabu. Po pierwsze, postępowanie przed Komisją nie wymaga zgody obwinionego państwa. Po wtóre, skarga może być wniesiona nie tylko przez inne państwo członkowskie, ale również przez Radę Administracyjną albo *ex officio*, albo na skutek skargi wniesionej przez jakiegokolwiek delegata na Konferencję Ogólną. W tym ostatnim wypadku mamy właśnie do czynienia z sytuacją absolutnie wyjątkową: stronami w sporze międzynarodowym są z jednej strony państwo, z drugiej jednostka. Innymi słowy: konstytucja umożliwia bezprecedensowy udział czynnika społecznego w systemie kontroli także i w sprawach spornych, i to na najwyższym szczeblu.

Ciało orzekające nie nazywa się sądem lecz komisją. Jego orzeczenie nie nazywa się wyrokiem ale raportem. A przecież w istocie rzeczy mamy do czynienia ze zjawiskiem, które powszechnie a słusznie przyjęło się określać jako „procedurę quasi-sądo-

wą”. Zespół orzekający składa się z wybitnych osobistości niezależnych, powołanych przez Radę Administracyjną na wniosek dyrektora Biura (*nota bene* zaprzysiężonych według formuły Trybunału haskiego). Sprawa toczy się między konkretnymi stronami, skarżącym i pozwanym, według wszystkich reguł procedury kontradyktoryjnej. Przewód, na który składa się faza pisemna i faza ustna, obejmuje, poza tezami stron, wszelki materiał informacyjny i dowodowy, przesłuchanie świadków i ekspertów, ewentualną wizję lokalną etc. Jedyne raport różni się od normalnego wyroku sądowego tym że, według przepisów konstytucji, musi nie tylko stwierdzić zasadność czy niezasadność skargi, ale ponadto sformułować zalecenia mające na celu powrót do ewentualnie naruszonej legalności.

Trzeba z całym naciskiem podkreślić, że procedura skargi i powołanie Komisji jest działem najcięższego kalibru w arsenale MOP, używanym niesłychanie rzadko i w sprawach najwyższej wagi. Dość powiedzieć, że w ciągu sześćdziesięciu przeszło lat istnienia organizacji tylko pięć spraw spornych znalazło się przed tym forum (m.in. sprawy Grecji pułkowników i Chile generałów, ostatnio sprawa pracy niewolniczej w Haiti i San Domingo). Sprawa polska jest szóstą w całej historii organizacji.

Tyle więc o konstytucyjnych mechanizmach kontroli. O innych będzie jeszcze mowa.

### 3. Organizacja w niesprzyjającym świecie

Powiedzmy od razu: MOP została stworzona na użytek innego świata niż ten, w którym przyszło jej działać. Patronowała jej powstaniu wizja demokracji i reformizmu. Demokracja wewnątrz państw miała zapewnić autentyczność struktury trójstronnej czyli niezafałszowany udział czynnika społecznego. Reformizm miał urzeczywistnić postulaty świata pracy w ramach pokoju społecznego, nie drogą gwałtownych wstrząsów ale drogą ewolucji, rokowań i międzynarodowego ustawodawstwa pracy<sup>5</sup>.

5. Natomiast nigdzie nie jest powiedziane, że struktura MOP zakłada system kapitalistyczny i gospodarkę wyłącznie wolnorynkową. Sprawa ta była przedmiotem debat, studiów i ostrych starć w łonie organizacji w kontekście autentyczności delegatów pracodawców. Przeważa dziś pogląd, że struktura trójstronna zgoda nie wyklucza uspołecznienia czy upaństwowienia wielkich gałęzi gospodarki w ustroju demokratycznym; innymi słowy, dykcja wielkich przedsiębiorstw uspołecznionych może być autentycznym pracodawcą pod warunkiem prawdziwej niezależności od rządu i może w konsekwencji być autentycznym delegatem pracodawców, a nie zamaskowanym delegatem rządowym. Tytułem przykładu cytuje się tutaj Renault we Francji czy National Coal Board w Wielkiej Brytanii. System totalitarny taką autonomię wyklucza, wykluczając zatem autentyczność delegata pracodawców.



Ta wilsonowsko-ligowa idylliczna wizja przyszłości zaczęła pękać w szwach niemal natychmiast. Wiadomy proces historyczny doprowadził do sytuacji, w której na sto kilkadziesiąt oficjalnie istniejących dzisiaj państw, zaledwie około trzydziestu zachowało ustrój demokratyczny.

Nie sposób w tych warunkach udawać, że nic się nie stało i że taki rozwój nie zaciążył na życiu i obliczu organizacji, wewnątrz której odnajdujemy tenże obraz świata. Totalitaryzm, który w takim czy innym wydaniu rozlał się po całym globusie, uderza w same podstawy MOP, fałszuje jej strukturę trójstronną i zagraża jej celom. Dodać należy próby nadużywania organizacji do celów agresywnie politycznych i zgoła jej obcych, które doprowadziły, jak wiadomo, do przejściowego wycofania się z niej Stanów Zjednoczonych. Ta kuracja szokowa przyniosła pewne otrzeźwienie; nie mogła zmienić mapy świata.

MOP ani nie chciała, ani zresztą nawet nie mogła (członkostwo MOP automatycznie stoi otworem dla wszystkich państw członkowskich ONZ) wyrzec się uniwersalizmu swoich celów i przekształcić się w ekskluzywny klub dobrze wychowanych państw demokratycznych. Równałoby się to zresztą dodatkowej penalizacji społeczeństw już dostatecznie gnębionych przez swoich władców. Z tym niesprzyjającym światem przyszło jej współżyć i współdziałać. W tych warunkach nie to jest zdumiewające, ile poniosła uszczerbku, ale to, ile zachowała swojej identyczności.

Bezstronnego obserwatora musi uderzyć paralelizm zachodzących procesów: im bardziej podnosi się fala totalitaryzmu, tym intensywniejsze i głębsze zaangażowanie organizacji w sprawę wolności związkowych, które znajduje wyraz jednocześnie w płaszczyźnie światopoglądowej, normatywnej i instytucjonalnej.

a) Zasada wolności związkowej stanowi oczywiście i z konieczności kluczowy element światopoglądowy MOP. Trzeba było jednak lat, wydarzeń i pogłębionej refleksji, aby dojrzeć i sformułować wszystkie jej implikacje i wyciągnąć z niej wszystkie konsekwencje. Preambuła konstytucji z roku 1919 proklamowała ją wyraźnie ale krótko, nie rozwodząc się nad sprawą, co wówczas mogło wydawać się zbędne. W roku 1944 deklaracja filadelfijska uznała już za stosowne sprecyzować, że „wolność słowa i stowarzyszenia stanowi nieodzowny warunek postępu”. Rzecz nabiera coraz wyraźniejszych konturów u najwybitniejszych teoretyków, którzy coraz dobitniej łączą wolności związkowe już nie tylko z wolnością zrzeszania się, ale z podstawowymi wolnościami obywatelskimi w ogóle<sup>6</sup>. W roku 1952 Konferencja Ogól-

6. Wolności związkowe „are utterly unreal, even though they may not be directly infringed, in the absence of freedom from arbitrary arrest,

na uchwała ważną rezolucję o niezależności ruchu związkowego. Ukoronowaniem tego procesu jest zasadniczej wagi rezolucja Konferencji Ogólnej z roku 1970, dotycząca „praw związkowych i ich stosunku do swobód obywatelskich”. Doktryna MOP jest tym samym ostatecznie wykrystalizowana i sprecyzowana przez jej najwyższy organ: nie ma realizacji jej celów bez wolności związkowych; nie ma wolności związkowych bez podstawowych swobód obywatelskich, bez wolności politycznej i niepodległości narodowej<sup>7</sup>.

b) W płaszczyźnie normatywnej troska o wolności związkowe znalazła swój wyraz w uchwaleniu nowych konwencji i zaleceń. Wymienimy tu obie najważniejsze konwencje: nr 87 z roku 1948 o wolności związkowej i ochronie prawa związkowego i nr 98 z roku 1949 o prawie organizacji i rokowań zbiorowych. Pierwsza z nich stanowi prawdziwą *Magna Charta* w przedmiocie, chroniącą wolności związkowe wobec władzy; druga chroni te wolności wobec pracodawców. Do obu tych podstawowych aktów przyjdzie wrócić w związku ze sprawą polską. Co więcej,

*detention or exile, the right to a fair and public hearing by an independent and impartial tribunal, or the presumption of innocence until proof of guilt*”. Jenks, *The International Protection of Trade Union Freedom*, London, Stevens, 1957, str. 485. „...la liberté d'action dont jouissent les organisations professionnelles, dépend évidemment en grande partie de la mesure dans laquelle les libertés publiques sont plus largement reconnues dans le pays considéré... La liberté est en effet indivisible et saurait difficilement subsister dans un secteur isolé”. Valticos, *Droit international du travail*, 2<sup>e</sup> édition, Paris, Dalloz, 1983, str. 629. Dodajmy, że ci teoretycy byli wybitnymi praktykami: Jenks był dyrektorem generalnym, Valticos wicedyrektorem generalnym Biura.

7. Z tego bardzo pięknego dokumentu warto zacytować choćby kilka tylko najważniejszych fragmentów. I tak, wśród „*considérants*” znajdujemy: „*Considerant que, sans indépendance nationale et liberté politique, il ne peut y avoir pleinement et véritablement de droits syndicaux...*”. W części dyspozycyjnej Konferencja *reconnait que les droits conférés aux organisations de travailleurs et d'employeurs doivent se fonder sur le respect des libertés civiles qui ont été énoncées notamment dans la Déclaration universelle des droits de l'homme et dans le Pacte international relatif aux droits civils et politiques, et que l'absence de ces libertés civiles enlève toute signification au concept des droits syndicaux; met un accent particulier sur les libertés civiles suivantes, définies dans la Déclaration universelle des droits de l'homme qui sont essentielles à l'exercice des droits syndicaux: a) le droit à la liberté et à la sûreté de la personne ainsi qu'à la protection contre les arrestations et les détentions arbitraires; b) la liberté d'opinion et d'expression, et en particulier le droit de ne pas être inquieté pour ses opinions et celui de chercher, de recevoir et de répandre, sans considération de frontières, les informations et les idées par quelque moyen d'expression que ce soit; c) la liberté de réunion; d) le droit à un jugement équitable par un tribunal indépendant et impartial; e) le droit à la protection des biens des syndicats*”.

z czasem organy MOP stają na stanowisku, że ogólne zasady wolności związkowej stały się normami zwyczajowymi, czyli że obowiązują nawet te państwa, które odnośnych konwencji nie ratyfikowały.

c) Wreszcie, w płaszczyźnie instytucjonalnej następuje lawinowy rozwój mechanizmów i środków działania organizacji, od nieformalno-dyplomatycznych tzw. *contacts directs* poprzez „grupy studiów” aż do sformalizowanych instytucji prawnych, stworzonych specjalnie i wyłącznie dla rozpatrywania spraw związanych z wolnościami związkowymi. Wymienimy tutaj tylko powstały w roku 1950 Komitet Wolności Związkowej, funkcjonujący w tradycyjnie trójstronnym składzie: trzech przedstawicieli rządów, trzech — pracodawców, trzech — pracobiorców, wyznaczonych przez Radę Administracyjną z jej własnego grona i obradujących pod przewodnictwem osobistości niezależnej, powołanej również przez Radę Administracyjną, lecz, tym razem, spoza własnego grona. Na równi z omówioną już Komisją Badawczą, Komitet stosuje procedurę „quasi-sądową”, niemniej operuje także środkami bardziej nieformalnymi, często o charakterze dyplomatycznym. W sumie jest to organ bardziej elastyczny niż Komisja Badawcza, nieobarczony opinią „działa najcięższego kalibru” co prawdopodobnie tłumaczy niebywały rozmach, jakiego nabrała jego działalność. Od chwili swego powstania Komitet rozpatrzył ni mniej ni więcej tylko tysiąc trzysta spraw spornych, tworząc olbrzymie orzecznictwo, często precyzujące i uzupełniające normy samych konwencji. Tak np. niewymienione w zasadniczych konwencjach prawo strajku weszło do międzynarodowego prawa pracy poprzez orzecznictwo Komitetu.

Mamy zatem do czynienia z równoległą do zalewu totalitarnego rozbudową ochrony wolności związkowej *tous azimuts*. Można założyć, że stoi za nią zdecydowana i nieustępliwa wola elementu robotniczego w organizacji, który pierwszy, w roku 1924, podjął walkę o autentyczność swojej reprezentacji wobec jej pierwszego zafałszowania przez faszystowską włoski i który tej walki nigdy nie zaniechał, skądkolwiek przychodziło zagrożenie. Wolno także przypuszczać, że stoją za nią ci wszyscy ludzie w MOP, w których przetrwała jej własna, odrębna, Albert-Thomasowska tradycja.

#### 4. ZSSR i blok wschodni w MOP

Blok sowiecki nie ma monopolu na łamanie międzynarodowego prawa pracy, o czym łatwo się przekonać przeglądając listę

skarg wniesionych do instancji MOP. Dzieje się źle na całej planecie i jeśli wyodrębniamy tutaj *sovietica*, to nie w intencji skrzywienia proporcji, ale po prostu dlatego, że nas bezpośrednio dotyczy.

Przypisuje się Leninowi powiedzenie, że robotnicy świata muszą wybierać między Moskwą a Genewą. Autentyczne czy nie, powiedzenie to z oczywistych powodów wiernie oddaje sytuację.

Od samego początku MOP — na równi zresztą z Ligą Narodów — stała się przedmiotem wrogości sowieckiej. Wejście Sowietów do Ligi w erze Litwinowa (1934) pociągnęło za sobą automatycznie członkostwo MOP, co w niczym nie wpłynęło na podniesienie temperatury ich uczuć wobec organizacji. Związek Sowiecki nie ratyfikował ani jednej konwencji, w pracach MOP brał udział minimalny, a i to tylko do roku 1937, kiedy przeszedł do całkowitego jej bojkotu. Ten etap skończył się wykluczeniem Sowietów z Ligi, a tym samym z MOP, w roku 1939 w rezultacie agresji na Finlandię.

Animozja sowiecka odżyła jeszcze podczas drugiej wojny światowej, manifestując się w związku z pracami nad utworzeniem ONZ i formalną restrukturalizacją MOP, konieczną po likwidacji Ligi. Dopiero w roku 1954 ZSSR zdecydował się wstąpić na nowo do organizacji<sup>8</sup>, przy czym już w tym stadium doszło do konfliktu z ówczesnym dyrektorem generalnym Biura, Kanadyjczykiem Morsem, który ani nie chciał, ani nie mógł przyjąć kandydatury sowieckiej na żądanych wyjątkowych warunkach. W perspektywie czasu ten pierwszy spór, u progu nowej fazy członkostwa sowieckiego, nabiera znaczenia symbolu i zapowiedzi. Bowiem cały ciąg dalszy, od 1954 po dzień dzisiejszy, znaczone jest konfliktami, incydentami i napięciem. Na żadnym innym forum międzynarodowym ZSSR nie ma równie ciężkiego życia. Rzecz tym boleśnieszka, że uderzenia przychodzą niemal zawsze od strony robotniczej i że dotyczą w pierwszym rzędzie zagadnienia wolności związkowej.

Z ogromnego materiału możemy wybrać tylko kilka ilustracji. Pierwsze wyzwanie przyszło od strony Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych, która podnosiła

8. Powody tej decyzji są przedmiotem spekulacji: mówi się o chęci wykorzystania członkostwa MOP dla wzmocnienia wpływów sowieckich w Trzecim Świecie, o intencji uzyskania nowego forum propagandowego, o konieczności wyrównania frontu z satelitami, których część była już w MOP z tytułu przedwojennego członkostwa, etc. Może liczyła się wreszcie fantazyjna a wyjątkowa ilość głosów, które warto było zmobilizować. Przeliczmy: przy założeniu że wszyscy delegaci sowieccy są w istocie delegatami rządowymi, ZSSR dysponuje nie dwoma, ale dwunastoma głosami (ZSSR — 4, Ukraina — 4, Białoruś — 4). Jeśli doliczyć po 4 głosy państw satelickich, porcja staje się interesująca.

zarzut, że robotnicy sowieccy pozbawieni są prawa swobodnego zrzeszania i że autentyczne związki zawodowe nie istnieją i istnieć nie mogą w ZSSR. Sprawa znalazła się od razu w roku 1954 przed Komitetem wolności związkowej. *Mirabile dictu*, Sowiety uczestniczyły w postępowaniu (prawdopodobnie niezręcznie było zacząć nową karierę w MOP od razu od pogwałcenia reguł gry), składały wyjaśnienia, zresztą osobliwej treści, odpowiadały na pisma a nawet, w czasie trwania sprawy, ratyfikowały obie kluczowe konwencje nr 87 i 98. Raport Komitetu, przedłożony Radzie Administracyjnej w listopadzie 1956, był umiarkowany w tonie ale stanowczy w treści: podkreślał niezgodność praktyk sowieckich z konwencjami, przypominał odnośne zasady MOP i formułował zalecenia, żądając informacji o ich wykonaniu. Nie należy mieć złudzeń co do jego wpływu na sytuację, ale nie wolno również nie doceniać, jak dotkliwe było dla Sowietów zarówno wniesienie skargi, jak poddanie się procedurze, jak wreszcie ogłoszenie raportu.

Co gorzej, wybuchła natychmiast batalia o odmówienie akredytacji sowieckich delegatów pracodawców i pracobiorców z racji ich nieautentyczności. Batalia została wprawdzie przegrana ze względów dyplomatycznych (większość w Komisji weryfikacyjnej i na plenum wolała uniknąć skandalu, jakim byłoby zmuszenie Rosji do wyjścia z organizacji natychmiast po wejściu), niemniej przeniosła się na inne tereny. W roku 1959 Komisja ekspertów poddała ostrej krytyce raport sowiecki o wykonywaniu konwencji nr 87. Nielepiej powiodło się Sowietom w sprawie pracy przy-musowej.

Analogicznych przeżyć doświadczyły państwa satelickie. Tytułem przykładu: trzy Konferencje Ogólne — 1957, 1958, 1959 — odmówiły akredytacji delegatów pracodawców i pracobiorców węgierskich, motywując odmowę brakiem ich autentyczności w wyniku sowieckiej interwencji.

Wydarzeniem najświeższej daty jest frontowy atak przypuszczony na tegorocznej Konferencji Ogólnej przez blok sowiecki na system kontroli MOP. Atak spotkał się z natychmiastową zdecydowaną odprawą państw zachodnich. Ze swej strony dyrektor generalny Biura oświadczył, że uniemożliwienie organizacji prawa kontroli, prawa stawiania nawet niewygodnych pytań, oznaczałoby odebranie wszelkiego sensu jej działalności. Należy się spodziewać, że po tych pierwszych potyczkach sprawa wybuchnie na nowo na następnej konferencji w roku 1985.

Tak więc, w największym skrócie, przedstawia się organizacja, która stała się forum dla wytoczenia sprawy polskiej.

## II. Sprawa polska

### 1. Stosunki między PRL a MOP do chwili powołania Komisji

Pierwsza skarga przeciw PRL wniesiona została już w roku 1953 przez Międzynarodową Konfederację Wolnych Związków Zawodowych<sup>9</sup> do Komitetu wolności związkowej który, po ogólnie praktykowanych w bloku manewrach rządu warszawskiego (odmowa odpowiedzi, odpowiedzi niewystarczające, zapewnienia werbalne, przewlekanie sprawy, etc.) sformułował swoje zalecenia, domagając się poszanowania w PRL zarówno wolności związkowych jak swobód obywatelskich. Zalecenia te zostały zaaprobowane przez Radę Administracyjną w listopadzie 1956, kiedy to Komitet miał przed sobą nowe skargi dotyczące wypadków poznańskich, wniesione zarówno przez CISL jak i inne organizacje związkowe. Tym razem zalecenia Komitetu były nieporównanie ostrzejsze i bardziej sprecyzowane: podkreślały w szczególności prawo strajku, prawo pokojowych demonstracji, potępiały użycie siły przez władzę i żądały dochodzeń w tej sprawie, podnosiły sprawę aresztowanych i wreszcie domagały się ratyfikacji przez PRL obu podstawowych konwencji, nr 87 i 98. Rada Administracyjna zaaprobowwała zalecenia 22 listopada 1956. 25 lutego 1957<sup>10</sup> PRL ratyfikowała obie konwencje.

Niemniej, poczynając od roku 1959, Komisja ekspertów podkreślała niezgodność ustawodawstwa polskiego z konwencjami, na co rząd PRL odpowiadał, że prace nad nową ustawą są w toku. Tymczasem w roku 1978 CISL wniosła nową skargę do Komitetu wolności związkowej, zarzucając PRL w szczególności represje wobec robotników usiłujących stworzyć wolne związki zawodowe w rejonie bałtyckim. Komitet zaproponował podjęcie tzw.

9. Istnieją trzy wielkie międzynarodowe centrale związkowe. Dwie z nich, grupujące związki świata niekomunistycznego, mają swoją siedzibę w Brukseli; są to: Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych (Confédération Internationale des Syndicats Libres, w skrócie CISL) i Światowa Konfederacja Pracy (Confédération Mondiale du Travail, w skrócie CMT). Trzecia, grupująca związki krajów komunistycznych, mieści się w Pradze i nosi nazwę Federacja Związkowa Światowa (Fédération Syndicale Mondiale, w skrócie FSM). W dalszym ciągu używam ogólnie przyjętych skrótów francuskich.

10. Idzie nie o datę wygotowania instrumentu ratyfikacyjnego w Warszawie, ale o datę jego rejestracji w Genewie; od tej ostatniej bowiem konwencja nabiera mocy obowiązującej w stosunku do ratyfikującego państwa. Powyższa uwaga dla wyjaśnienia różnicy podawanych w różnych wersjach dat ratyfikacji.

*contacts directs* między rządem a MOP, na co rząd wyraził zgodę, zapraszając do Warszawy przedstawiciela dyrektora generalnego Biura w maju 1980. Tak doszło do wizyty w PRL Nicolas Valticos, ówczesnego wicedyrektora generalnego Biura, w maju 1980. Miała to być pierwsza z jego czterech misji w Polsce, przeprowadzonych w różnych datach i różnych okolicznościach. Dwie następne miały miejsce w październiku 1980 w związku z trudnościami wokół rejestracji Solidarności i w maju 1981 — tym razem przewodniczył misji dyrektor generalny Biura, Francis Blanchard — w okresie rejestracji Solidarności wiejskiej. Wydaje się, że w tych wszystkich wypadkach rząd wykazywał postawę koncyliacyjną, określając te kontakty jako pożyteczne i deklarując gotowość współpracy z organizacją, która ze swej strony ofiarowywała radę i pomoc techniczną w opracowaniu nowego ustawodawstwa związkowego. Na dorocznej Konferencji Ogólnej MOP w czerwcu 1981 delegatem robotniczym był już Wałęsa, przy czym reprezentacja polska obejmowała wszystkie trzy istniejące związki zawodowe (Solidarność, związki branżowe i autonomiczne), manifestując w ten sposób niespotykany dotychczas w bloku wschodnim pluralizm związkowy.

Z błyskawiczną szybkością, bo już 14 grudnia 1981, dyrektor generalny Biura zwrócił się pisemnie do rządu PRL, a obie wielkie centrale związkowe, CISL i CMT, wniosły do Komitetu wolności związkowej skargę przeciw PRL. Tym razem rząd warszawski odrzucił propozycję przyjazdu misji MOP dla natychmiastowego zbadania sytuacji na miejscu, wysłał natomiast do Genewy własną delegację, która prowadziła rozmowy i zeznała, *nota bene* wielokrotnie, przed Komitetem. W maju 1982 Nicolas Valticos na żądanie Komitetu, i uzyskawszy tym razem zgodę Warszawy, odbył jeszcze jedną, czwartą podróż do Polski, gdzie przeprowadził szereg rozmów, m.in. z Wałęsą w Arłamowie. Sprawa w Komitecie toczyła się do maja 1983, przy udziale PRL, który należy eufemistycznie określić jako niezadowolający, ale który jednak miał miejsce. Komitet przekazał Radzie Administracyjnej cztery raporty tymczasowe (luty 1982, maj 1982, listopad 1982, luty 1983), w których dawał wyraz swojej głębokiej trosce wobec ciężkich oskarżeń kierowanych pod adresem PRL, domagał się wyjaśnień i odpowiedzi na konkretne pytania, żądał zwolnienia aresztowanych, zniesienia stanu wojennego, etc. W sumie jednak, wobec taktyki rządu, polegającej na fikcyjnej współpracy a prawdziwym sabotażu, sprawa praktycznie nie ruszała z miejsca. Tak np. nie doszło do projektowanej piątej misji Valticos w kwietniu 1983, albowiem, jak stwierdził Komitet, misja taka nie mogłaby dać rezultatów bez możliwości swobodnych kontaktów ze wszystkimi zainteresowanymi, a zwłaszcza

przywódcami rozwiązanych związków; do tych zaś kontaktów rząd nie chciał dopuścić.

W tej sytuacji delegat robotniczy Francji, Marc Blondel (Force Ouvrière) i delegatka robotnicza Norwegii, Liv Buck, złożyli 16 czerwca 1982 formalną skargę przeciw PRL o pogwałcenie konwencji nr 87 i 98, domagając się powołania Komisji Badawczej. Ze swej strony Komitet wolności związkowej stwierdził w maju 1983 z żalem nieskuteczność swoich wysiłków i zalecił Radzie Administracyjnej powołanie Komisji. Decyzja Rady została powzięta 27 maja 1983. Rząd PRL decyzję odrzucił, grożąc bojkotem najbliższej Konferencji Ogólnej i zawieszeniem współpracy z MOP.

## 2. Skład i procedura Komisji

Komisja została powołana w składzie następującym:

Przewodniczący: Nicolas Valticos, Grek, były wicedyrektor generalny Biura MOP<sup>11</sup>, były profesor uniwersytetu genewskiego, członek Stałego Trybunału Rozjemczego i sekretarz generalny Instytutu Prawa Międzynarodowego. Dodajmy, że Valticos jest dzisiaj czołowym autorytetem w dziedzinie międzynarodowego prawa pracy, autorem wielu prac, a zwłaszcza podstawowego *opus magnum* na ten temat<sup>12</sup>. Dodajmy także, że po latach zajmowania się sprawami polskimi w ramach MOP jest dziś prawdopodobnie najlepszym znawcą tych spraw w świecie organizacji międzynarodowych.

Członkowie: Andres Aguilar, Wenezuelczyk, były przewodniczący Konferencji Ogólnej MOP, członek Stałego Trybunału Rozjemczego, członek Komisji Praw Człowieka ONZ, były przewodniczący Międzjamerykańskiej Komisji Praw Człowieka, członek Instytutu Prawa Międzynarodowego; Jean-François Aubert, Szwajcar, profesor uniwersytetu w Neuchâtel, autorytet w dziedzinie prawa konstytucyjnego.

Zaprzysiężona 14 lipca 1983, Komisja poświęciła swoją pierwszą sesję w dniach 4-5 września sprawom proceduralnym. Strony — skarżący i rząd PRL — zostały powiadomione o terminach przedkładania nowej czy dodatkowej dokumentacji i wezwane do przedstawienia list świadków. Do dwunastu rządów wybranych

11. Od czasu swych pierwszych misji w Polsce Valticos przeszedł na emeryturę w związku z osiągnięciem obowiązującej w organizacjach międzynarodowych, *nota bene* stosunkowo niskiej, granicy wieku i dlatego mógł być powołany do Komisji już jako „osobistość niezależna”.

12. Zob. *supra* nr 6.

na zasadzie sąsiedztwa geograficznego lub szczególnych stosunków gospodarczych z PRL (NRF, Bułgaria, Dania, USA, Francja, Węgry, NRD, Rumunia, Wielka Brytania, Szwecja, Czechosłowacja i ZSSR) skierowane zostało wezwanie o przedłożenie Komisji wszelkich posiadanych przez nie a dotyczących sprawy danych. Analogiczne wezwanie skierowano do wszystkich trzech wielkich central związkowych i do Międzynarodowej Organizacji Pracodawców, którym ponadto otwarty został udział w procedurze ustnej. Jednocześnie Komisja ustaliła swoją własną listę świadków, obejmującą warszawskich ministrów pracy, spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i spraw związkowych, delegata robotniczego na konferencję ogólną w roku 1981 (tj. Wałęsę) i jego zastępców oraz przywódców nowych związków zawodowych. Od rządu PRL zażądano umożliwienia przyjazdu do Genewy wszystkim mieszkającym w Polsce świadkom powołanym czy to przez Komisję czy przez skarżących, zapewnienie im pełnego bezpieczeństwa w związku z ich zeznaniami oraz powrotu do Polski.

Komisja otwarta więc jak najszerzej możliwość udziału w postępowaniu rządowi, organizacjom i poszczególnym osobom. Skorzystano z tego różnie.

Rząd PRL, zgodnie ze swoją groźbą, zbojkotował całą sprawę. W pierwszym etapie po prostu nie reagował na pisma, w drugim zmienił metodę i odsyłał je bez komentarza — *curiosum* z dziedziny manier dyplomatycznych. Wśród odesłanych znalazło się także pismo Komisji z 31 stycznia 1984, czyli już po fazie ustnej, proponujące przyjazd Komisji lub jednego z jej członków do Polski celem uzupełnienia na miejscu materiału dowodowego w rozmowach z czynnikami oficjalnymi i ze swobodnie wybranymi obywatelami polskimi, z tymi ostatnimi prywatnie i bez świadków. *A fortiori*, nie postawiono do dyspozycji Komisji żądanych przez nią świadków z kraju.

Wśród innych rządów bloku, technikę milczenia zastosował jedynie rząd rumuński, podczas kiedy pozostałe wyraziły przepisowy sprzeciw przeciw powołaniu Komisji, co zakwalifikowały jako ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski.

Natomiast wszystkie zaproszone rządy zachodnie złożyły memoriały dokumentacyjne, czasem bardzo szczegółowe.

Ogromną dokumentację przedłożyły wielkie centrale zachodnie, które ponadto brały udział w postępowaniu ustnym. Również organizacja pracodawców złożyła dokumentację i brała udział w rozprawie. Natomiast praska centrala związkowa przyjęła taktykę milczenia.

Oskarżenie przedstawiło olbrzymi materiał dowodowy i listę świadków z Polski i zagranicy. Na liście świadków krajowych

figurowały nazwiska Anny Walentynowicz, Andrzeja Gwiazdy, Mariana Jurczyka, Edmunda Bałuki, Bogusława Chojny, Andrzeja Mielczanowskiego i Anki Kowalskiej (nie Wałęsy, powołanego *ex officio* przez Komisję). Żądanie przyjazdu tych świadków napotkało i w tym wypadku na rządowy mur milczenia. W rezultacie zeznawali przed Komisją tylko świadkowie polscy z zagranicy i związkowcy zachodni. Lech Wałęsa zdołał jednak upoważnić Bohdana Cywińskiego do występowania w jego imieniu.

Druga sesja Komisji odbyła się w dniach 16-27 stycznia 1984 w siedzibie MOP w Genewie. Komisja wysłuchała deklaracji skarżących (z ramienia oskarżenia występował sam Marc Blondel, któremu Liv Buck przekazała swój mandat) oraz central związkowych i organizacji pracodawców, przesłuchała świadków i, w ramach materiału dowodowego, obejrzała 15-minutowy film z posiedzenia TKK, nakręcony w warunkach konspiracyjnych przez związkowców francuskich.

Wreszcie, na trzeciej i ostatniej sesji w dniach 24 kwietnia - 2 maja 1984, Komisja ustaliła i przyjęła tekst raportu.

### 3. Raport

Nie od rzeczy będzie podkreślić rozmiary dokumentu, bowiem już one same są wymowne. Obejmuje on w wydaniu prozorycznym (wydanie drukiem nastąpi później) 172 stron maszynopisu bez interlinii.

Rygorystycznie skonstruowany, raport składa się z czterech części. Część pierwsza dotyczy historii sprawy, część druga procedury, o czym już była mowa. Wypada obecnie przyrzeć się części trzeciej, zawierającej analizę sprawy i części czwartej, zawierającej ustalenia i zalecenia Komisji.

Analizę właściwej sprawy objętej skargą a wyznaczonej datą początkową 13 grudnia 1981 poprzedzają dwa rozdziały o charakterze rekapitulacyjno-wprowadzającym. Pierwszy z nich omawia szczegółowo całość ustawodawstwa PRL w materii związkowej od roku 1949; nie ogranicza się przy tym do aktów dotyczących w całości i bezpośrednio spraw związkowych (jak kolejne ustawy o związkach zawodowych), ale uwzględnia wszystkie przepisy dotyczące tych spraw, a rozsiane po całym ustawodawstwie, od Konstytucji poprzez ustawodawstwo stanu wojennego i stanu jego zawieszenia aż do tzw. ustawy o pasożytach z 26 października 1982. Nie wykraczając poza czysty opis, Komisja przytacza długą listę zastrzeżeń sformułowanych przez Biuro MOP pod adresem nowej ustawy o związkach z 8 października 1982 i zakomunikowanych rządowi PRL. — Rozdział następny przypomi-

na układy gdańskie, podając ich treść, wprowadzenie w PRL pluralizmu związkowego, rejestrację Solidarności, wystąpienie delegacji polskiej na Konferencji Ogólnej MOP w roku 1981 i wreszcie przytacza w obszernym streszczeniu program Solidarności uchwalony na kongresie gdańskim w październiku 1981.

Po tym obramowaniu prawnohistorycznym Komisja przechodzi do właściwego przedmiotu skargi, tj. do zarzutu pogwałcenia przez PRL konwencji nr 87 i 98, który rozpatruje w oparciu o całość będącego w jej dyspozycji materiału: odnośnego ustawodawstwa PRL, całej dokumentacji przedstawionej uprzednio Komitetowi wolności związkowej, informacji zebranych przez przedstawicieli MOP w ramach ich wielokrotnych misji w Polsce, dokumentacji przedstawionej Komisji przez skarżących, rządu i organizację pracobiorców i pracodawców i wreszcie oświadczeń i zeznań złożonych przed Komisją w postępowaniu ustnym. W nieobecności rządu PRL, jego stanowisko uwzględnione jest w całej rozciągłości na podstawie jego oświadczeń pisemnych i ustnych złożonych Komitetowi wolności związkowej, informacji udzielonych przedstawicielom MOP w czasie ich misji w Polsce, raportów o wykonywaniu konwencji nr 87 i 98 (ostatni taki raport przekazany został organizacji w kwietniu 1984!) i deklaracji przed komisją stosowania konwencji w ramach konferencji ogólnych. Charakter kontrydiktoryjny postępowania został zatem maksymalnie zachowany.

Cały ten olbrzymi materiał omówiony jest w rozdziałach traktujących: o zawieszeniu i rozwiązaniu związków, łącznie z zagadnieniem majątku związkowego; o internowaniu (z uwzględnieniem specjalnych obozów wojskowych), przesłuchaniach, wyrokach i postępowaniu karnym w stosunku do przywódców i członków Solidarności, ze szczególnym uwzględnieniem aktów brutalności; o wypadkach śmierci działaczy i przywódców związkowych; o dyskryminacji wobec związkowców we wszystkich jej przejawach (usuwanie z pracy, brak lub nieskuteczność instancji odwoławczych, „weryfikacja” na wszystkich szczeblach, deklaracje lojalności, kontrola rządowa nad administracją i sądownictwem z uwzględnieniem represji w stosunku do sędziów, presja na zakłady naukowe i prasę i wreszcie zagrożenie pracowników, zwłaszcza usuniętych z pracy, ustawą o „pasożytach” z 26 października 1982); o obecnej sytuacji związkowej w PRL z obszernym uwzględnieniem ustawy z 8 października 1982, charakteru, liczebności i roli nowych związków zawodowych, i wreszcie o dalszej działalności Solidarności we wszystkich jej przejawach (program, organizacja, prasa podziemna, pomoc prześladowanym i ich rodzinom, etc.). Wszystkie te rozdziały kończą się niezmiennie rubryką: „stanowisko rządu polskiego”.

Materiał jest przedstawiony z maksymalnym obiektywizmem, w sposób wyważony i bezstronny, z niesłychaną dokładnością i precyzją, wyrażającą się m.in. w każdorazowym przytaczaniu źródła. W całej tej części Komisja nie zajmuje stanowiska, ograniczając się wyłącznie do systematycznego zreferowania całości materiału. (A przecież — czy może właśnie dlatego — obraz który wyłania się z tej całkowicie beznamietnej narracji jest wstrząsający).

W czwartej i ostatniej, a kluczowej części dokumentu, Komisja zabiera głos.

Przed przejściem do meritum sprawy, zajmuje się odmową PRL uczestniczenia w postępowaniu. Przypominając wszystkie bezskuteczne apele, jakie skierowała do tego rządu, podkreśla, że bojkot procedury stanowi pogwałcenie zobowiązania międzynarodowego zawartego w art. 27 konstytucji MOP a nakładającego na wszystkie państwa członkowskie obowiązek współpracy z Komisją.

Negatywna postawa rządu narzuca Komisji konieczność podjęcia dwóch zagadnień: po pierwsze, wysuniętych przez rząd motywów odmowy, po wtóre, jej skutków praktycznych w dziedzinie ustalenia faktów.

W punkcie pierwszym Komisja stanowczo odrzuca twierdzenie rządu jakoby procedura skargi stanowiła ingerencję w wewnętrzne sprawy PRL i jakoby zdecydowały o niej motywy polityczne — i wyjaśnia sprawy elementarne: MOP została powołana do życia w celu poprawy warunków pracy i popierania wolności związkowej wewnątrz państw. Tym samym sprawy którymi zajmuje się organizacja w tych dziedzinach przestały należeć do wyłącznej jurysdykcji (*domaine réservé*) państw; jej działalność nie stanowi niedozwolonej ingerencji ale przeciwnie, wywiązywanie się z otrzymanego od członków mandatu. Gdyby przyjmując rozumowanie rządu, wszelka działalność, mała tego, samo istnienie MOP stanowiłoby ingerencję w sprawy wewnętrzne państw. Zarzut rządu w tym punkcie jest więc pozbawiony wszelkiego znaczenia prawnego i nie może ani usprawiedliwić bojkotu postępowania, ani zwolnić rządu z konstytucyjnego obowiązku postawienia do dyspozycji Komisji wszelkich materiałów dotyczących skargi. Z obowiązku współpracy z Komisją wywiązały się dotychczas wszystkie kraje Afryki, Ameryki i Europy w analogicznych sytuacjach. Sprawa obecna jest jedyną, w której obwiniony rząd całkowicie pogwałcił to zobowiązanie. — Jeśli zaś idzie o rzekome polityczne motywy skargi, Komisja stwierdza, że działa w ramach konstytucyjnych i nie może odmówić rozpatrzenia skargi z racji rzekomej, nigdzie zresztą nieujawnionej

motywacji politycznej skarżących. Motywy zresztą są tu zupełnie obojętne; rzeczą Komisji nie jest badanie ewentualnych takich czy innych politycznych aspektów sprawy, ale wyłącznie sądowe stwierdzenie naruszenia lub nienaruszenia konwencji. Również i ten zarzut rządu PRL jest więc całkowicie bezpodstawny.

W punkcie drugim Komisja, przypominając że ani jej powołanie, ani jej funkcjonowanie nie zależą od zgody obwinionego rządu, podkreślając raz jeszcze pogwałcenie przez rząd obowiązku współpracy, stwierdza że w braku takiej współpracy wzięła systematycznie pod uwagę wszystkie informacje dostarczone uprzednio przez rząd różnym organom MOP, wszystkie jego tezy i wszystkie teksty oficjalne. Co więcej, w czasie rozprawy ustnej Komisja ze szczególną troską informowała się o sprawy do których w poprzednich swoich wystąpieniach rząd przywiązywał wagę. Komisja uważa więc, że dysponuje dokumentacją całkowicie wystarczającą do oceny sytuacji.

Po tych preliminariach Komisja przechodzi do sformułowania wniosków dotyczących meritum sprawy.

Żadna z powołanych konwencji — stwierdza Komisja — nie zawiera klauzuli derogacyjnej pozwalającej na uchylenie się od płynących z nich obowiązków z powołaniem się na stan wyjątkowy. Co więcej, powołanie się na taki stan przed instancją międzynarodową celem usprawiedliwienia ograniczeń swobód obywatelskich, niezbędnych dla efektywnego wykonywania praw związkowych, mogłoby być dopuszczalne wyłącznie w warunkach najwyższego zagrożenia a i to pod warunkiem ograniczenia środków nadzwyczajnych do ścisłego minimum. Dane w posiadaniu Komisji nie pozwalają jej stwierdzić zaistnienia w Polsce sytuacji, która mogłaby usprawiedliwić czasowe nieprzestrzeganie konwencji. Nie dostarczył takich danych w szczególności rząd PRL. Ale nawet gdyby przyjąć istnienie sytuacji wyjątkowej w grudniu 1981, nawet wówczas całkowita eliminacja całego ruchu związkowego przekroczyłaby granice dyktowanych przez taką sytuację posunięć.

Ta całkowita likwidacja struktur związkowych została przeprowadzona w dwóch etapach: zawieszenia i rozwiązania. Komisja przytacza argumenty rządowe o grożącej wojnie domowej, o konieczności zaprowadzenia ładu i spokoju, o ześlizgnięciu się Solidarności pod wpływem elementów ekstremistycznych na drogę walki o władzę i obalenia siłą ustroju, etc. Informacje pochodzące od oskarżenia i ze wszystkich innych źródeł mówią co innego. Sprzeczność taka narzuca pytanie, czy Solidarność porzuciła cele i działalność związkową w takim stopniu, że nie mogła być nadal uważana za organizację związkową.

Odpowiedź na to pytanie Komisja poprzedza sprecyzowaniem zasad w dwóch trudnych sprawach: granic wolności związkowej i działalności politycznej związków.

Wolność związkowa nie może być nieograniczona i związki nie mogą ignorować istniejących w państwie norm. Ale normy te nie mogą ze swej strony odebrać działalności związkowej jej istotnego sensu i pozbawić ją treści. To „podwójne ograniczenie” wyraża artykuł 8 konwencji nr 87. Tych dwóch reguł nie wolno rozdzielać.

Jeśli idzie o ogromnie delikatną sprawę działalności politycznej związków, jest rzeczą jasną, że muszą one w pierwszym rzędzie dbać o interesy zawodowe swoich członków; jednak działalność ta nie może być pojmowana restryktywnie: związki muszą mieć możliwość manifestowania swojej opinii odnośnie polityki gospodarczej i społecznej rządu. Nieunikniona „przenikalność” elementów politycznego i społecznego musi jednak mieć swoje granice; zostały one sprecyzowane w rezolucji Konferencji Ogólnej z roku 1952 i dotyczą zarówno rządu jak związków: rząd powinien być świadom, że wartość współpracy związków zależy od ich wolności i niezależności i dlatego nie powinien próbować przekształcenia ich w instrument polityczny; związki zaś winny baczyć, aby ewentualna akcja polityczna, którą uważają za niezbędną dla realizacji swych celów gospodarczych i społecznych, nie zagroziła ciągłości ruchu związkowego, jakiegokolwiek zmiany polityczne mogłyby zająć w kraju. Ta pozytywna i konstruktywna działalność związkowa wymaga atmosfery wolności i bezpieczeństwa. W braku podstawowych swobód niezbędnych dla pełnienia ich funkcji, związki mają więc prawo domagać się uznania i praktykowania tych swobód i takie żądania winny być uznane jako wchodzące w skład uprawnionej (*légitime*) działalności związkowej.

W świetle takich zasadniczych ustaleń Komisja przypomina rezolucje i decyzje Solidarności i oświadczenia jej przywódców, zatrzymując się w szczególności na programie gdańskim, określającym Solidarność jako organizację o charakterze związku zawodowego i wielkiego ruchu społecznego. Niewątpliwie niektóre tezy, jak np. koncepcja „Rzeczypospolitej samorządnej”, należą raczej do programu politycznego niż związkowego. Niemniej większość punktów programu dotyczy polityki gospodarczej, ochrony pracy, polityki społecznej, obrony wolności publicznych nieodzownych dla działalności związkowej, zatem normalnych spraw związkowych, zwłaszcza w krajach, w których państwo jest głównym pracodawcą. Jest prawdopodobne że, jak to może mieć miejsce w każdej organizacji politycznej czy związkowej, indywidualne wypowiedzi niektórych zwolenników czy działaczy Soli-

darności mogły mieć charakter wybujały (*excessif*). Organizacja jako całość nie ponosi za nie w żadnym wypadku odpowiedzialności. Co więcej, nie przedłożono Komisji cienia dowodu, jakoby grupy Solidarności były w posiadaniu broni, nie dostarczył go także rząd w przewodzie przed Komitetem wolności związkowej. Komisja jest więc zdania, że zawieszenie i późniejsze rozwiązanie istniejących organizacji zawodowych stanowią posunięcia najcięższej wagi (*d'une gravité exceptionnelle*), całkowicie nieproporcjonalne do wybuchów (*débordements*), które mogły tu i ówdzie mieć miejsce. Jeśli rząd uważał, że sytuacja jest poważna, to właściwą drogą rozwiązania problemów była nie likwidacja związków ale przeciwnie, szczerze i otwarte z nimi rokowania. Jeśli istotnie niektórzy członkowie związku przekroczyli właściwą miarę, można było wszcząć wobec nich postępowanie według litery prawa i w ramach normalnej procedury sądowej, zamiast uciekać się do zawieszenia a potem do likwidacji całości ruchu związkowego.

Odrzuciwszy w ten sposób motywację rządową, Komisja przechodzi do oceny jego konkretnych posunięć. Zawieszenie działalności związków w drodze administracyjnej stanowi jawne pogwałcenie artykułu 4 konwencji nr 87, który takiej drogi zabrania. Jeśli zaś idzie o rozwiązanie związków, Komisja przypomina, że zostało ono dokonane w dwojaki sposób. Niektóre stowarzyszenia zawodowe jak Związek Dziennikarzy Polskich, Związek Polskich Artystów Plastyków i Związek Literatów Polskich zostały rozwiązane w drodze administracyjnej, czyli znowu z jawnym pogwałceniem cytowanego artykułu konwencji. Związki zaś zostały rozwiązane w drodze ustawy, przy czym rząd bronił tej decyzji, powołując się na to że art. 4 konwencji zakazuje rozwiązania wyłącznie drogą administracyjną. Jeśli nawet prawdą jest, stwierdza Komisja, że cytowany artykuł wyklucza wyraźnie tylko drogę administracyjną, to pozostaje faktem, że rozwiązanie w drodze ustawodawczej jest równie nieodwracalne co w drodze administracyjnej, skoro ani w jednym ani w drugim wypadku nie istnieje odwołanie i że obie te drogi wykluczają prawo obrony, które może zagwarantować jedynie regularna procedura sądowa. Sprawą zasadniczą jednak jest fakt pozbawienia pracowników prawa afiliacji do związków zawodowych, które sobie sami z własnego wyboru, swobodnie i legalnie stworzyli w roku 1980. Rozwiązanie związków jest więc pogwałceniem przewidzianych w konwencji gwarancji swobodnego wyboru organizacji przez pracowników i stoi w sprzeczności z artykułem 8 konwencji, który głosi że ustawodawstwo krajowe nie może ani łamać tych gwarancji ani być stosowane w sposób, który je łamie.

Komisja przechodzi następnie do zagadnienia majątku zwią-

kowego. Z orzecznictwa organów MOP wynika, że w razie rozwiązania związku jego majątek winien być albo rozdzielony pomiędzy jego członków, albo przekazany nowemu związkowi, pod warunkiem wszelako że ten nowy związek ma te same cele co związek rozwiązany i realizuje je w tym samym duchu. Stąd pytanie, czy nowe związki zawodowe w PRL są sukcesorami związków rozwiązanych. Z dokumentacji przedstawionej Komisji wynika, że Solidarność w dalszym ciągu i w sposób stały działa na terenie całego kraju, nie uznając nowych związków za swoje. W tych warunkach rozporządzenie majątkiem rozwiązanych związków przez rząd jest przeciwnie zasadam wolności związkowej w tej materii. Komisja przypomina tutaj akty niszczenia majątku związkowego w pierwszym okresie stanu wojennego i kwalifikuje je również jako sprzeczne z konwencją.

Komisja omawia następnie obszernie sprawy internowania, aresztowań i wyroków. Sprawy te należy rozpatrzyć w świetle artykułu 3 konwencji nr 87, stanowiącego obowiązek władz wstrzymania się od wszelkiej interwencji mogącej ograniczyć czy uniemożliwić korzystanie z praw związkowych. Wolności związkowe nie mogą istnieć efektywnie bez poszanowania podstawowych swobód obywatelskich. Konwencja nr 87 nie pozbawia władzy jej uprawnień dotyczących ładu publicznego w stosunku do związkowców popełniających czyny przestępcze i nie stwarza dla nich żadnego immunitetu. Natomiast zakazuje ona pozbawiania związkowców wolności czy to z przyczyn związanych z ich uprawioną działalnością związkową, czy to w celu jej uniemożliwienia. W wypadku oskarżenia związkowców o przestępstwa polityczne czy pospolite, mają oni prawo do regularnej procedury sądowej w najkrótszych terminach.

Komisja musi zatem zbadać motywę internowania. Twierdzenie rządu, jakoby internowanie zostało spowodowane działalnością polityczną, nie zaś związkową internowanych, nie zostało poparte żadnym konkretnym dowodem. Jeśli wziąć pod uwagę, że wśród internowanych znalazła się ogromna większość przywódców ogólnokrajowych i bardzo wielu przywódców regionalnych, trudno wyobrazić sobie, aby tak wielka ilość związkowców była zaangażowana w działalność godzącą w bezpieczeństwo czy obronność państwa, zwłaszcza jeśli się uwzględni omówiony już, a zdecydowanie związkowy program Solidarności. Co więcej, w dalszym przebiegu zdarzeń nie wszczęto żadnego postępowania wobec ogromnej większości internowanych. Wszystko to wskazuje że, pozbawiając wolności większość przywódców Solidarności, rząd zmierzał do likwidacji działalności i rozwoju ruchu związkowego, a tym samym pogwałcił artykuł 3 konwencji nr 87.

Komisja podkreśla ograniczony zakres amnestii z lipca 1983



i podnosi w tym kontekście sprawę siedmiu czołowych przywódców Solidarności i czterech działaczy KOR-u: postępowanie przeciwko nim zostało wszczęte mimo tzw. „ustawy abolicyjnej” według której nikt nie może być ścigany za działalność sprzed 13 grudnia 1981 i mimo, że nie mogli oni popełnić zarzucanych im czynów po tej dacie, skoro byli internowani od pierwszej chwili stanu wojennego.

Procesy, w których zapadły wyroki przeciw związkowcom, dotyczyły organizacji strajków i uczestnictwa w nich oraz rozpowszechniania wydawnictw Solidarności. Jedno i drugie stanowi, zdaniem Komisji, działalność związkową. Jeśli nawet prawo strajku nie figuruje w konwencji, zostało ono uznane przez orzecznictwo organów kontrolnych MOP za jeden z zasadniczych środków w dyspozycji organizacji związkowych dla obrony ich praw. Podobnie wolność słowa stanowi integralną część praw związkowych. Zakaz strajku i publikacji stanowi zatem pogwałcenie artykułu 3 konwencji nr 87.

Komisja przypomina wreszcie akty brutalności w stosunku do osób pozbawionych wolności. Dane dostarczone w tej sprawie przez rząd były niezwykle skąpe, natomiast ogromna dokumentacja (Komisja cytuje m.in. sprawozdanie sekcji lekarskiej przy Prymasowskim Komitecie pomocy więźniom) i zeznania świadków wskazują, że minimalne wymogi traktowania więźniów nie zawsze były przestrzegane, a skargi nie tylko nie odnosiły skutku, ale często powodowały represje wobec samych ofiar. Z ostatnich dokumentów przedłożonych przez oskarżenie wynika, że akty brutalności nie ustały. Co więcej, wydaje się że winni nie zostali ukarani w sposób dostatecznie surowy, aby zapobiec powtarzaniu się podobnych aktów w przyszłości.

Dokumentacja w posiadaniu Komisji wskazuje, że wielu działaczy związkowych poniosło śmierć czy to w okresie strajków grudniowych w 1981, czy podczas demonstracji Solidarności w roku 1982 czy wreszcie wskutek aktów brutalności w stosunku do aresztowanych. Mimo przekazania listy nazwisk rządowi, ten ostatni nie dostarczył żadnego wyjaśnienia na ten temat, z wyjątkiem wydarzeń w kopalni Wujek, zakwalifikowanych przez prokuraturę jako obrona konieczna sił porządkowych. Rozliczne a bardzo szczegółowe dane wskazują, że oprócz praw związkowych również i prawo do życia i nietykalności osobistej zostało pogwałcone w PRL. Brak natomiast wszelkich danych o bezstronnych dochodzeniach, które pozwoliłyby ustalić odpowiedzialność i ukarać winnych.

Jeśli idzie o dyskryminację antyzwiązkową, zwłaszcza masowe zwolnienia z pracy, Komisja oczywiście nie może stwierdzić, że

wszystkie te posunięcia miały charakter antyzwiązkowy; nie może również nie uwzględnić obecnej trudnej sytuacji gospodarczej w Polsce, mogącej narzucać pewne posunięcia o charakterze adaptacji. Niemniej rozmiar zjawiska i fakt, że dotyczyło ono głównie działaczy i przywódców Solidarności wskazuje, że właśnie działalność związkowa stanowiła element decydujący. Gwarrantje przewidziane przez Kodeks pracy nie były w pełni stosowane, przynajmniej w okresie stanu wojennego, i nie wydaje się aby instancje odwoławcze orzekały w warunkach niezależności. Ochrona pracowników nie została więc dostatecznie zapewniona w świetle artykułu 1 konwencji nr 98, który stanowi że „pracownicy muszą mieć zapewnioną wystarczającą ochronę przed wszelkimi aktami dyskryminacji zmierzającymi do naruszenia wolności związkowej w dziedzinie zatrudnienia”.

Komisja omawia następnie szczegółowo obecne ustawodawstwo związkowe w PRL. Przyznając, że ustawa z 8 października 1982 stanowi krok naprzód w porównaniu z ustawą z roku 1949, Komisja analizuje wszystkie jej aspekty: kategorie pracowników wyłączone z prawa związkowego, prawo zakładania związku bez uprzedniego zezwolenia, pluralizm związkowy, prawo związków do niezależnego opracowania statutów i niezależnej działalności, reglamentację prawa strajku, prawo federacji międzyzwiązkowych, prawo rokowań zbiorowych i wreszcie procedurę rozwiązywania związków. W niemal wszystkich tych punktach Komisja stwierdza albo niezgodność ustawy z konwencjami, albo takie jej sformułowanie które, unikając wyraźnej z nimi sprzeczności, daje możliwość naruszenia ich w praktyce.

Ostatnie uwagi Komisja poświęca obecnej sytuacji związkowej w PRL. Według posiadanych przez nią danych, nowe związki liczą obecnie 4 miliony członków, w czym jedna trzecia emerytów, na ogólną liczbę 17 milionów, w tym 3 milionów emerytów, kwalifikujących się do przystąpienia do związków. Ze swej strony oskarżenie i jego świadkowie podkreślają dalszą działalność Solidarności, mocno zakorzenionej we wszystkich częściach kraju, mającej 1.200.000 członków czynnych, uprawiającej działalność natury społecznej i obrony praw człowieka i wydającej poważną ilość publikacji. Skarżący i świadkowie oceniają nowe związki jako zależne od władz, partii a nawet wojska i powstałe pod wpływem nacisków zarówno pozytywnych (podwyżka płacy, korzyści różnego rodzaju) jak negatywnych (groźby pod adresem pracowników).

Komisja nie jest w stanie ocenić z należyłą precyzją reprezentacyjnego i niezależnego charakteru nowych związków. Istnieją jednakowoż dane, pozwalające ocenić, czy odpowiadają one w

pełni aspiracjom polskiego świata pracy. Z jednej strony, dzięki sporej liczbie członków, związki te na pewno osiągnęły pewien stopień reprezentatywności. Z drugiej strony jest rzeczą oczywistą, że wielka ilość pracowników w dalszym ciągu darzy zaufaniem Solidarności i nawet do niej należy mimo trudności i ryzyka jakie pociąga za sobą udział w rozwiązanej organizacji. Komisja musi wreszcie wziąć pod uwagę wspólne oświadczenie głównych przywódców wszystkich organizacji związkowych jakie istniały przed stanem wojennym, domagające się niezależności organizacji i pluralizmu związkowego. Wszystko to wskazuje, że część ludności pracującej nie uznaje za swoją obecnej struktury związkowej i że w rezultacie sytuacja obecna nie daje pracownikom możliwości przystąpienia do organizacji ich własnego wyboru, jak tego żąda artykuł 2 konwencji nr 87.

Dokonawszy takich ustaleń prawnych, Komisja przechodzi do zaleceń. Zważywszy że niezależność związkowa zależy w wielkiej mierze od uznania i poszanowania podstawowych wolności obywatelskich, pierwsze jej zalecenia dotyczą prawa człowieka do wolności i bezpieczeństwa. Komisja zaleca więc przede wszystkim umorzenie postępowania przeciw przywódcom związkowym i uwolnienie wszystkich osób skazanych za działalność związkową taką jak uczestnictwo w strajkach czy manifestacjach i rozpowszechnianie wydawnictw. Komisja zaleca również wszczęcie niezależnego i bezstronnego śledztwa w sprawie wypadków śmierci związkowców, w celu wyjaśnienia faktów, ustalenia odpowiedzialności i ukarania winnych, gdyż tylko w ten sposób będzie można uniknąć powtórzenia się tak tragicznych wydarzeń.

Odnośnie dyskryminacji antyzwiązkowej, pod wrażeniem ogromnej liczby pozbawionych pracy związkowców Komisja zaleca ponowne, niezależne i bezstronne zbadanie ich sytuacji.

Odnośnie ustawodawstwa związkowego Komisja zaleca jak najrychlejszą nowelizację obowiązujących obecnie ustaw celem jasnego i pełnego zapewnienia praw przewidzianych w konwencjach nr 87 i 98. W wypadku przepisów, których zgodność z konwencjami zależy od sposobu ich stosowania, Komisja zaleca zagwarantowanie takiego właśnie ich stosowania.

Odnośnie mienia związkowego Komisja jest zdania, że zgodne z zasadami wolności związkowej załatwienie tej sprawy będzie możliwe dopiero po przywróceniu pluralizmu związkowego; zaleca więc opracowanie planu rozdziału tego mienia między prawnymi sukcesorami rozwiązanych organizacji.

Komisja zaleca rządowi regularne informowanie MOP o środkach podjętych celem wykonania tych jej zaleceń.

Wszystkie zalecenia Komisji muszą być rozpatrywane w ra-

mach istniejącej w PRL sytuacji, której nie sposób uznać za normalną a tym mniej za zadowalającą. Mimo pewnego uspokojenia, uchwalenia nowej ustawy związkowej, zniesienia stanu wojennego, amnestii i zwolnienia większości osób pozbawionych wolności, napięcia i trudności nie znikły. Ciągłe jeszcze związkowcy są aresztowani i skazywani, swobody obywatelskie nie przywrócone, ustawodawstwo pracy restryktywne, sytuacja gospodarcza bardzo trudna. Napięcie trwa i wydaje się, że wielka część ludności zachowuje przywiązanie do zasad i organizacji związkowych uznanych w okresie od sierpnia 1980 do grudnia 1981.

Wyjście z impasu wymaga wysiłku wszystkich zainteresowanych. Komisja zdaje sobie sprawę z trudności pogodzenia pluralizmu związkowego z systemem politycznym czy to monopartyjnym czy polegającym na przywództwie jednej partii. Jest jednak przekonana, że można pogodzić efektywne poszanowanie konwencji o wolności związkowej z interesami i systemem PRL, jak to zresztą wykazało ustawodawstwo i praktyka polska w niedawnym okresie. Rozwiązanie stojących przed rządem trudności nie powinno być niemożliwe.

W konkretnym przypadku Komisja musi stwierdzić, że sprawy wolności związkowej, których zbadanie zostało jej powierzonych, zależą w znacznej mierze od ogólnej ewolucji kraju. Modyfikacja istniejących ustaw jest warunkiem koniecznym, ale nie wystarczającym. „Efektywne stosowanie konwencji o wolności związkowej nie jest tylko sprawą tekstów. Zależy ono w ogromnej mierze od kontekstu ogólnego, od stosunków między pracownikami, pracodawcami i władzą i od klimatu wolności, dialogu i wzajemnego szacunku, w którym te stosunki się rozwijają”. Komisja jest zdania, że jednym z pierwszych kroków w tej dziedzinie powinno być otwarcie swobodnej i wolnej od uprzedzeń wymiany poglądów między władzą a przedstawicielami różnych prądów związkowych, które powstały w ostatnich latach. To zalecenie kieruje się głównie do rządu z tytułu posiadanej przez niego władzy. Komisja sądzi jednak, że przywódcy różnych prądów związkowych winni ze swej strony dokonać równoległego wysiłku odtworzenia porozumienia narodowego. Potrzebny jest tedy otwarty i konstruktywny dialog między różnymi reprezentatywnymi elementami kraju.

Dialog taki wymaga nieodzownie klimatu zaufania i wolności. Pierwsze posunięcia rządu, takie jak zawieszenie stanu wojennego i zwolnienie większości osób pozbawionych wolności, mogłyby stanowić kroki w tym kierunku, gdyby nastąpiła po nich amnestia i uwolnienie wszystkich pracowników jeszcze uwięzionych czy już skazanych, zniesienie wszystkich zarządzeń wyją-

kowych i pełne przywrócenie wolności słowa i zgromadzeń. Normalne życie związkowe wymaga usunięcia wszelkiego poczucia ucisku wśród pracowników, władze winny tedy być świadome konieczności przywrócenia w pełni swobód obywatelskich wymienionych w rezolucji ogólnej Konferencji Pracy z roku 1970.

„Droga którą zaleca Komisja na pewno nie jest najłatwiejsza. Wydaje się jednak, że jest to droga, której pragnie naród polski. Nie może być przebyta z dnia na dzień. Ale przecież jest to jedyna droga która, zapewniając poszanowanie konwencji o wolności związkowej, może zarazem umożliwić Polsce odzyskanie jedności i otwarcie nowego rozdziału w jej długiej a tak często bolesnej historii”.

Streszczony tu raport Komisji należy zaliczyć do dokumentów najwyższej rangi w dziedzinie orzecznictwa międzynarodowego. Jest pełen powagi. Jest wyrazem wielkiej wiedzy i znakomitej techniki prawniczej. Opiera się na olbrzymiej i solidnej a gruntownie przeanalizowanej dokumentacji. Ujęty jest w ramy żelaznej konstrukcji. Jest precyzyjny do ostatnich granic. Jest wyważony, spokojny, pełen umiaru i absolutnie stanowczy zarówno w jednoznacznym stwierdzeniu pogwałcenia przez rząd PRL obowiązujących konwencji jak i w pozytywnych zaleceniach. Nade wszystko, daje świadectwo prawdzie.

#### 4. Ile dywizji ma MOP?

Ani jednej. Cóż zatem — zapyta sceptyk — z najpiękniejszego wyroku, który daje tyleż satysfakcji zawodowej fachowcowi, ile zadośćuczynienia moralnego każdemu przyzwoitemu człowiekowi?

Wypada zatem zastanowić się nad konsekwencjami i przyrzec się przede wszystkim ich aspektowi formalnemu. Według konstytucji MOP, rząd PRL dysponuje okresem trzech miesięcy, w ciągu których ma obowiązek zawiadomienia dyrektora generalnego, czy przyjmuje zalecenia Komisji. W wypadku odmowy ich przyjęcia konstytucja przewiduje, że „Rada Administracyjna będzie mogła zalecić Konferencji takie kroki, jakie uzna za słuszne celem zapewnienia wykonania tych zaleceń” (Art. 33). Jest to formuła niesłychanie szeroka i elastyczna i nie na czasie byłaby w tej chwili spekulacja, jaką Rada Administracyjna i Konferencja wypełnią ją treścią. Jedno wydaje się pewne: instancje MOP nie zdejmą sprawy polskiej z porządku dziennego.

Zostają aspekty natury nieformalnej. Trzeba z całą jasnością, bez euforii i bez sceptycyzmu, zdać sobie sprawę z wagi wydarzenia. Odbył się wielki proces międzynarodowy przeciw rządowi

PRL, przed konstytucyjną instancją organizacji międzynarodowej, powołanej do obrony świata pracy, ze skargi robotniczej, i o pogwałcenie konkretnych norm prawnych, przy udziale sześciu rządów, obu wielkich wolnych central związkowych, poszczególnych związków i działaczy, w ramach formalnej procedury — i rząd PRL ten proces przegrał. Przegrał go na oczach zorganizowanej opinii robotniczej świata.

Konkretne rezultaty tego wydarzenia należy ocenić na krótką i na długą metę. Na krótką metę oznacza ono dalsze usztywnienie światowej opinii publicznej, zwłaszcza robotniczej, czyli dalsze nasilenie presji na władze PRL w ramach zjawiska, które Wilfred Jenks określał jako „mobilizację wstydu”. Oznacza zarazem ogromny sukces moralny dla opozycji w Kraju. Nie wolno tego nie doceniać. Na długą metę raport Komisji może — nie musi — przynieść coś więcej. Nie wiadomo czy rząd PRL zerwie z MOP, co w żadnym wypadku nie będzie decyzją autonomiczną, albowiem decyzje tego kalibru pobiera się w centrali. Wiadomo natomiast, że MOP nie zerwie z PRL, bo nie od tego jest ani organizacja ani Komisja ani raport, który nie zamyka żadnych drzwi; przeciwnie, otwiera możliwości wyjścia z impasu.

Nie tu miejsce na dyskusję o maksymalnych polskich postulatach. Ale nikt rozsądny nie może wykluczyć — jak i nie może prorokować — możliwości zmiany ekipy rządzącej w PRL, jakich przeżyliśmy już sporo. Nie można wykluczyć, że taka nowa ekipa, rozumniejsza i bardziej pragmatyczna, zechce oprzeć się na zaleceniach raportu i na współpracy z MOP i dokonać odwrotu od polityki wyznaczonej datą 13 grudnia 1981, przy względnym zachowaniu twarzy, jakie może jej dać patronat organizacji. Nie należy zapominać, że rząd PRL wielokrotnie negocjował z MOP, że jeszcze po ogłoszeniu stanu wojennego współpracował z jej organami kontrolnymi, że jeszcze po 8 października 1982 konsultował z nią nową ustawę związkową i przynajmniej częściowo podporządkowywał się jej ocenom i postulatom. Istnieje więc pewna PRL-owska tradycja współpracy z organizacją, której podjęcie na nowo nie byłoby niczym nowym ani rewolucyjnym.

W sumie: nie ma dywizji, ale jest wydarzenie ogromnej politycznej, prawnej i moralnej wagi i jest jakaś szansa na przyszłość przy choć trochę sprzyjających warunkach.

### III. Refleksje końcowe

Przedstawiony powyżej obraz wymaga pewnych uwag uzupełniających.

Wydaje się przede wszystkim konieczne podkreślenie tego aspektu wydarzeń z sierpnia 1980, który jest chyba do dziś dnia niedostatecznie dostrzeżony i doceniony. Idzie o to, że w perspektywie MOP stała się rzecz bez precedensu: po raz pierwszy w bloku sowieckim pojawił się konkretny „podopieczny” i konkretny partner.

Przypomnijmy: MOP nigdy nie odpisała tej części świata na straty: czy to z inicjatywy wolnych związków zawodowych, czy własnych organów kontrolnych, wszelkimi dostępnymi sposobami próbowała przebić wiadomy mur i upominać się o realizację swoich celów w najbardziej niesprzyjających warunkach. Mogła to czynić li-tylko w oparciu o abstrakcyjne zasady i w obronie milczących i anonimowych mas. Nikt stamtąd nie wołał o pomoc. Nikt tam nie miał nazwy, twarzy, rzeczników i organizacji. Nikt stamtąd nie dopominał się formalnie o swoje prawa.

Powstanie Solidarności stanowiło samo przez się wyjście z milczenia, z anonimowości, *ergo*, z pozornej zgody świata pracy na los, który przypadł mu w udziale w tamtej części świata. Mało tego. Nie wiadomo który dobry duch powiedział stoczniovcóm o MOP i o konwencjach nr 87 i 98. Ale wiadomo, że od pierwszej chwili robotnicy polscy oddali swój związek i swoje sprawy pod opiekę prawa międzynarodowego — onychże konwencji — i organizacji, która jest ich twórcą i stróżem, i że tej linii trzymali się i trzymają konsekwentnie, od układów gdańskich poprzez rejestrację w sądzie warszawskim, na przekór katastrofie grudniowej po dzień dzisiejszy. Tym samym, po raz pierwszy w tamtej części świata stworzyli organizacji możliwości działania, jakich nie miała nigdy przedtem: pomocy konkretnym ludziom, konkretnemu związkowi w okresie jego legalnego istnienia, obrony tychże ludzi, tegoż związku po katastrofie. Odnotujemy to wydarzenie bez przesady jako historyczne i bez łatwego optymizmu jako ważne na przyszłość.

Bez tego wydarzenia nie byłoby zatem „sprawy polskiej w MOP” na największą skalę i na najwyższym szczeblu, bez niego mechanizmy obrony robotników polskich przez organizację nie mogłyby zostać uruchomione w całej pełni. To podstawowe stwierdzenie nie zwalnia z obowiązku poinformowania dzisiejszego czytelnika i przyszłego historyka o wszystkich innych czynnikach, które złożyły się na sukces sprawy.

Zanotujmy przede wszystkim własny wkład polski: niezmor-dowany, długofalowy wysiłek brukselskiego Biura Solidarności, rolę polskich świadków, którzy zeznawali przed Komisją z powagą, umiarem i poczuciem odpowiedzialności, nade wszystko zaś stałą pomoc z Kraju w postaci bezcennej dokumentacji, gro-

madzonej, opracowywanej i przekazywanej w najcięższych warunkach.

W sytuacji w której Solidarność została pozbawiona możliwości bezpośredniego działania, sprawę polską wzięli w ręce robotnicy i związkowcy wolnego świata w imię międzynarodowej solidarności świata pracy. Im wszystkim, indywidualnym działaczom, poszczególnym związkom i centralom krajowym, wielkim centralom międzynarodowym należy się nasza głęboka wdzięczność. Nie sposób wymienić ich wszystkich w ramach tej wielkiej związkowej mobilizacji, ale należy przekazać historii nazwisko Marc Blondela, który niósł na swoich barkach cały ciężar i całą odpowiedzialność oskarżenia.

Nie wolno także pominąć i nie docenić udziału w postępowaniu wszystkich sześciu rządów zachodnich, zaproszonych przez Komisję, a który jest niewątpliwie wyrazem rozgłosu sprawy polskiej i stosunku do niej demokracji zachodnich.

Organizacja sama zmobilizowała wszystkie swoje mechanizmy i dała wszystko co dać mogła. Wszystkie jej organy i osobistości zaangażowane w sprawę — dyrektor generalny, Rada Administracyjna, Komitet wolności związkowej — wykonały swój obowiązek w całej pełni. Nikt nie poddał się żadnym obcym sprawie względem, nikt nie dał się zastraszyć, nikt nie uległ presjom. W świecie organizacji międzynarodowych, jakże często skorumpowanych i sprzeniewierzonych własnej misji, MOP pozostała wierna swojej tradycji i swoim celom.

Wreszcie sama Komisja.

W swoim podsumowaniu systemu kontroli MOP, Nicolas Valticos podkreśla wagę stosowanych metod i mechanizmów i dodaje:

„... *mais il faut préciser que cette efficacité ne dépend pas uniquement de l'adoption de certaines techniques. Ce qui joue en définitive un rôle déterminant est l'esprit qui anime ces procédures et les hommes, membres de Commissions ou agents du B.I.T. qui les font fonctionner.*

*Cet esprit peut se définir par la rigueur scientifique dans l'examen des questions, l'honnêteté intellectuelle dans leur appréciation (qui suppose une indépendance d'esprit et non seulement de statut, une objectivité complète dans le traitement des Etats ou parties et aussi le courage), le sens de la mesure, le sens de la finalité du contrôle (qui n'est pas seulement de constater des divergences mais de promouvoir la mise en œuvre des normes dans un esprit constructif) et enfin la persévérance”<sup>13</sup>.*

13. *Op. cit.*, str. 632. Przekład: „... trzeba jednak sprecyzować, że skuteczność ta nie zależy wyłącznie od aspektów technicznych. W osta-

Pisząc te słowa, Valticos nie wiedział, że będzie sam w przyszłości członkiem i przewodniczącym Komisji Badawczej. Kreśląc idealny model członka Komisji, skreślił, nie wiedząc o tym, portret swój własny i swoich komisyjnych kolegów. Nie ma do niego nic do dodania. Chciałoby się tylko powiedzieć, parafrazując Fryderyka Wielkiego: „*Il y a des juges à Genève...*”<sup>14</sup>. Zawdzięczamy im orzeczenie, które przejdzie do naszej historii, jak przejdzie do historii zmagania człowieka o jego prawa.

Krystyna MAREK

### A N E K S

#### KONWENCJA NR 87 O WOLNOŚCI ZWIĄZKOWEJ I OCHRONIE PRAW ZWIĄZKOWYCH

- art. 1. Każdy członek Międzynarodowej Organizacji Pracy, dla którego jest w mocy niniejsza Konwencja, zobowiązuje się stosować następujące postanowienia.
- art. 2. Pracownicy i pracodawcy bez jakiegokolwiek rozróżnienia mają prawo bez uzyskania uprzedniego zezwolenia tworzyć organizacje według swego uznania, jak też przystępować do tych organizacji z jedynym zastrzeżeniem stosowania się do ich statutów.
- art. 3. 1. Organizacje pracowników i pracodawców mają prawo opracowywania swoich statutów i regulaminów wewnętrznych, swobodnego wybierania swych przedstawicieli, powoływania swego zarządu, organizowania swej działalności oraz układania swego programu działania.
2. Władze publiczne winny powstrzymać się od wszelkiej ingerencji, która by ograniczała to prawo lub przeszkadzała w jego wykonywaniu zgodnie z prawem.
- art. 4. Organizacje pracowników i pracodawców nie mogą być rozwiązywane lub zawieszane w drodze administracyjnej.
- art. 5. Organizacje pracowników i pracodawców mają prawo do tworzenia federacji i konfederacji, jak też do przystępowania do nich, a każda organizacja, federacja i konfederacja ma prawo przystępowania do międzynarodowych organizacji pracowników i pracodawców.
- art. 6. Postanowienia art. 2, 3 i 4 stosują się do federacji, konfederacji i organizacji pracowników i pracodawców.

tecznym rachunku czynnikiem decydującym jest duch który ożywia te mechanizmy i ludzi, członków Komisji czy przedstawicieli Międzynarodowego Biura Pracy, którzy nimi operują. — Duch taki oznacza: rygor naukowy w analizie spraw, uczciwość intelektualną w ich ocenie (co zakłada niezależność duchową, nie tylko niezależność formalną, całkowity obiektywizm w traktowaniu państw i stron a także odwagę), poczucie miary, świadomość celu kontroli (którym jest nie tylko stwierdzenie odchylenia ale konstruktywne zapewnienie skuteczności norm) i wreszcie wytrwałość”.

14. Na wszelki wypadek przypominam: król chciał zburzyć młyn w Sans-Souci, który zasłaniał widok z pałacu. Młynarz oczywiście nie chciał. Sprawa poszła do sądu w Berlinie. Król proces przegrał, wyrok przyjął i powiedział z uznaniem słowa, które przeszły do legendy: „*Il y a des juges à Berlin...*”.

- art. 7. Uzyskanie osobowości prawnej przez organizacje pracowników i pracodawców oraz ich federacje i konfederacje nie może być uzależnione od warunków takich, które by ograniczały stosowanie postanowień art. 2, 3 i 4.
- art. 8. 1. W wykonywaniu uprawnień, które przyznaje im niniejsza Konwencja, pracownicy, pracodawcy i ich odnośne organizacje powinni, podobnie jak inne osoby lub zorganizowane zbiorowości, przestrzegać obowiązujących w kraju przepisów prawnych.
2. Ustawodawstwo krajowe nie powinno naruszać gwarancji przewidzianych w niniejszej konwencji ani być tak stosowane, aby naruszało te gwarancje.

#### KONWENCJA NR 98 O STOSOWANIU ZASAD PRAWA ORGANIZACJI I O ROKOWANIACH ZBIOROWYCH

- art. 1. 1. Pracownicy powinni korzystać z należytej ochrony przed wszelkimi aktami dyskryminacji dążącymi do naruszania wolności związkowej w dziedzinie pracy.
2. Taka ochrona powinna odnosić się w szczególności do czynów mających na celu:
- a) uzależnienie zatrudnienia pracownika od warunków, że nie przystąpi on do związku zawodowego lub przestanie należeć do związku zawodowego;
- b) wydalenie pracownika lub skrzywdzenie go we wszelki inny sposób z powodu jego przynależności do związku zawodowego lub udziału w działalności związkowej poza godzinami pracy lub za zgodą pracodawcy podczas godzin pracy.
- art. 2. 1. Organizacje pracowników i pracodawców powinny korzystać z odpowiedniej ochrony przed wszelkimi aktami ingerencji jednych w sprawy drugich bądź bezpośrednio, bądź przez przedstawicieli lub członków jeżeli chodzi o tworzenie tych organizacji, ich działalność i zarządzanie nimi.
2. Będą w szczególności uznane za akty ingerencji w rozumieniu niniejszego artykułu środki zmierzające do utworzenia organizacji pracowników, które byłyby opanowane przez pracodawcę lub przez organizację pracodawców, albo do wspierania organizacji pracowników finansowo lub w inny sposób, w celu podporządkowania tych organizacji kontroli pracodawcy lub organizacji pracodawców.
- art. 3. W razie potrzeby należy utworzyć instytucje odpowiadające warunkom krajowym dla zapewnienia poszanowania prawa organizowania się określonego w poprzednich artykułach.
- art. 4. W razie potrzeby, należy zastosować środki odpowiadające warunkom krajowym, w celu zachęcenia i popierania jak najszerzego rozwoju i wykorzystywania procedury dobrowolnych rokowań dla zawierania układów zbiorowych pomiędzy pracodawcami z jednej strony a organizacjami pracowników z drugiej strony, w celu uregulowania w ten sposób warunków pracy.

## Humor krajowy

Czernienko miał sen. Snili mu się Andropow i Breżniew. Ten ostatni powiedział: „Jak będziesz do nas szedł koniecznie weź ze sobą noże i widelce”. — „Dlaczego?” — zapytał Czernienko. — „Bo tu, w Piekło, kelnerem jest Hitler i każe nam jeść sierpem i młotem”.

Popularne pytanie, zadawane w Berlinie Wschodnim:

— Jaka jest różnica między krokodylem, a moskiewskim Politbiurem?

— Krokodyl ma cztery nogi i czterdzieści osiem zębów, a moskiewskie Politbiuro ma czterdzieści osiem nóg i cztery zęby.

Czernienko telefonuje do Jaruzelskiego.

— Co się u was dzieje? — dochodzą mnie jakieś nieprawdopodobne wieści! Jak mogliście do tego dopuścić! Podobno jakiś Mickiewicz pisze wiersze przeciwko nam i woła: Litwo, Ojczyzno moja! Jaka Litwa, czyja ojczyzna, co to znaczy?

— Zupełnie się z wami zgadzam towarzyszu Pierwszy Sekretarzu, chciałbym tylko zaznaczyć, że Mickiewicz już nie żyje...

— Doskonale — powiedział Czernienko. — Widzę, towarzyszu, żeście mnie zrozumieli...

### O ZAJĄCZKACH

Podobno w ZSSR wybito wszystkie zające — a także i króliki — ponieważ bez przerwy pokazywały uszami znak V...

Do Domu Towarowego przyszedł zajączek i pyta:

— Proszę Pani, czy są żarówki?

— Nie ma!

— To przepraszam — powiedział zajączek i wyszedł, ale po chwili wrócił:

— Proszę Pani, a może są żarówki?

— Powiedziałam ci już, że nie ma — krzyknęła zdenerwowana sprzedawczyni. Jeżeli jeszcze raz będziesz pytał o to samo to przybiję ci uszy gwoździami do ściany...

Przerażony zajączek uciekł ze sklepu, ale po kilku minutach zjawił się znowu i pyta:

— Proszę pani, czy są gwoździe?

— Nie ma!

— A żarówki?...

— Czym była dla nas śmierć Andropowa?

— Kroplą w morzu potrzeb...

Nareszcie w Polsce osiągnięto najlepszy z ustrojów: wszyscy mają wszystkiego dosyć...

Tygodnik *Kierunki* z 2 września 1984 podaje przykłady kretynstwa speców od nazewnictwa: „zawieralnik niewyjściowy blokujący” — zasuwa do drzwi; „wtyk dwustronny w spowiciu bawełnianym” — sznur do żelazka; „podłóżkowiec dziecięcy plastikowy” — nocnik; „pedałowiec biurowy” — kosz na śmieci z podnoszoną klapą.

*Kierunki* dodają: „Jak widać nowomowa (a może polmowa) rozwija się. Nasze wnuki i prawnuki będą siusiać do 'podłóżkowca', wrzucać śmieci do 'pedałowca' i zamykać drzwi na 'zawieralnik niewyjściowy'. A my biedni dziadkowie nie będziemy wiedzieli, czy jeszcze potrafimy mówić ojczystym językiem”.

Zebrała Zofia HERTZ

### KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków  
i współpracowników NSZZ Solidarność

Adres Redakcji 31, rue Dauphine, 75006 Paris.

Zamówienia kierować na adres:

55, rue Montorgueil, Paris 75002.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300;  
półroczna F. 155.

Konto bankowe: Credit Lyonnais, 3, rue de Turbigo,  
75001 Paris, Agence 404, compte N° 52145 G  
KONTAKT.

## Listy do Redakcji

Waszyngton, 31 sierpnia 1984.

Drogi Panie Redaktorze!

Czytuję pilnie i przyznam się z nabożeństwem *Tygodnik Powszechny*, który z Krakowa otrzymuję szybko i regularnie. Dla jego zespołu redakcyjnego żywię głęboki szacunek i podziw. Toteż z przykrością, chociaż z obowiązku, zabieram głos w sprawie potknięcia się, jakie zaszło w numerze z 26 sierpnia br. w rubryce „Dział tygodnia”, gdzie oczy moje z nieprzyjemnym zdziwieniem przeczytały następującą wzmiankę:

„W Białym Domu odbyło się spotkanie prezydenta Ronalda Reagana z przedstawicielami i działaczami politycznymi organizacji i środowisk polonijnych”.

Chodzi oczywiście o uroczysty obchód 40-lecia Powstania Warszawskiego urządzony w Białym Domu przez prezydenta Reagana w dniu 17 sierpnia br. z udziałem członków rządu amerykańskiego, przywódców Polonii i kilkudziesięciu b. żołnierzy Armii Krajowej. Na tej uroczystości prezydent Reagan nadał pośmiertnie wysokie amerykańskie odznaczenie wojskowe „Legion of Merit” trzem kolejnym dowódcom Armii Krajowej, generałom Stefanowi Roweckiemu, Tadeuszowi Komorowskiemu i Leopoldowi Okulikowskiemu, ja zaś udekorowałem prezydenta Reagana Krzyżem Armii Krajowej. W swym przemówieniu prezydent Reagan złożył hołd AK i Powstaniu Warszawskiemu oraz dał amerykańską interpretację układu jałtańskiego, zaatakowaną nazajutrz przez TASS. To wszystko *Tygodnik Powszechny* zaszyfrował w jednym zdaniu, nadając spotkaniu charakter szablonowy i stosując w ten sposób przesadną i szkodliwą samocenzurę, skutkiem czego tekst ogłoszony w *Tygodniku* jest klasycznym przykładem dezinformacji czytelników. Któż bowiem jest w stanie złamać ten szyfr i dotrzeć do prawdy?

Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że podanie prawdziwego przebiegu uroczystości zostałyby przez cenzurę skonfiskowane, ale sądzę, że lepsza byłaby konfiskata prawdy, niż samocenzura i tekst, który od niej odbiega.

Uprzejmie proszę o ogłoszenie mego listu w *Kulturze*, by w ten sposób treść jego doszła do wiadomości zespołu redakcyjnego *Tygodnika Powszechnego* i tych jego czytelników w kraju, którzy mają dostęp do *Kultury*. Mój list wysłany bezpośrednio do *Tygodnika Powszechnego* nie miałby szans dotarcia do rąk adresata, ani też ogłoszenia w tym *Tygodniku*.

Ściskam mocno dłoń Pana

Stefan KORBONSKI  
Honorowy Przewodniczący Komitetu  
Obchodu 40-tej Rocznicy Powstania  
Warszawskiego w Waszyngtonie.

12 sierpnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do wielce kontrowersyjnego artykułu w *Kulturze* (nr 7-8, str. 142, 1984) na temat mającego się odbyć w przyszłym roku Kongresu

Kultury Polskiej — chcę dla ścisłości jako redaktor stwierdzić, że ROCZNIKI Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie wychodzą w ostatnich trzech latach regularnie i bez żadnego opóźnienia.

Dla zainteresowanych Rocznik XXIV, XXV i już wydany Rocznik XXVI (1982/1983) jest do nabycia w Sekretariacie P.T.N.O. 240 King Street w Londynie.

Łączę wyrazy szacunku

Dr J. MARCINKIEWICZ  
Corner Cottage,  
4 Green Hill, Bucks, England.

Rzym, 25 czerwca 1984.

## LIST DO REDAKCJI

Odczytując list do Redakcji, który nadesłał obecny kustosz Muzeum Polskiego w Chicago, O. Donald Biliński, OFM w sprawie „szabel Marszałka Piłsudskiego”, zdeponowanych w tymże Muzeum, przypomniałem sobie sprawę czytnika mikrofilmowego, który kilka lat temu nie zdeponowałem, ale po prostu podarowałem Muzeum w okresie, kiedy mi się wydawało, że miniaturyzacja tekstów polskich czasopism i książek, a także maszynopisów olbrzymiej ilości wykładów i odczytów, wygłaszanych w różnych częściach świata, a interesujących całą diasporę polską, byłaby jedynym środkiem upowszechnienia tego cennego dorobku\*.

Zakupiłem wtedy w firmie Bell and Howell dwa dobre czytniki o dwu soczewkach, pozwalających dowolnie powiększać teksty mikrofilmów dzienników na ekranie. Jeden z nich dałem Muzeum, które nawet już posiadało mikrofilmy różnych pism, trzymało je jednak bezużytecznie, ponieważ nie było czytników. Nawiasem muszę dodać, że pierwsze dziesięciolecie swego pobytu w USA w latach 40-tych spędziłem w Chicago, gdzie prowadziłem polski program radiowy, byłem redaktorem pisma *Nowa Polska* i miałem bliskie stosunki z ówczesnym kustoszem Muzeum, Mieczysławem Heimanem.

Kilka miesięcy temu byłem znowu w Chicago i potrzebowałem tekstu swego własnego artykułu z *Dziennika Chicagoskiego* z lipca 1942 roku. Ponieważ Muzeum posiada m.in. mikrofilmy kompletu tego dziennika, skierowałem się tam z całą pewnością, i ku najwyższemu swemu zdumieniu odkryłem, że mikrofilmy są, ale nie ma na czym ich odczytywać. Na moje zapytanie, gdzie jest ów podarowany przeze mnie czytnik, O. Biliński odpowiedział, że takiego czytnika (a przecie osobiście mu go wręczyłem) Muzeum nie posiada. Wyjątkowo jednak pożyczył mi odnośną rolę mikrofilmu do domu. Miałem nadzieję, że odczytam go na drugim czytniku, który — tym razem — zdeponowałem u profesora De Paul University, W. Pawula, jednak i do tego mnie nie dopuszczono, ponieważ Prof. Pawul zmarł, a jego cenna biblioteka, no i mój czytnik, są podobno rozdawane czy rozsprzedawane, tego dokładnie nie wiem.

Może to daleka analogia z „szablami Marszałka” — *si parvum magnis comparare licet* — podaję to jako memento: *Caveant consules!*

Wacław ZAJĄCZKOWSKI  
3539 R St. NW,  
Washington, DC 20007, USA.

\* Tę opinię podtrzymuję nadal i szukam dla niej organizacyjnego poparcia.

Do Pana Redaktora Jerzego Giedroycia,

Sądzę, że zainteresuje Pana garść szczegółów dotycząca okoliczności rozwiązania Związku Literatów Polskich w sierpniu 1983 roku, znanych mi jako zatrudnionemu w instytucji mającej bezpośredni kontakt z Wydziałem Kultury Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie.

Decyzja o rozwiązaniu ZLP została podjęta w ostatniej chwili, zupełnie niespodziewanie, gdyż przedtem wszystko wskazywało na wybranie wariantu najkorzystniejszego dla władzy: rozwiązanie tylko Zarządu Głównego i przeprowadzenie nowych wyborów. Kandydować na członków zarządu mieli tylko pisarze z listy zatwierdzonej przez władzę partyjne. Zwolennikiem rozwiązania całego ZLP był od początku stanu wojennego towarzysz Jewgienij Niewiatin, wyższy oficer KGB, pełniący oficjalnie funkcję sekretarza ambasady radzieckiej w Warszawie. W Polsce przebywa już od dziesięciu lat, zna doskonale nasz język i czyta polskie książki oraz czasopisma literackie, krajowe i zagraniczne. Podobno jest także bardzo pilnym czytelnikiem *Kultury* paryskiej. Niewiatin ma kontakt z wieloma naszymi pisarzami, plastykami i dziennikarzami, którzy są zapewne przekonani, że nasza kultura to tylko hobby tego miłego, jowialnego pana po pięćdziesiątce. Takich złudzeń nie może mieć jednak towarzysz Molek, zastępca i prawa ręka towarzysza Nawrockiego, kierownika Wydziału Kultury KC. (Warto tu dodać, że to właśnie Molek był autorem referatu wygłoszonego na naradzie wydawców w Warszawie w lutym bież. roku, referatu w którym domagał się od wydawnictw ograniczeń dla autorów niekonformistycznych, takich jak np. Miłosz, Brandys czy Konwicki, i zielonego światła dla popierających władzę grafomanów). Molek ciągle biega do Niewiatina po instrukcje, dotyczące różnych ważnych posunięć decydujących o dniu dzisiejszym i przyszłości kultury polskiej.

W sprawie ZLP Niewiatin sugerował zastosowanie wariantu czeskiego, tzn. rozwiązanie całej organizacji, jako siedliska „kontrewolucji” i utworzenie związku nowego, złożonego z pisarzy posłusznych. Na razie jednak nie należał, pozostawiając Wydziałowi Kultury KC wolną rękę w wyborze środków mogących zapewnić całkowitą kontrolę partyjną i ubowską nad środowiskiem pisarskim. W pierwszej połowie sierpnia 1983 roku, gdy okazało się, że kłamstwa rozpowszechniane na temat ZLP przez propagandę oficjalną nie znalazły odzewu w społeczeństwie, które darzyło zaufaniem swoich pisarzy niezależnych, Niewiatin powiedział Molkowi, że teraz pozostaje już tylko wariant czeski. Odradzał ryzykowanie nowych wyborów w dawnym związku, który mając poparcie całego społeczeństwa, może nie dopuścić do machlojek wyborczych. Stanowisko Wydziału Kultury KC w negocjacjach z przedstawicielami zarządu ZLP wyraźnie się usztywniło, wciąż jednak nie podejmowano decyzji zasadniczej. W tej sytuacji minister Żygulski pojechał nagle do Moskwy, prawdopodobnie w celu uzgodnienia na wyższym szczeblu, co robić z krnąbrnymi literatami. Moskwa widocznie potwierdziła stanowisko Niewiatina, który przeciw reprezentuje opinie KGB, obowiązuje nasze władze, bo zaraz po powrocie od Starszego Brata, Żygulski podpisał decyzję o rozwiązaniu ZLP. Było to 19 sierpnia 1983 roku.

Jako członek partii piszę o tym wszystkim z bólem, jednak jako Polakowi nie wolno mi milczeć.

MAGISTER Z WARSZAWY,  
urodzony po wojnie.

16 września 1984.

Szanowna Redakcjo!

W związku z przyjazdem do Stanów Zjednoczonych p. Aleksandra Małachowskiego, byłego doradcy NSZZ Solidarność i członka prezydium Związku,

zorganizowaliśmy wystawę pamiątek Solidarności i po stanie wojennym, by stworzyć mu odpowiednią oprawę, wprowadzić w nastrój tamtego czasu, gdy będzie przemawiał do tutejszej polonii. Tym większe rozczarowanie, rozgoryczenie i oburzenie stało się naszym udziałem podczas dwugodzinnej prelekcji. Stanowisko p. A. Małachowskiego, nie tylko nie licowało z postawą człowieka, który był współtwórcą tamtych, wspaniałych dni, ale budziło zastrzeżenia treści merytorycznej, nie mówiąc już o interpretacji faktów, która może być potraktowana indywidualnie, ale w generalacji powinna być zgodna. Oto „człowiek Solidarności” rozrzucał przed słuchaczami obraz totalnej dezorganizacji w Solidarności, bałaganu, kłótni, sporów, braku umiejętności postępowania. O stanie wojennym mówił lekko, humorystycznie, o ubeku który go przesłuchiwał w superlatywach; jaki to kulturalny, wykształcony (z doktoratem) człowiek. Słuchacze mogli usłyszeć słowa pochwały wobec gen. Jaruzelskiego, że „wybrał mniejsze zło” niż inwazja sowiecka, która jak wszystkim wiadomo była straszakiem w ustach Rakowskiego i kompanii, a nierealna z punktu widzenia strategicznego (vide *Kultura* nr 7/8 z br.). Słuchacze poznali koneksje i znajomości (nawet przyjaciół) z najwyższych kół partyjnych, bo o nich mówił wielokrotnie częściej, niż o ludziach, którzy tworzyli Związek.

Zaskoczeniem stały się też wypowiedzi p. Małachowskiego, który w swoim podobno imieniu rozmawia z przedstawicielami Stanów Zjednoczonych na temat restrykcji, pomocy Funduszu Monetarnego dla Polski, a nie został przez nikogo upoważniony do tego typu kroków. Jego kokieterijne, wielokrotnie cytowane powiedzonko o komunie, że „on tę żabę już je 40 lat”, obróciło się przeciw niemu, gdyż my, działacze Solidarności takiej żaby jak on, nie chcemy jeść!! Doceniamy wspaniałość demokratycznego ustroju tutaj, wolności słowa i przekonania, ale jesteśmy pewni, że nasi ludzie w Polsce nie byłiby szczęśliwi z tego, że mają takiego emisariusza. Pójście na ugody z „czerwonymi”, staranie się o dialog, obsadzanie stanowisk współczesnymi Konradami Wallenrodami nie jest metodą, na którą godzi się umęczony naród. A już mówienie o bojkocie wyborów z 17 czerwca br. w Polsce, że była to głupota — obraża wszystkich przyzwoitych Polaków.

List ten pełen gorzycy i żalu piszemy, by wyrazić swą dezaprobatę dla postawy p. A. Małachowskiego, który mówiąc, że „tę żabę już je wiele lat” widocznie rozsmakował się w tym specjale, skoro za wszelką cenę chce przedłużyć jej istnienie. Nie wynika to ani z naiwności, ani z braku inteligencji, ale z pogardy w stosunku do klasy robotniczej w Polsce, którą dał tego wieczoru wielokrotnie odczuć. I choć swoje w życiu odsiedział, to wciąż mu imponują kacyki z KC. Chcemy też przekazać, że i to spotkanie w Los Angeles, jak i w innych środkach polonijnych zostawiło niesmak i żal, że takiemu człowiekowi zawierzyli wyborcy na Zjeździe w Oliwii, który poza samouwiebleniem nie zachował w stosunku do walczącego narodu zwykłej lojalności. Krytyka działania w ciągu szczęśliwych 16 miesięcy nie jest nam obca, ale krytyka twórcza, która coś chce zmienić, a nie krytyka odgórna, apodyktyczna, krytyka sama dla siebie. Służy to tylko temu, że polonia, która zna ten czas tylko z przekazu, została po spotkaniu z p. Małachowskim zdezorientowana. Stwierdzenie, że tygodnik *Polityka* jest tak znakomity, że aż zakazany w Związku Sowieckim, świadczy, że celowo chyba p. Małachowski sieje takie informacje, gdyż wszystkim wiadomo, że jest to inteligentnie robione pismo, tylko po to, by tacy „emisariusze” jak p. Małachowski mogli łatwiej przełknąć cytowany wyżej francuski przysmak. My jako przyprawę posyłamy p. Małachowskiemu cykute.

„SOLIDARNOŚĆ” w Los Angeles

Do wiadomości: *Kultury*, *Kontakt*, *Nowego Dziennika*, *Gwiazdy Polarnej*, *TKK*.



Nowy Jork, 15 września 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Sprawa dotyczy mego artykułu „Od pozycji geopolitycznej do geostrategicznej”, opublikowanego w dziale „Wolna trybuna” we wrześniowej *Kulturze* z br. (nr 9/444). Niezależnie od krytyki, jaką może wzbudzić wymieniony artykuł w przedmiocie działalności Lecha Wałęsy i „Solidarności” w okresie jej powstania i rozkwitu, którą nadal podtrzymuję, zawiera on kilka błędów, które dzięki mojej nieuwadze wkrały się do tekstu. Najważniejszy z nich polega na braku wyjaśnienia na czym polega przejście PRL ze statusu geopolitycznego do geostrategicznego. Otóż, nowa geostrategiczna rola Polski streszcza się w tym, że Sowiety nie wierzą już aby jakkolwiek propaganda polityczna czy światopoglądowa mogła tak wypłynąć na Polaków, aby stali się posłusznymi poddany Imperium Sowieckiego. W związku z tym — ponieważ Polski nie można przenieść w inne geograficzne i mniej newralgiczne miejsce — należy zredukować program sowiecki wobec PRL do minimum. To minimum sprowadza się do tego, żeby w Polsce była chroniona infrastruktura; aby bezbłędnie funkcjonowały lotniska, koleje, telekomunikacja, rurociągi, linie wysokiego napięcia itd. Ponadto, aby maksymalnie wydajnie i bez zakłóceń działały te źródła energii i te zakłady przemysłowe, od których uzależniona jest produkcja zbrojeniowa. Do tego celu nadają się najlepiej komisarze wojskowi, którzy — jak wiadomo — działają nadal po tzw. zniesieniu stanu wojennego. Mogą być obecnie w cywilu, ale z reguły wywodzą się albo z Ludowego Wojska Polskiego, albo z S.B. W związku z tym maleje rola PZPR i jej organów — tak kierowniczych jak i terenowych. Innymi słowy — biurokracja partyjna, która na początku przyjęła z zadowoleniem wprowadzenie stanu wojennego, czuje się teraz coraz bardziej zdegradowana i odsunięta w cień.

Z poważaniem

Zbigniew BYRSKI

Los Angeles, 14 września 1984.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Anglojęzyczna premiera „Matki” Stanisława Ignacego Witkiewicza w Los Angeles była opisana tak skromnie w *Kulturze* (nr 6/441, 1984, str. 142 w Kronice amerykańskiej), że wyróżnienie spadło do czterech nagród w dwóch kategoriach. A przecież to było pierwsze miejsce wśród 774 produkcji roku 1983; jedenaście nagród w siedmiu kategoriach. Obok Leonidasa Dudarew-Ossetyńskiego (produkcja i reżyseria) i Barbary Krafftówny (Matka) byli wyróżnieni jeszcze dwaj Polacy: C. S. Durer (jeden z tłumaczy) i Tomasz Osiniński (kostiumy).

Z szacunkiem i poważaniem

Dr Olgierd J. KLEJNOT

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

T.Z., Australia; K.O., USA; J.Z.-S., RFN; M.B., Austria; A.S., Australia; J.F.P., USA; A.B., USA; T.S., RFN; W.F., Anglia; T.W., RFN;

L.W.-W., RFN; Y.B., Francja; Autor wiersza Cześć Generale!; K.G., Austria; L.F., USA; J.S.; A.M., Szwecja; A.W., Grecja; J.K.C., USA; Z.K., Francja. — Z wierszy nie skorzystamy.

R.K., Szwecja. — Wybraliśmy do druku w przyszłości wiersz *Urządź się. R.G. w Kraju.* — Tomik, jak wynika z Pana listu, ukazał się w „drugim obiegu” w Kraju. Niezależnie od naszej oceny Pana wierszy, nie możemy sobie pozwolić na dublowanie krajowych wydawnictw poetyckich.

H.S., Francja. — Opowiadanie napisane jest dość zręcznie, ale zanadto już imituje amerykańskie *short-stories*.

Ł.T.P., Kanada. — Na podstawie *Odmienca*, bardzo słabego, trudno nam zachęcać Pana do przysłania następnych tekstów.

W.M. — Pana książeczka poetycka *Która jesteś* wydaje nam się pretensjonalna. Tylko w jednym wierszu, o cmentarzu żydowskim w Krakowie, słychać parokrotnie czystszy ton.

D.T., NRF. — Pana *Nieprzyjemne zdarzenie* jest i nieprzyjemne i nieudane. K.Ł.B., Australia. — Artykuł o Strzebińskim nie wychodzi poza komunały i gołosłowne deklaracje Pana podziwu dla jego malarstwa.

J.E. — Nie sposób się zorientować o co w tym fragmencie dziennika chodzi. J.S., Szwecja. — Chcąc opisać „przeciętnego obywatela”, doprowadził Pan przeciętność narracji do nużącego banału.

P.W., USA. — Drogi, jakie musieli przebyć nowi emigranci do krajów swego obecnego zamieszkania, są bardzo różne. Ma Pan rację, że w *Kulturze* nie było dotąd relacji na ten temat. Pana relacja jest drobiazgową, na pewno rzetelną i ścisłą, ale niestety nie pozwala nam z niej skorzystać chroniczny brak miejsca w *Kulturze*.

K.P., Szwecja. — *Podróże przez ojczyznę* ujmują swoją prostotą i bezpośredniością. Ile już jednak podobnych wspomnień z tych lat — dalszych i bliższych — napisano i wydano!

M.O., Bad Essen (RFN). — Pana listu nie zamieścimy. Reakcja jest spóźniona i zresztą nie zamierzamy kontynuować tej polemiki.

T.N., Hamburg (RFN). — Listu nie zamieścimy. Nie krytykujemy komunizmu jako takiego, ale jedynie komunizm w wydaniu sowieckim.

W.J., Stuttgart (RFN). — Listu nie zamieścimy. Nie zamierzamy wracać do sprawy ks. Czesława Nowaka.

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU  
123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris  
Tel. 326-04-42 — Telex 250302

Rok założenia 1833

Sprzedajemy i wysyłamy

KSIAŻKI POLSKIE  
wydania zachodnie i krajowe  
POLONICA FRANCUSKIE  
w wielkim wyborze

KSIAŻKI ANTYKWARYCZNE I OKAZYJNE  
ARTYSTYCZNE PLAKATY POLSKIE

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 390 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

### DZIENNIK PISANY NOCĄ

TOM III  
1980-1983

Str. 345.

Cena F. 95,00.

TOM 392 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

### ROZMOWY POLSKIE LATEM 1983

(fragmenty powieści)

Tom prozy wybitnego poety i eseisty z Kraju. Autor opowiada o wakacjach spędzonych latem 1983 nad jeziorami w okolicy Suwałk. Bliskość Litwy, jej stare legendy i mity, przeszłość historyczna Rzeczypospolitej i polska teraźniejszość, problemy moralne i wyznania Autora przeplatają się w tej prozie z wakacyjnymi dialogami i scenami, nieraz pełnymi gorzkiego humoru.

Opowieść bardzo polska i bardzo współczesna.

Str. 160.

Cena F. 60,00.

TOM 393 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT SZESZCZDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: M. Peszczyńskiego: *Przyczynki do historii ZET-u Akademickiego lat 30-tych*; T. Boguszewskiego: *Odtwarzanie dziejów Narodowych Sił Zbrojnych*; Al. An. Myszakowskiego: *Słownik biograficzny komunistów polskich, represjonowanych w ZSSR*; Z. S. Siemaszki: *Rozmowy z Wehrmachtem w Wilnie, luty 1944*; B. E. Podhorskiej: *Osada Krechowicka*; Wł. Zelenkiego: *W cieniu Stefana Opińskiego oraz działy: CI, CO ODESZLI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII, LISTY DO REDAKCJI*.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1984.

Imprimé en France

N° d'imprimeur 6632.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1985			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248 .....	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stege/Türe 14, Tel. 52-60-175 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA: Maria Randomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles .....	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Villsingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176. IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311 .....	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St., W., Toronto, Ont. M6P 1A7 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommensteng 8, 1500 Moss. ... SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lillas, C.P. 74. 1211 Geneve 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431. SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34 th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457 .....	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00	
K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00	
\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00	
F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00	
F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00	

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 394 — MICHAŁ HELLER (Adam Kruczek)

### **POLSKA W OCZACH MOSKWY**

Analiza wypowiedzi prasy sowieckiej w ostatnich trzech latach.

Str. 208.

Cena F. 75,00.



TOM 395 — KAZIMIERZ BRANDYS

### **MIESIĄCE 1982-1984**

Trzeci tom zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 356.

Cena F. 80,00.



TOM 396 — SŁAWOMIR MROŻEK

### **ALFA**

Nowa sztuka sceniczna znanego dramaturga, której bohater przypomina postać Lecha Wałęsy. Autor ukazuje nam dylemat człowieka, który stał się symbolem, nie przestając być człowiekiem.

Str. 84.

Cena F. 40,00.



TOM 397 — MAREK NOWAKOWSKI

### **DWA DNI Z ANIOŁEM**

Czwarta — wydana u nas — książka jednego z najciekawszych i najbardziej utalentowanych prozaików polskich młodego pokolenia, łączy żywy opis środowiska o ogromnym wyczuciu realiów z szerszą refleksją o Polsce pod rządami komunistów.

Str. 152.

Cena F. 55,00.